

WALKA PÓŁNOCY Z POŁUDNIEM.

NADZWYCZAJNE PODRÓŻE

(uwieńczone przez Akademią francuską).

WALKA
PÓŁNOCY Z POŁUDNIEM

PRZEZ

JULIUSZA VERNE'A,

CZĘŚĆ II.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi Wędrowca.

1888.

Дозволено Цензурою, 29 Декабря 1887.

Друк Т. Nasiorowskiego, Czysta Nr 8.

I.

Po porwaniu.

— Texar!... Nienawistne to imię rzuciła Zerma w ciemności, w chwili kiedy pani Burtankowa i miss Alicya przybywały na wybrzeże przystani Marino. Młoda miss poznała nikczemnego Hiszpana. Niemożna więc było wątpić, że był sprawcą porwania i że się ono odbyło pod jego osobistemi rozkazami.

Byłto rzeczywiście Texar, z kilku pomocnikami. Oddawna już przygotowywał Hiszpan tę wyprawę, która miała pociągnąć za sobą spustoszenie Camdless-Bayu i rabunek Castle-House, ruinę rodziny Burbanków, pojmanie albo śmierć jej głowy.

W tym to celu, pchnął on swoje hordy rabusiów na plantacyą. Ale nie stanął na ich czele, zostawiając przywództwo nad niemi, najgwałtowniejszym ze swoich stronników. Okoliczność ta wyjaśnia, dlaczego John Bruce, wmieszany do bandy napastników

mógł zapewnić Jamesa Burbanka, że Texara nie ma pośród nich.

Żeby się z nim spotkać, trzeba było udać się do przystani Marino, połączonej tunelem z Castle-House. W razie, gdyby dom został sforsowany, jego ostatni obrońcy tamtędy próbowaliby wycofać się. Texar wiedział o istnieniu tego tunelu. Dlatego też wsiadłszy w Jacksonville, do statku, za którym płynął drugi ze Squambo i dwoma jego niewolnikami, podążył czuwać nad tem miejscem, które zdawało się przeznaczone na to, żeby James Burbank tamtędy uciekał. Nie omylił się i zrozumiał to, spostrzegłszy jedno z czółen z Camdless-Bay, stojące za trzcinami przystani, strzegący go murzyni zostali zastrzeleni, zaatakowano ich i zamordowano. Pozostało już tylko czekać. Niezadługo ukazała się Zerma z dziewczeczką. Gdy metyska zaczęła wydawać krzyki, — Hiszpan, lękając się, żeby kto nie pospieszył na ratunek, kazał ją zaraz rzucić Squambowi i gdy pani Burbankewa oraz miss Alicya pojawiły się na wybrzeżu, byłoto w chwili, kiedy Squambo porwał metyskę, w swym statku, na środek rzeki. Co się dalej działo, jestto już wiadome czytelnikowi.

Jednakże, dokonawszy porwania, Texar nie uznał za stosowne połączyć się ze Squambo. Ten człowiek oddany mu i wierny, wiedział do jak nieprzystępnej kryjówki, ma zawieść Zermę i małą Dy. To też Hiszpan, w chwili kiedy trzykrotne wystrzały arma-

tnie odwoływały przypuszczający szturm, którzy mieli już niebawem sforsować Castle-House, znikł przepłynąwszy w ukos wody Saint-Johnu.

Dokąd podążył? Nie wiadomo. W każdym razie nie powrócił do Jacksonville owej nocy, z 3-go na 4-ty marca. Dał się tam widzieć dopiero we 24 godzin później. Co się z nim działo podczas tej nieobecności, — której nie raczył nawet wyjaśnić, nikt tego nie wiedział. Mógł być jednak skompromitowanym, gdyż pociągało to za sobą podejrzenie, że wziął udział w porwaniu Zermy i Dy. Zbieg tego porwania i jego zniknięcia musiał wypaść na jego niekorzyść. Nie wrócił jednak do Jacksonville aż 5-go rano, dla przedsięwzięcia środków potrzebnych do obrony Południowców, dosyć wcześnie jak widzieliśmy, żeby zastawić sidła na Gilberta Burbanka i przydywować w komitecie, który miał skazać na śmierć młodego oficera.

Jedno było pewne, że Texar nie znajdował się na pokładzie statku, sterowanego przez Squambo i przez przyływ gnanego w górę Camdless-Bayu.

Zerma, miarkując że, jej krzyki nie mogą już być dosłyszane z pustych wybrzeży, Saint-Johnu, zamilkła. Siedziała ona w tyle statku, trzymając w objęciach Dy. Dziewczynka, przełknięta, nie wydawała ani jednego jęku. Tuląc się do piersi metyski, kryła się w fałdach jej okrycia. Parę razy tylko wyrwały jej się z ust słowa:

„Mama!... Mama!... Dobra Zerma!... Boję się!... Boję się!... Chcę zobaczyć mamę!...“

— Dobrze... moja najdroższa!... odpowiedziała Zerma. Zobaczymy ją... Nie bój się niczego!... Ja jestem przy tobie!...

W tej samej chwili, pani Burbankowa, odchodząc od przytomności, dążyła prawym brzegiem rzeki, daremnie usiłując dogonić statek, unoszący jej córkę ku przeciwległemu wybrzeżu.

Ciemności były gęste w owej chwili. Pożary, rozpalone na dominium, zaczynały gasnąć z hukiem podobnym do wystrzałów. Z tych dymów nagromadzonych w kierunku północnym, wydobywały się już tylko rzadkie wybuchy płomieni, które powierzchnia rzeki odbijała niby lotne błyskawice.

Potem wszystko się pogrzyżyło w ciszy i ciemnościach. Statek posuwał się wzdłuż kanału rzeki, której brzegów nawet nie można już było widzieć. Nie mógłby on być bardziej odosobnionym, samotnym, na pełnym morzu.

Ku jakiej przystani dążył statek, sterowany przez Squambo? Tego się dowiedzieć było najpilniejszą rzeczą. Indyanina zapytać, na nic by się nie zdało; dla tego Zerma starała się zorientować co było trudne, wśród tych głębokich ciemności, dopóki Squambo nie oddaliłby się od środka Saint-John. Fale przybierały i pod pagają dwóch murzynów szybko posuwano się ku południowi.

Jednak, jakżeby to było potrzebne, żeby Zerma zostawiła ślad swego przemknięcia się, dla ułatwienia poszukiwań swojemu panu! A na tej rzece było to nie możliwe. Na łądzie, kawałek okrycia zarzucony na jaki krzak, mógłby służyć za trop, po którym możnaby trafić aż do celu. Ale na co by się zdało, powierzyć prądom jakiś przedmiot należący do dziewczynki lub do niej? Mogłaż się spodziewać, żeby go traf oddał w ręce Jamesa Burbanka? Trzeba się było zrzec tego i rozpoznać tylko, w jakim punkcie Saint-Johnu statek przybije do lądu.

Godzina upłynęła w tych warunkach. Squambo nie wyrzekł ani słowa. Dwaj murzyni wiosłowali w milczeniu. Żadne światło nie ukazywało się na wybrzeżach, ani w domach ani pod drzewami, które się rysowały niewyraźnie w ciemnościach.

Rzucając spojrzenia w prawo i w lewo, dla uchwycenia jakiej bądź wskazówki, Zerma rozmyślała tylko o niebezpieczeństwach, grożących dziewczątku. O siebie nie troszczyła się wcale. Wszystkie jej obawy skupiały się na tem dziecku, z pewnością porwał je Texar.

O tem nie mogła wątpić. Poznała ona hiszpana który obrał sobie posterunek w przystani Marino, bądź że zamierzał dostać się do Castle House tunelem, bądź że czekał obrońców tegoż w chwili, kiedy by próbowali uciec tem wyjściem. Gdyby Texar nie był tak spiesźnie działał, pani Burbankowa

i Alicya Stannard, tak samo jak Dy i Zerma znajdowałyby się teraz w jego mocy. Jeśli nie dowiedział osobiście milicyą i bandę rabusiów, to dla tego, że zdawało mu się bezpieczniej czekać na rodzinę Burbanków w przystani Marino.

W każdym razie, Texar nie mógłby się wyprzeć udziału w porwaniu, gdyż Zerma głośno wymawiała jego imię. Pani Burbankowa i miss Alicya musiały je usłyszeć. Później, gdy wybiłaby godzina sprawiedliwości, gdy hiszpan musiałby odpowiadać za swe zbrodnie, nie mógłby się tym razem uciec do jednego z tych niewytłómaczonych alibi, które aż nadto mu się dotąd udawały.

Jakiż los gotował swoim ofiarom? Czy je wygna do bagnistych Ewerglad, po za źródła Saint-John? Czy się pozbędzie Zermy, jako niebezpiecznego świadka, którego zeznanie mogłoby go zgubić kiedyś? Wszystko to rozważała metyska.

Byłaby chętnie życie złożyła w ofierze dla ocalenia dziecięcia porwanego wraz z nią. Ale gdyby ona poniosła śmierć, cóżby się stało z Dy w rękach Texara i jego towarzyszków? Ta myśl dręczyła ją i wtedy przyciskała silniej dziewczynkę do piersi jak gdyby Squambo miał zamiar wyrwać ją z jej objęć.

W tej chwili, Zerma mogła zauważyć, że statek zbliża się do lewego wybrzeża rzeki. Czy jej to mogło służyć za wskazówkę?

Nie, gdyż nie wiedziała, że hiszpan mieszka w głębi czarnej przystani, na jednej z wysepek, tej laguny, jak nie wiedzieli tego nawet stronnicy Texara, gdyż nikt nie bywał dopuszczany do blokauzu zajmowanego przezeń ze Squambo i z murzynami.

Rzeczywiście, tam to, Indyanin miał zawieźć Dy i Zermę. W głębi tej tajemniczej okolicy Zerma podniosła się natychmiast. W tych warunkach, dostrzegła ona sposobność ucalenia się. Wszakże mogła zawołać, powiedzieć kto jest, zażądać pomocy, uciec przed Squambo.

Indyanin stanął przed nią. Trzymał on w jednym ręku borie-knife, drugą schwyił dziewczynkę, którą Zerma daremnie usiłowała mu wyrwać.

„Jeśli krzykniesz, to ją zabiję“ rzekł.

Gdyby szło o poświęcenie własnego życia, Zerma nie byłaby się wahała; ale ponieważ nóż Indyanina dziecku groził, umilkła.

Zresztą, z pokładu Stoam-boatu nie można było nie widzieć, co się dzieje w ich statku, Steamboat przybywał z Picolata, z kąd zabrał oddział milicyi, zdążającej do Jacksonville dla wzmocnienia pułków Południowców, które to pułki miały nie dopuszczać do zajęcia rzeki.

Jeden z oficerów, wychyliwszy się wtedy za pomost, zapytał Indyanina:

— „Dokąd płyniesz.

— Do Picolata“.

Zerma zachowała w pamięci to imię, mówiąc sobie jednak, że Squambo ma interes w zatajeniu prawdy.

— Skąd wypłynąłeś?

— Z Jaksonville.

— Czy zaszło tam co nowego?

— Nie.

— Nic nie słyhać o flotylli Dupont'a?

— Nic.

— Nie było żadnych o niej wiadomości od czasu ataku na Fernandinę i na fort Chinch?

— Nie, ani jedna kanonierka nie przepłynęła przez przesmyki Saint-John?

— Co znaczyły te błyski, cośmy widzieli, te wystrzały, co nas dochodziły z Północy, podczas kiedy statek nasz stał, czekając przyplywu?

— To był atak na plantacyą Camdless-Bay dzisiejszej nocy.

— Atak Nordzistów?

— Nie! milicyi Jacksonvilskiej. Właściciel chciał się oprzeć rozkazom komitetu...

— Dobrze... Dobrze! To ten James Burbank... ten wściekły abolicyonista!...

— Tak ten sam.

— I jakże się skończyło?

— Niewiem... Widziałem to tylko wymijając czołnem... Zdawało mi się, że wszystko jest w płomieniach!'

Tu słaby okrzyk wyrwał się z piersi dziewczki. Zerma zasłoniła jej ręką usta, w chwili, kiedy palce Indyanina zbliżały się do jej szyi. Oficer stojący na pomoście Steam-boasu, nic nie usłyszał.

— Czy strzelano z armat do Camdless-Bay zapytał?

— Wątpię.

— Więc coś znaczyły te trzykrotne wystrzały jakieśmy słyszeli i które zdawały się wychodzić ze strony Jacksonville?

— Nie mogę na to odpowiedzieć.

— A zatem Saint-John jest jeszcze wolny od Picolata aż do swego ujścia?

— Zupełnie wolny i możecie płynąć na dół; nie grożą wam kanonierki.

— Dobrze — w drogę!“

Rozkaz został przesłany machinie i Steam-boat miał już pomknąć dalej.

— Poproszę jeszcze o pewne objaśnienie, rzekł Squambo do oficera.

— O jakie?

— Noc jest bardzo ciemna... Nie mogę rozpoznać miejsca... Może mi pan powiesz, gdzie jestem?

— Na wysokości Czarnej Przystani.

— Dziękuję.

Gdy się czółno Indyanina oddaliło na kilka sążni, brzask rzucał już różowe blaski na powierzchnię rzeki. Steam-boat zwolna zniknął w ciemnościach, zostawiając za sobą wodę silnie zmaconą potrącaniem jego ogromnych kół.

Squambo, będąc teraz sam jeden na środku rzeki, usiadł napowrót w tyle czółna i polecił sterować. Znał on już położenie, puścił się więc w stronę Czarnej Przystani.

Że w tem nieprzystępnem miejscu schroni się Indyanin, Zerma nie mogła już wątpić o tem i nie jej z tego nie mogło przyjść. Jakimże sposobem powiadomiłaby swego pana i jakżeby się dało zarządzić poszukiwania w tym labiryncio? Alboż zresztą, po za przystanią, lady hrabstwa Duval nie utrudniłyby ich, w razie, gdyby James Burbank ze swymi przyjaciółmi zdołali przebrnąć lagunę? W tej zachodniej części Florydy, było jeszcze prawie niepodobienstwem natrafić na trop.

Prócz tego przedstawiałoby to niebezpieczeństwo. Saninolowie, blakający się po tych terytoryach lesistych albo bagnistych, mogli wzbudzać postrach. Byli oni skorzy do rabowania podróżnych i zabijali próbujących stawić opór.

Osobliwa i rozgłośna przygoda miała nawet miejsce przed niedawnym czasem na górnej części hrabstwa, trochę ku północy zachodowi Jacksonvillu, kilkunastu Florydczyków, udających się do wybrzeża zotoki meksykańskiej, zostali napadnięci przez pewne pokolenie Seminolów. Dla tego tylko nie wyróżniło ich co do jednego, że się wcale nie bronili co byłoby zresztą bezowocne, ponieważ było 10-ciu wrogów na jednego z nich.

Tych pocziwców zrabowano więc doszczętnie i ogołoco no nawet z odzieży. Prócz tego, pod karą śmierci, przykazano im, żeby się już nigdy nie pokazali na tych terytoryach, do własności których Indianie roszczą sobie prawa.

Ażeby ich poznać w razie gdyby przekroczyli ten zakaz, przywódzca bandy użył bardzo prostego sposobu. Kazał im wytatuować na rękę dziwaczny znak sokiem rośliny wydającej farbę, a to przez nakłówanie igłą. Znaku tego nie można już było niczem zatrzeć.

Po dokonaniu tej operacyi, odprawiono owych Florydczyków, nie wyrzadzwszy im nic złego.

Powrócili oni do plantacyj północnych w dosyć pożałowania godnym stanie, — nacechowani niejako bronią plemienia indyjskiego i, rozumie się, że ich nie brała chęć popaść znowu w ręce Seminolów, którzy, tym razem, wymordowaliby ich bez miłosierdzia, przez poszanowanie dla swego podpisu.

W innym czasie, milicye hrabstwa Duval, nie przepuściłyby takiego zamachu bezkarnie: pogoniłyby za Indianami.

Ale w owej epoce, było coś pilniejszego do roboty, aniżeli rozpoczynanie na nowo wyprawy przeciw tym napadom.

Obawa, żeby wojska federalne nie zagarnęły kraju, górowała nad wszystkim. Przedewszystkiem chodziło o to, żeby im nie dać zawładnąć Saint-Johnem a wraz z nim, okolicami, jakie zrasza.

Dla tego, nie można było uszczuplać sił Poludniowców, rozłożonych od Jacksonville aż do granicy georgijskiej. Później, byłby na to czas, żeby ścigać Seminolów ośmielonych wojną domową do tego stopnia, że się wkraczali na te północne terytoria, z których, mniemano, że są na zawsze wygnani. Wtedy, niepoprzestano by na wyparciu ich do bagnisk w Eweryla lecz wyróżniło by ich co do jednego.

Tymczasem, niebezpiecznie było zapuszczać się na terytoria położone na zachodzie Florydy i gdyby James Burbank skierował kiedy w tę stronę poszukiwania, byłoby to przysporzeniem niebezpieczeństw nieodłącznych od podobnej ekspedycji.

Czołno zbliżyło się do prawego brzegu rzeki. Squambo, wiedząc, że jest na wysokości Czarnej Przystani, do której wpadają wody Saint-Johnu, przestał się lękać potknięcia o jaką rafę.

Dla tego też w 5 minut później, czołno wsunęło się pod ciemne sklepienie z drzew, gdzie panowała głębsza jeszcze pomroka niż, na powierzchni rzeki.

Jakkolwiek Squambo był doskonale obeznany z zasadzkami tej laguny, nie podołałby im w takich warunkach.

Ale ponieważ nie mógł już być dostrzeżony, czemużby sobie nie rozjaśnił drogi? Uciąłwszy żywiczną gałąź z drzewa, rosnącego na wybrzeżu, za-

tknięto ją zapaloną na przodzie czółna. Jej sadzowate światło miało wystarczyć wprawnemu oku Indyana do orjentowania się w przesmykach. Po półgodzinnem blisko zagłębianiu się w kręte koryto przystani, przybył on nakoniec do wysepki Blockhauzu.

Zerma musiała wtedy wystąpić na ląd. Dziewczynka znużona usnęła na jej rękach. Nieobudziła się wtenczas nawet, gdy metyska przebywszy galerję podziemną forteczki została zamkniętą w jednym z pokojów przylegających do centralnego szańca.

Dy, owiniętą w kołdrę, która się tam poniewierała, położyła Zerma na jakimś barłogu, sama zaś czuwała przy niej.

II.

Szczególna operacya.

Nazajutrz, 3-go marca, o 8-mej rano, Squambo wszedł do pokoju, w którym Zerma przepędziła noc. Przyniósł on na pożywienie chleb, kawalek wędliny owoce, butelkę dosyć mocnego piwa, dzbanek wody, i różne naczynia. Zarazem jeden z murzynów postawił w kącie stary sprzęt, mający służyć za komode i toaletę, a w nim trochę bielizny, jako to: prześcieradła, ręczniki i inne drobiazgi, którychby Zerma używać mogła dla małej Dy, i dla siebie.

Dy spała ciągle: Zerma zrobiła bowiem błagalny znak, żeby jej Squambo nie budził.

Gdy murzyn wszedł, Zerma zapytała po cichu Indianina:

„Co chcą z nami zrobić?”

— Nie wiem — odpowiedział Squambo.

— Jakie rozkazy odebrałeś od Texara?

— Czy one pochodzą od Texara, czy od kogo

innego, odparł Indyanin, radzę ci stosować się do nich, dopóki tu będziesz, ten pokój będzie twoim i na noc będziesz zamykana w szańcu forteczki.

— A w dzień?..

— Będziesz mogła chodzić swobodnie wewnątrz fortecy.

Dopóki będziemy tutaj?.. zapytała Zerma. Mogę wiedzieć, gdzie jesteśmy?

Tam, gdzie mi kazano was zawieźć.

— I pozostaniemy tu?..

— Jużem ci powiedział, co miałem do powiedzenia o więcej naprózno byś zapytywała, bo nie będę już odpowiadał.

Po tych słowach, Squambo, któremu rzeczywiście nie było wolno powiedzieć nic więcej, wyszedł z pokoju, metyska zaś pozostawała sama przy dziecku.

Zerma spojrzała na dziecko, stanęły jej w oczach łzy, które czempredziej obtarła, żeby Dy, po przebudzeniu się nie spostrzegła, że ona płakała. Chodziło jej o to, żeby się dziecko oswoiło powoli ze swoim nowem położeniem, — może bardzo groźnem, gdyż można się było wszystkiego lękać ze strony Hiszpana.

Zerma rozmyślała nad tem, co zaszło od wczoraj. Widziała ona dobrze, iż pani Burbankowa i miska Alicya szły w górę wybrzeża, podczas gdy czółno oddalało się od tegoż wybrzeża. Ich rozpaczliwe wołania, ich rozdzierające krzyki doszły ich uszu. Ale

czy im się udało dotrzeć do Castle - House, dostać się do tunelu, wejść do obłożonego domu i uwiadomić Jamesa Burbanka, jako też jego towarzyszy o nowem nieszczęściu, co na nich spadło? Alboż ludzie Hiszpana nie mogli je porwać, uprowadzić daleko od Camdless-Bay, a może i zabić? Jeśli rzecz się tak miała, James Burbank nie wiedział o porwaniu dziewczynki wraz z Zerwą. Mógł myśleć, że jego żona, miss Alicya, dziecko, metyska, zdołały popłynąć do przystani Marino i dostać się do Cedar-Rey, gdzie byłyby bezpieczne. W takim razie nie prędko zacząłby je szukać..

A przypuściwszy, że pani Burbankowa i miss Alicya mogły powrócić do Castle-House, że James Burbank wie o wszystkim, czyż się nie należało lękać, że dom został opanowany, zrabowany, spalony, zrujnowany, przez napastników? W takim razie, co się stało z jego obrońcami? Czy popadli w niewolę czy ponieśli śmierć, Zerwa nie mogła się już spodziewać z ich strony pomocy. Gdyby nawet nordziści zawładnęli Saint-Johnem, była ona zgubiona. Gilbert Burbank i Mars nie dowiedzieliby się, że jednego z nich siostra, a drugiego żona są więzione na tej wysepce Czarnej Przystani!

A więc, jeśli tak jest, jeśli Zerwa tylko na siebie może rachować, to ją energia nie opuści. Uczyni wszystko, co będzie w jej mocy, żeby ocalić to dziecko, które może prócz niej, nie ma już milszego

ni świecie. Życie jej skupiało się w tej myśli: uciec. Ani jedna godzina nie upłynie, w którejby nie była zajęta przygotowaniem sobie środków.

A jednak, byłoby to możliwą rzeczą wydostać się z forteczki, strzeżonej przez Squambo i jego towarzyszków, wymknąć się tym dwom srogim zbirom, którzy krążyli dokoła zamkniętego wnętrza forteczki, uciec z tej wysepki, ginącej w tysiącnych zakrętach laguny? Tak, było to możliwe, ale pod warunkiem, żeby jej potajemnie dopomógł który z niewolników Hiszpana, znający doskonale przesmyki Czarnej Przystani. Czemużby przynęta znacznej nagrody nie skłoniła jednego z tych ludzi, by dopomógł Zermie w tej ucieczce?.. Do tego to miała zmierzać wszystkimi siłami.

Mała Dy przebudziła się nakoniec. Pierwsze słowo jakie wymówiła, było przyzywaniem matki. Następnie obejrzała się po pokoju. Przypomniały jej się wczorajsze wypadki spojrzała na metyskę i przybiegła do niej.

„Dobra Zermo!.. Dobra Zermo!.. szeptało dziewczątko. Boję się... Boję się!..

— Nie trzeba się bać, moja najdroższa!

— Gdzie mama?..

— Przybędzie tu... niedługo!.. Byliśmy zmuszone uciec... wiesz dobrze!.. Jesteśmy teraz bezpieczne!.. Tu niema się już czego obawiać!.. Skoro tylko pan Burbank otrzyma pomoc, zaraz się z nim połączymy!..“

Dy patrzyła na Zerme, jak gdyby chciała powiedzieć.

„Czy to prawda?”

— Tak odpowiedziała Zerma, dla uspokojenia dziecka, tak p. Burbank zalecił, żebyśmy go oczekiwały tutaj.

— Ale ci ludzie, co nas 'porwali w swoim czólnie?.. powiedziała znowu dziewczynka.

— To są słudzy p. Harvey'a moja najdroższa!.. Wiesz, pana Harveya, przyjaciela twego papy, który mieszka w Jacksonville!.. Jesteśmy w jego willi, w Hampton-Red!

— A mama, a Alicya, które były z nami, dla czego ich tu niema?..

— Pan Burbank ich zawołał w tej chwili, kiedy miały wsiąść do czólna... przypomnij sobie...

Jak tylko ci źli ludzie zostaną wygnani z Camdless-Bay, to zaraz tu kto po nas przybędzie!..

Nie płaczże... nie płacz... Nie bój się już, moja najdroższa, nawet jeśli zostaniemy kilka dni! Jesteśmy tu tak dobrze ukryte!.. Chodź, ubiorę cię!..

Dy wpatrywała się uporczywie w Zerme i pomimo słów metyski z usteczek jej wyrwało się ciężkie westchnienie. Wbrew zwyczajom, po przebudzeniu się, nie zdołała rozjaśnić twarzyczki uśmiechem, należało więc przedewszystkiem zająć ją, rozerwać. Zerma gorliwie wzięła się do tego. Ubrała Dy tak

starannie, jak gdyby dziewczynka znajdowała się w swoim ładnym pokoju w Castle - House, starając się przytem zabawić ją opowiadaniem historyj. Potem Dy jadła trochę i Zerma towarzyszyła jej przytem pierwszym śniadaniu.

„Teraz, moja droga, jeśli chcesz, to się przejdziemy pó dziedzińcu...”

— Czy tu jest pięknie w tej willi p. Harvey'a? zapytało dziecię.

— Czy tu pięknie? Nie; zdaje mi się, że to stara warownia!.. Ale są drzewa, jest woda, — jest gdzie przechadzać się... Zresztą, zostaniemy tu tylko kilka dni i, jeśli się nie będziesz bardzo nudziła, jeśli się grzecznie zachowasz, to mama będzie zadowolona.

— Dobrze, moja dobra Zerme, dobrze — będę grzeczną!

Drzwi od pokoju nie były zamknięte na klucz. Zerma wzięła dziecko za rączkę i obie wyszły. Znalazszy się zrazu w mrocznym wnętrzu, po chwili wydostały się na pełnię światła pod sklepienie wielkich drzew, przez które przedzierały się promienie słoneczne.

Środek warowni nie był rozległy, tylko niecały akr, którego znaczną część zajmował blockhaus. Okalająca ją palisada nie pozwoliła Zermie rozpoznać położenia wysepki na tej lagunie. To tylko zdołała dejrzeć przez otwór, że ją oddziela dosyć szeroki mętny kanał, od sąsiednich wysepek.

Kobieta i dziecko napotkałyby więc wielkie trudności w ucieczce. W razie, gdyby nawet Zerma zdołała zdobyć czółno, jakimże sposobem wydobyłaby się z tych zakrętów bez końca? Czego też nie wiedziała, to, że jedynie Texar i Squambo byli obeznani z przesmykami. Murzyni, zostający na usługach Hiszpana, nie wychodzili z forteczki, nigdy nie przekroczyli nawet jej murów i nie wiedzieli, gdzie są zatrzymani. Ażeby dostać się na wybrzeże Saint-Johnu, albo do bagien, przylegających do przystani od zachodu, musiałyby ryzykować, co pociągnęłoby niechybłą zgon.

Zresztą, przez następne dni, Zerma, rozpoznawszy sytuację, nie mogła spodziewać się pomocy od niewolników Texara. Po większej części byli to murzyni na wpół zbydlęceni, nie budzący zaufania. Jakkolwiek Texar nie trzymał ich na łańcuchu, niemniej byli w niewoli. Dobrze żywieni produktami wysepki, oddani mocnym napojom, których im Squambo nie szczędził. Przeznaczeni tylko do strzeżenia blockhauzu i jego obrony w razie niebezpieczeństwa nie mieli powodu pragnąć innego życia.

Kwestja niewolnictwa, rozstrzygająca się o kilka mil od Czarnej przystani nie była tej natury, żeby ich roznamiętnić. Odzyskać wolność? Jaki by z niej zrobili użytek? Texar zapewniał im utrzymanie, a Squambo nieźle się z nimi obchodził, chociaż był to człowiek, któryby roztrzaskał głowę temu, coby ją śmiało podnieść do góry. Nie przychodziło im to

nawet na myśl. Były to bydłeta, niższe od dwóch ogarów, krążących do koła forteczki. Można powiedzieć bez przesady, że te zwierzęta przewyższały ich inteligencję. Owe psy znały całą przystań, przebywały bowiem wplaw jej liczne przesmyki, biegały z wysepki do wysepki, i dzięki zdumiewającemu instyktowi, nie zablądziły nigdy.

Ich szczekanie rozlegało się niekiedy aż na lewym brzegu rzeki, skąd wracały znów o zmroku do blockhauzu. Żaden statek nie mógłby wtargnąć do Czarnej Przystani, bez uwiadomienia przez stróżów. Oprócz Squambo i Texara, każdego któryby przekroczył mury forteczki, pożarłyby te dzikie potomki psów karaibskich.

Chociaż Zerma zauważyła, jak pilnie jest strzeżona forteczka, chociaż zmiarkowała, że nie może liczyć na pomoc ze strony swego otoczenia, nie upadła jednak na duchu, jak wiele innych kobiet uczyniłoby na jej miejscu, lecz rozważała swoje położenie: pomoc mogła przyjść ale z zewnątrz, to jest od p. Burbanka, jeśli będzie w stanie działać, albo od Marsa, jeżeli się dowie w jakich okolicznościach żona jego znikła. Ponieważ jeden i drugi nie dawał znaku życia, musiała cierpliwie czekać, co też postanowiła.

Zerma, zupełnie odosobniona w głębi tej laguny, widywała do koła siebie tylko dzikie twarze. Zdawało jej się jednak, że jeden z murzynów, młody jeszcze spoglądał na nią z pewnem politowaniem.

Czy należało powziąć stąd nadzieję? Czy mogłaby mu się zwierzyć opisać położenie Camdless - Bayu, namówić go, żeby uciekł do Castle-House. Było to rzeczą wątpliwą. Zresztą Squambo musiał spostrzedz te oznaki współczucia ze strony niewolnika, gdyż później był trzymany na uboczu. Zerma już go nie spotykała na swych przechadzkach po wnętrzu forteczki.

Kilka dni upłynęło bez żadnej zmiany w położeniu.

Zerma i Dy mogły swobodnie krążyć od rana do wieczora w obrębie murów, w nocy zaś, jakkolwiek ich Squambo nie zamykał w ich pokoju, nie mogłyby się wymknąć z zabudowania. Indyanin nigdy do nich nie przemawiał; dla tego Zerma musiała się zrzec zamiaru wybadania go. Nieopuszczał on wysepki ani na chwilę i czuło się, że bezustanku czuwa nad brankami. Zerma poświęciła się przeto cała dziecku, które ciągle wydzierało się do matki

— Mama tu przyjedzie, miałam od niej wiadomość, odpowiedziała Zerma, ojciec także ma przyjechać z miss Alicyą, moja najdroższa!..

Po takiej odpowiedzi nie wiedziała już biedaczka, co wymyśleć na wszelkie sposoby usiłowała rozerwać dziewczynkę, która okazywała się nad wiek swój roztropną.

Upłynął 4, 5 i 6 marca. Zerma nadsluchiwała, czy wystrzały nie oznajmią jej zdaleka, że flotylla federalna znajduje się na wodach Saint - Johnu, ale

zaden odgłos jej nie dochodził, w Czarnej Przystani panowała zupełna cisza. Należało stąd wnosić, że Floryda jeszcze nie należała do wojska Unii. Metyskę niepokoiło to w najwyższym stopniu. Jeśli James Burbank i jego towarzysze nie mogli działać, to przecież mogła się spodziewać interwencji Marsa i Gilberta. Gdyby ich kanonierki opanowały rzekę, to oni by obszukali całe wybrzeża i potrafiliby dotrzeć aż do wysepki. Pierwszy lepszy z Camdless-Bay powiadomiłby ich o tem co zaszło, tymczasem nic nie wskazywało na zmianę na rzece. Co było także dziwne, że Hiszpan nie pokazał się jeszcze ani razu w forteczce, ani w dzień ani w nocy.

Przynajmniej Zerma nie zauważyła nic takiego, coby ją naprowadziło na to przypuszczenie. Jednakże, prawie wcale nie sypiała i długie bezsenne godziny upływały jej na wsłuchiwanie się — do owej chwili, nadaremnie.

Zresztą, cóżby mogła uczynić, gdyby Texar przybył do Czarnej Przystani, gdyby ją powołał przed siebie? Czyby wysłuchał jej błagań albo pogroźek? Czy obecność Hiszpana nie przedstawiała raczej niebezpieczeństwa?

Wieczorem, 6-go marca, Zerma po raz tysięczny rozmyślała nad tem wszystkim. Była to już 11 godzina; Dy spała dosyć spokojnie. W ich pokoiku panowała zupełna ciemność. Zaden odgłos nie dochodził z zewnątrz, prócz świstu wiatru, po przez spruchniałe tarcice blokhauzu.

W tej chwili, doszły uszu metyski czyjeś kroki wewnątrz budynku. Zrazu przypuszczała, że to Indianin w rondzie nocnym, wraca do swej izdebki, położonej na przeciw ich sypialni.

Zerma usłyszała wtedy kilka słów zamienionych pomiędzy dwoma indywiduami. Zbliżywszy się do drzwi nadstawiła ucha i doszedł ją głos Squamba a prawie zaraz potem i Texara.

Przeszedł ją dreszcz. W jakim celu Hiszpan pojawił się o tej godzinie, w forteczce? czy się chciał znowu dopuścić jakiego podstępu z metyską i dzieckiem? Czy je miał porwać z ich pokoju, przenieść do innej, jeszcze mniej znanej i mniej dostępnej kryjówki tej Czarnej Przystani. W jednej chwili wszystkie te przypuszczenia opanowały umysł Zermę... lecz energia wzięła w niej górę... Przytuliwszy się do drzwi, słuchała:

„Nic nowego? odezwał się Texar.

— Nic, panie, — odpowiedział Squambo:

— A Zerma?

— Nieodpowiadałem na jej pytania.

— Czy probowano dostać się do niej po ataku na Camdless-Bay?

— Probowano, ale daremnie“.

Odpowiedź ta objaśniła Zermę, że ją poszukiwano; ale kto?

— Jakim sposobem dowiedziałeś się o tem?

— Docierałem kilka razy aż do wybrzeża Saint-Johnu, — odpowiedział Indianin i kilka dni temu,

zauważył, że jakaś barka krąży do koła Czarnej Przystani i dwóch ludzi wylądowało nawet na jednej z wysepek wybrzeża.

— Kto byli ci ludzie?

— James Burbank i Walter Stannard!

Zerma z trudnością poskromiła swe wzruszenie.

To byli James Burbank i Walter Stannard.

A więc obrońcy Castle-House nie wszyscy padli podczas ataku na plantację i ponieważ zaczęli poszukiwanie wiedzą zatem o porwaniu dziecka i metyski, kiedy zaś wiedzą o tem zdarzeniu, to znaczy, że pani Burbankowa i miss Alicya mogły ich powiadomić. Obie zostały także przy życiu. Obie mogły powrócić do Castle-House, usłyszawszy ostatni krzyk Zermy, wołającej o pomoc przeciw Texarowi. James Burbank wiedział przeto, co zaszło. Wiadomo mu było imię nędznika. Może nawet domyśla się, w którym miejscu ukryte są jego ofiary? Będzie umiał na koniec dotrzeć do nich.

Te wszystkie fakta przesunęły się w jednej chwili przez myśl Zermy. Opanowała ją ogromna nadzieja, która — jednakże — rozviała się na tych miast, gdy doszła jej uszu odpowiedź Hiszpana.

— Niechaj sobie szukają, ale nie znajdują! Zre-sztą, za kilka dni James Burbank przestanie być groźnym!

Co znaczyły jego słowa, tego metyska nie mogła zrozumieć. W każdym razie, ze strony człowieka, pod którego rozkazami znajdował się komitet Jacksonvillski, musiało to być straszną pogróżką.

„Teraz potrzebuję cię na godzinę, Squambo, rzekł Hiszpan.

— Jestem na rozkazy pańskie.

— Chodź za mną!

Po chwilce obaj znajdowali się w pokoju, zajmowanym przez Indyanina.

Co oni tam mieli robić? Czy nie ma w tem jakiej tajemnicy, z którejby Zerma mogła skorzystać? W tem położeniu należało wszystko wyzyskiwać.

Jak wiadomo, pokój metyski nie był zamknięty nawet na noc. Ta ostrożność byłaby zresztą daremną. Gdyż budynek był zamknięty wewnątrz i Squambo nosił przy sobie klucz od niego. Było przeto niepodobieństwem wyjść z blockhauzu, a tem samem kusić się na ucieczkę.

W ten sposób, Zerma mogła otworzyć drzwi od swego pokoju i zbliżyć się, tamując oddech.

Ciemność była głęboka: tylko kilka promyków światła wydobywało się z pokoju Indyanina, Zerma stanawszy przy drzwiach zobaczyła przez szpary rzecz osobliwą i nieznaną.

Oto Texar siedział przed Indyanem rozebrany ze swojej skórzanej kurtki, z lewem ramieniem obnażonym i wyciągniętym na stoliku, tuż pod światłem luczycywa, papier dziwacznej kształtu, gęsto pokłuty położony został na zewnętrznej części ramienia i za pomocą cienkiej igły, przekłuwał mu Squambo skórę w miejscach oznaczonych dziurkami na papierze. Była to operacya tatuowania, w której Indya

nin musiał być bardzo biegły, jako Saninol. Rzecz y-wiście wywiązywał się z zadania dosyć zręcznie i dotykając lekko na skórkę, kłuł końcem igły, tak, żeby Hiszpan nie doznawał żadnego bólu.

Dokonawszy dzieła, odjął on papier; poczem wziął kilka liści, przyniesionych przez Texara i potarł niemi jego ramię. Sok tej rośliny, wsączony w pokłucia igłą, sprawiał pewne swędzenie, ale Hiszpan znosił to cierpliwie, nie sobie nie robiąc z tej drobnostki.

Gdy dokonano operacyi, Squambo przysunął łuczycwo do części utatuowanej. Czerwonawy deseń ukazał się wyraźnie na ramieniu Texara.

Ten deseń był wiernem odbiciem wzoru, wyktutego igłą na papierze. Kopje była zrobiona z największą dokładnością. Był to szereg pokrzyżowanych linii, które przedstawiały jedną z symbolicznych figur wierzeń seminolskich. Ten znak miał już na zawsze pozostać.

Zerma wszystko widziała, lecz nie mogła zrozumieć tego, co się przedstawiało jej oczom. Jaki interes mógł mieć Texar w ozdobieniu się tem tatuowaniem. Na co mu potrzebny ten „szczególny znak“ zamieszczany zwykle w pasportach. Czyżby się chciał podawać za Indyanina? Tak cera jak wogóle cały charakter jego osoby sprzeciwiały się temu.

Czy nie należało raczej widzieć związek pomiędzy tym znakiem, a tantym jaki przemocą zro-

biono owym kilku podróżnym florydzkim, którzy wpadli w ręce pewnej partyi seminolów, na północy hrabstwa? Czy Texar nie zamyślał czasem udowodnić w ten sposób swego zagadkowego alibi, co mu się już nieraz tak dobrze udało.

Może też, rzeczywiście, jestto jedną z tajemnic jego życia prywatnego, którą przyszłość wydobędzie na jaw.

Inna jeszcze kwestya powstała w umyśle Zermy.

Czy Hiszpan po to tylko przybył do blockhauzu, żeby skorzystać z biegłości Squamba w tatuowaniu? Czy po dokonaniu tej operacyi powróci on niezwłocznie na północ Florydy i zapewne do Jacksonville, gdzie jego stronnicy są jeszcze panami? Albo czy nie zostanie raczej w blockhauzie aż do dnia i czy nie każe stawiać się przed sobą metysce, czy nie powźmie jakiej nowej decyzyi względem swoich branek?

Co do tego, prędko się uspokoiła Zerma. W chwili, kiedy Hiszpan podniósł się, żeby wyjść z pokoju ona szybko wskoczyła do swego i przytulona do drzwi, podsłuchiwała słowa zamienione pomiędzy Indyaninem i jego panem.

„Czuwaj baczniej jeszcze niż kiedykolwiek, — powiedział Texar.

— Dobrze, — odpowiedział Squambo. Jednakże, gdyby na was natarł w Czarnej Przystani James Burbank...

— Mówię ci, że James Burbank przestanie być groźnym za kilka dni. Zresztą, w razie potrzeby, wiesz, gdzie metyska i mała mają być zawiezione... tam, gdzie i ja bym się musiał wraz z tobą schronić.

— Tak panie odpowiedział Squambo, — gdyż trzeba także przewidzieć wypadek, że Gilbert syn Jamesa Burbanka i Mars, mąż Zermy...

— Zanim upłyne 48 godzin, będą w moim ręku, — odpowiedział Texar, — a gdy ich będę trzymał...“

Zerma nie usłyszała końca tego frazesu tak groźnego dla jej męża i dla Gilberta.

Texar i Squambo wyszli zaraz z forteczki, która zamknęła się za nimi.

W kilka minut później czółno, sterowane przez Indyanina, oddalawszy się od wysepki, zaczęło lawirować pomiędzy ciemnymi zakrętami laguny, i po niejakiś czasie, dotarło do statku, oczekującego na Texara w miejscu, gdzie przystań łączy się z rzeką Saint-John.

Hiszpan rozstał się tam ze Squambo, dawszy mu ostatnie zlecenia, po czem, szybko podążył w kierunku Jacksonvillu.

Tam to przybył on o świcie, w samą porę dla skutecznienia swych zamysłów. Rzeczywiście w kilka dni potem Mars znikł pod wodami Saint - Johnu, a Gilbert Burbank był skazany na śmierć.

III.

W i g i l i a.

Dnia 11-go marca rano komitet Jacksonvillski wydał wyrok na Gilberta Burbanka. W tymże samym dniu wieczorem, ojciec jego został aresztowany z rozkazu tegoż komitetu. Młody oficer miał być rozstrzelany na 3-ci dzień, a James Burbank, oskarżony o współnictwo z nim, skazany na tę samą karę, miał ponieść śmierć wraz z nim!

Jak wiadomo, Texar był wszechwładnym panem w komitecie: jego wola stanowiła tam jedyne prawo.

Eksekucya, dokonana na ojcu i synu, miała być tylko wstępem do krwawych nadużyć, jakich się mieli dopuszczać mieszkańcy popierani przez pospólstwo, względem nordzistów z państwa florydzkiego i tych wszystkich, co podzielali ich ideje a co się zapatrywali tak samo jak oni na kwestyę niewolnictwa. Ileż to zemst osobistych wywieranoby pod płaszczem wojny domowej. Jedna tylko obecność wojsk federalnych

mogłaby je hamować. Ale czy one przybędą i czy przybędą na czas, zanim te pierwsze ofiary staną się pastwą nienawiści Hiszpana?

Na nieszczęście, należało wątpić o tem.

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką trwożą wzniecały w mieszkańcach Castle-House, te ciągle zwłoki

Tymczasem zdawało się, że komendant Stevens zaniechał chwilowo zamiaru popłynięcia w górę rzeki Saint-Johnu. Kanonierki nie ruszały się z miejsca. Czy lękały się przekroczyć tamę rzeki, teraz kiedy już nie było Marsa do pilotowania po przez kanał? czy się zrzekały zawładnięcia Jacksonvillem, a tem samem zabezpieczenia plantacyj położonych w górnej stronie Saint-Johnu? Jakież to nowe wypadki wojenne mogły zmienić projekta komandora Dupont?

Takie pytania zadawali sobie: p. Stannard i rządcą Perry w owym długim bez końca dniu 12-go marca.

Owego dnia, rzeczywiście, według pogłosek, jakie obiegały okolice Florydy pomiędzy rzeką a morzem, wysiłki nordzistów zdawały się skupiać poważnie na wybrzeżach. Komandor Dupont, dowodzący okrętem Wabas, za którym ciągnęły najsilniejsze kanonierki z jego eskadry, pojawił się w zatoce Ś-go Augustyna. Mówiono nawet, że milicye gotują się do opuszczenia miasta, nie próbując bronić fortu Marion, tak samo, jak przedtem nie broniły fortu Chuch, w chwili poddania się Fernandiny.

Takie, przynajmniej, wiadomości przyniósł rząd-

ca rano do Castla-House. Natychmiast udzielono ich p. Stannardowi i Edwardowi Carrol, który, z powodu nie zabliźnionej jeszcze rany, musiał spędzać dni leżąc na sofie w halli.

„Federaliści w mieście Ś-go Augustyna! wykrzyknął ten ostatni? Dla czego się nie udają do Jacksonville?”

— Może chcą tylko zagrodzić rzekę w górnym biegu, nieobejmując jej w posiadanie, odpowiedział p. Perry.

— James i Gilbert są zgubieni, jeśli Jacksonville pozostanie w rękach Texara! rzekł p. Stannard.

— Czy nie mógłbym zawiadomić komandora Dupont, o niebezpieczeństwie grożącym p. Burbankowi i jego synowi?

— Byłby to cały dzień drogi do miasta Ś-go Augustyna, odpowiedział p. Carrol, przypuściwszy, że nie zaareztowałyby pana cofające się milicje i zanimby doszedł Stevensa rozkaz komandora Dupont zajęcia Jacksonvillu, upłynęłoby za wiele czasu. Zresztą ten wał... ten wał rzeczny, jeśli kanonierki nie zdołają go przekroczyć, jakimże sposobem ocalić naszego biednego Gilberta, który jutro ma być stracony? Niel.. Nie do miasta Ś-go Augustyna należy się udać, ale do samego Jacksonvillu. Nie do komandora Dupont, lecz do Texara...

— Pan Carrol ma rację, ojcze, ja pójdę!“ rzekła miss Alicya, którą doszły ostatnie słowa p. Carrola.

Odważne dziewczę było gotowe na wszystko, byleby ocalić Gilberta.

Gdy w wigilią tego dnia James Burbank opuszczał Camdless-Bay, zalecał on nadewszystko, żeby żona nie dowiedziała się o jego wyjeździe do Jacksonville. Chciał ukryć to przed nią, że został aresztowany. Dla pani Burbankowej było to więc tajemnicą również jak i położenie syna, o którym myślała, że się znajduje przy swojej flotyli. Jakże ta nieszczęśliwa kobieta zdołałaby znieść podwójny cios, jaki w nią ugodził? Mąż jej w rękach Texara, syn jutro ma być stracony! Nieprzeżyłaby tego. Gdy zapragnęła zobaczyć Jamesa Burbanka, miss Alicya odpowiedziała tylko, że wyjechał z Castle-House. dla dalszego poszukiwania Dy i Zermy i że może zabawić około 48 godzin. Wszystkie myśli pani Burbankowej spoczęły na porwanem jej dziecku. W takim jak jej stanie i to było nad siły.

Ale miss Alicya wiedziała o wszystkim, co groziło Jamesowi i Gilbertowi Burbankom. Wiedziała, że młody oficer ma być nazajutrz rozstrzelany, i że taki sam los czeka jego ojca.. Postanowiwszy zobaczyć się z Texarem, przyszła prosić p. Carrola, żeby ją kazał przewieźć na drugą stronę rzeki.

„Ty... Alicyo... do Jacksonville! wykrzyknął p. Stannard.

— Mój ojciec... to jest konieczne!..“

Lecz wahanie się p. Stannarda ustąpiło nagle przed koniecznością szybkiego działania. Je-

śli Gilbert mógł być ocalony to jedynie tą drogą, jakiej chciała spróbować miss Alicya. Może zdoła wzruszyć Texara, gdy mu padnie do nóg? Może uzyska odłożenie egzekucyi? Może znajdzie poparcie pośród tych zacnych ludzi, których jej rozpacz zbuntuje nakoniec przeciw oburzającej tyranii komitetu? Należało więc udać się do Jacksonville bez względu na grożące tam niebezpieczeństwo.

Perry zechce mię doprowadzić do mieszkania p. Harveya, rzekła młoda miss.

— Natychmiast, — odpowiedział rządzca.

— Nie, Alicyo, ja sam będę ci towarzyszył, — odezwał się p. Stannard. — Tak ja sam... Jedźmy!..

— Ty, Stannardzie?.. odpowiedział Edward Carrol. Narażasz się... Jesteś zanadto znany z przekonań..

— Mniejsza oto rzekł p. Stannard. Niepozwole na to, żeby moja córka udała się sama jedna pomiędzy tych szaleńców. Niechaj Perry zostanie w Castle-House, Edwardzie, kiedy ty nie możesz jeszcze chodzić, bo trzeba się przygotować na wypadek, gdyby nas zatrzymano...

— A jeśli pani Burbankowa zapyta o nas, odpowiedział Edward Carrol, — jeśli zażąda miss Alicyi, co mam odpowiedzieć?

— Odpowiedz, że razem z Jamesem Burbankiem udaliśmy się na poszukiwania z drugiej strony rzeki.. Powiedz nawet, jeśli będzie trzeba, żeśmy się musieli udać do Jacksonville... słowem, wszystko, co wypadnie, dla uspokojenia pani Burbankowej; ale

niechaj nie podejrzewa niebezpieczeństw, grożących jej mężowi i synowi... Perry, każ przygotować stątek!“

Rządzca wyszedł natychmiast, a p. Stannard zaczął się gotować do podróży.

Byłoby jednak lepiej, żeby miss Alicya, uprzedziła panią Burbankową, że wraz z ojcem, musi się udać do Jacksonville. W razie potrzeby, powinna nawet powiedzieć, że stronnictwo Texara obalone... że federaliści są panami rzeki... że jutro Gilbert będzie w Camdless-Bay...

Ale czy dziewczę znajdzie dosyć siły, żeby się nie zmieszać, nie zdradzić głosem, gdy ją będzie powiadamiała o faktach, których urzeczywistnienie zdaje się, w tej chwili, niemożliwe.

Gdy weszła do pokoju chorej, pani Burbankowa spała, a raczej była pogrążona w przykre odrętwienie, z którego miss Alicya nie miała odwagi jej wyrwać. Możliwym było, że dziewczę nie potrzebowało jej uspokajać słowami.

Jedna ze służebnic czuwała przy niej. Miss Alicya zaleciła jej nie odchodzić ani na chwilę i odnieść się do p. Carrola, gdyby ją pani Burbankowa zapytywała o co. Potem nachyliła się nad czołem nieszczęśliwej matki, dotknęła go zlekka ustami i wyszedłszy z pokoju podażyła do p. Stannarda.

Spostrzegłszy go, zaraz rzekła:

„Idźmy, ojcze.“

Oboje wyszli z halli, uścisnąwszy rękę p. Carrolowi.

W środku bambusowej alei, wiodącej do przystani, spotkali rządzcę.

„Łódź jest gotowa, rzekł Perry.

— Dobrze, odpowiedział p. Stannard, czuwaj bacznie nad Castle-House, mój przyjacielu.

— Niech się łaskawy pan nie boi, — nasi murzyni zwolna wracają do plantacyi i łatwo to zrozumieją. Cóżby oni robili z wolnością do której natura ich nie stworzyła? Przywieź nam pan pana Burbanka, a zastanie wszystkich na posterunku!“

P. Stannard i jego córka usiedli zaraz w czółno, sterowane przez 4-ch marynarzy z Camdless-Bay. Rozwinięto żagiel i przy lekkim wschodnim wietrzyku odbito szybko od brzegu i niezadługo znikła po za sylwetką plantacyi zwróconej ku północo-zachodowi. Pan Stannard nie miał zamiaru wylądować w porcie Jacksonvillskim, gdzieby go niechybnie poznano. Lepiej było wysiąść w pewnej zatoce, trochę wyżej. Ztamtań byłoby łatwo dostać się do domu zamieszkiwanego przez p. Harvey, właśnie w tej stronie na końcu przedmieścia. Tam dopiero, po wspólnej naradzie, przedsięwzięliby kroki odpowiednie do okoliczności.

Na rzece było pusto w owej chwili w górze rzeki, skąd mogły nadpłynąć milicje z miasta S-go Augustyna, które chroniły się na południu, ani też w dole nic się nie ukazywało. A więc, nie walczyły z sobą statki florydzkie i kanonierki komendanta Steplusa.

P. Stannard i jego córka dzięki pomyślnemu wiatrowi, dosyć szybko dotarli do lewego brzegu. Niespostrzeżeni, zdołali wysiąść na ląd w głębi przystani, a po upływie kilku minut znajdowali się w domu plenipotenty Jamesa Burbanka.

P. Harvey zdziwił się bardzo i przestraszył, ujrzawszy ich, groziło im bowiem niebezpieczeństwo pośród tego pospólstwa, coraz bardziej zgorączkowanego i oddanego Texarowi. Wiedzano, że p. Stannard jest przeciwny niewolnictwu, zarówno jak cała ludność w Camdless-Bay. Zrabowanie jego domu w Jacksonville było wskazówką, że powinien mieć się na baczności.

Ryzykował on, z pewnością, bardzo wiele. Gdyby go poznano, co najmniej, — zostałby uwięziony, jako współnik Burbanka.

„Trzeba ocalić Gilberta!.. oto wszystko, co miss Alicya mogła odpowiedzieć na uwagi p. Harveya.

— Tak, należy próbować! odrzekł on. Niechaj p. Stannard nie pokazuje się wcale... i niech pozostanie tu, przez ten czas, kiedy my będziemy działali.

— Czy mi pozwolą wejść do więzienia? zapytała dziewczę.

— Wątpię, miss Alicyo.

— Czy będę się mogła dostać do Texara?

— Sprobujemy.

— Nie chcesz pan, [żebym wam towarzyszył? odezwał się nalegająco p. Stannard.

— Nie! Tobo nas skompromitowało wobec Texara i jego komitetu.

— Idźmyż, panie Harvey, rzekła miss Alicya. Ale p. Stannard nie chciał ich puścić, dopóki się nie dowie, czy nie zaszły nowe wypadki wojenne, o którychby wieść nie doszła do Camdless-Bay.

— Nic nie zaszło, przynajmniej w Jacksonville, odpowiedział p. Harvey. Flotyła federalna ukazała się w zatoce Ś-go Augustyna i miasto się poddało. Co do Saint-Johnu, to nie słyhać o żadnym ruchu. Kanonierki wciąż stoją po niżej wału.

— Czy wody ciągle za mało. żeby go przebyć?

— Tak, panie Stannard, ale, dziś, będziemy mieli jeden z najsilniejszych przyływów z powodu porównania dnia z nocą. Woda przybierze około 3-ciej i może kanonierki będą mogły przepłynąć...

— Przepłynąć bez pilota, teraz, kiedy nie ma Marsa do kierowania niemi po kanale! odrzekła miss Alicya tonem, zdradzającym, że się nie może ucześcić tej nadziei. Niel.. To jest niepodobieństwem!.. Panie Harvey, ja muszę się zobaczyć z Texarem, a jeśli mię odepchnie, wypadnie nam wszystko poświęcić dla ułatwienia ucieczki Gilbertowi...

— Uczynimy to, miss Alicyo.

— Czy usposobienie umysłów nie uległo zmianie w Jacksonville? zapytał p. Stannard.

— Nie,—odparł p. Harvey. Łotrzy są tam ciągle panami, a Texar nimi kieruje. Ale uczciwi ludzie są oburzeni wymaganiami i pogrózkami komitetu. Trzeba więc tylko znaku życia, ze strony federalistów, na rzece, żeby się ten stan rzeczy zmienił.

W gruncie ta hołota jest tchórzliwą: gdy ją strach ogarnie, to Texar i jego stronnicy przepadną. Mam jeszcze nadzieję, że komendant Stevens zdoła przepłynąć tamę...

— Nie będziemy czekali, — odpowiedziała stanowczo miss Alicya, — i zanim to nastąpi, ja się zobaczę z Texarem!“

Wypadło więc z narady, że p. Stannard zostanie w mieszkaniu, żeby nie wiadziiano, że jest w Jacksonville. P. Harvey gotów był wspierać swą pomocą młode dziewczę, we wszystkich krokach, jakie miała przedsięwziąć, chociaż ich rezultat bynajmniej nie był pewny. Gdyby Texar nie chciał darować życia Gilbertowi, gdyby miss Alicya nie mogła się dostać do niego, to usiłowanoby, nawet kosztem całej fortuny ułatwić ucieczkę młodemu oficerowi i jego ojcu.

Było około 11-tej, kiedy miss Alicya i p. Harvey wyruszyli do Court-Justice, gdzie komitet, pod prezydencją Texara, zasiadał bez przerwy.

W mieście panował ciągle wielki ruch. Tu i owdzie przechodziły milicje, wzmocnione kontyngensami przybyłymi z terytorij południowych. W ciągu dnia spodziewano się tych, które w skutek poddania się Saint-Johnu były rozporządzałne, i które mogły przybyć rzeką S. John albo też lasami z prawego wybrzeża. dotrzeć do rzeki i przepłynąć ją na wysokości Jacksonvillu. Ludność krążyła więc w tę i w ową stronę. Obiegały tysiączne pogłoski i, jak

zwykle, sprzeczne z sobą, co wywoływało zgiełk, graniczący z zaburzeniem. Byłoto, zresztą łatwe do przewidzenia, że w razie, gdyby federaliści ukazali się w porcie, nie połączyłyby się wszystkie siły ku obronie. Opór nie byłby wytrwały. Jeśliby się Fernandina poddała 9 dni przedtem pułkom lądowym generała Wright, jeśli miasto Ś-go Augustyna przyjęło eskadrę komandora Dupont, nieprobując nawet zatamować mu drogę, było to do przewidzenia, że i w Jacksonville nastąpi to samo. Milicje florydzkie, ustępując miejsca wojskom nordzistów, cofnęłyby się wgląb hrabstwa. Jedna tylko okoliczność mogła zabezpieczyć Jacksonville przeciw obcemu zapanowaniu, przedłużyć władzę komitetu i pozwolić, by uskutecznił swoje krwawe zamiary, — mianowicie, gdyby kanonierki, z jakiegokolwiek przyczyny — dla braku wody lub pilota nie mogły przepłynąć tamy rzecznej. Za kilka godzin kwestya ta miała się zresztą rozstrzygnąć.

Miss Alicya i p. Harvey przeciskając się wśród coraz większego tłumu, dążyli do głównego punktu. W jaki sposób dostaną się do Sal Court-Justice, nie mieli wyobrażenia; a dostawszy się tam nawet, jakim cudem zdołają zobaczyć się z Texarem, tego również nie wiedzieli. Kto wie nawet, czy Hiszpan, dowiedziawszy się, że Alicya Stannard pragnie widzieć się z nim, dla uniknięcia natrętnej proźby, nie zaaresztuje dziewczęcia do chwili wykonania egzekucyi na młodym poruczniku? Ale Alicya nie chciała widzieć tych ewentualności: żadne niebezpie-

czeństwa osobiste nie zdołałyby jej powstrzymać od tego, by dotrzeć do Texara i uzyskać od niego właskawienie dla Gilberta.

Gdy doszli do placu, zastali tam jeszcze większy tłum i zgiełk. W powietrzu rozlegały się krzyki i od gromady do gromady rzucano sobie te złowrogie słowa: śmierć mu!.. śmierć!..

P. Harvey dowiedział się, że komitet obradował od godziny. Ogarnęło go straszne przeczucie, które się miało sprawdzić, niestety! Rzeczywiście, komitet kończył sądzić Jamesa Burbanka, jako współnika syna swego Gilberta, obwinionego o porozumiewania się z armią federalną. Przesłębstwo było jednakie, więc pewno miała nastąpić jednaka kara, — uwieńczenia zemsty Texara wywartej na rodzinie Burbanków.

P. Harvey nie chciał pójść dalej i usiłował pociągnąć z sobą Alicję Stannard, żeby nie była świadkiem gwałtów na jakie zanosilo się, ze strony tłuszczy, gdy skazańcy wyjdą z Court-Justice, po wysłuchaniu wyroku. Zresztą, w takiej chwili daremne byłyby proźby, zanesione do Hiszpana.

Idźmy, idźmy, miss Alicyo, — rzekł p. Harvey, wrócimy, gdy komitet...

— Nie! odpowiedziała Alicya, — chcę stanąć pomiędzy obwinionymi i ich sędziami..."

Postanowienie jej było tak silne, że p. Harvey stracił nadzieję zachwiania go. Miss Alicya puściła się naprzód, musiał więc podążyć za nią. Musiano

ją poznać, bo zwarty tłum rozstępował się dla niej. Wołania o śmierć jeszcze straszniej zabrzmiały jej w uszach. Nic jej nie zdołało powstrzymać. W takich to warunkach dotarła do drzwi Court-Justice.

W tem miejscu, tłuszcza falowała jeszcze bardziej, ale nie tak jak morze po burzy, lecz przed burzą. Należało się spodziewać z tej strony najokropniejszych nadużyć.

Nagle, gwałtowny ruch wyparł z wnętrza publiczność, zapelniającą salę Court-Justice. Krzyki wzmogły się... wyrok był już wydany,

James Burbank zarówno jak i Gilbert, był skazany za to samo mniemane przestępstwo na tę samą karę. Ojciec i syn paść mieli od strzałów jednego i tego samego plutonu.

„Na śmierć!.. Na śmierć!..“ wrzeszczała ta zgraja szaleńców.

James Burbank ukazał się wtedy na ostatnich stopniach. Był on spokojny i panował nad sobą; na wrzaski tłumu odpowiadał tylko wzgardliwym spojrzeniem.

Otoczał go oddział milicyi, mającej odprowadzić go do więzienia.

Nie był on sam jeden.

Gilbert szedł przy jego boku,

Z celki, w której oczekiwał wyroku, poprowadzono go przed komitet dla skonfrontowania z Jamesem Burbankiem, który mógł tylko potwierdzić zeznania syna, zapewniając, że tenże po to tylko udał się

do Castle-House, żeby pożegnać umierającą matkę. Wobec jego słów, ten punkt oskarżenia powinien być upaść sam przez się, gdyby nie to, że proces był z góry przegrany. Stał to wyrok ugodził w dwóch niewinnych ludzi, — wyrok narzucony przez zemstę osobistą i wydany przez niecznych sędziów.

Tłum cisnął się do skazańców i policya z wielkim mozołem torowała im drogę po przez plac Court-Justice.

Tu nastąpiło zamieszanie: miss Alicya podbiegła do Jamesa Burbanka i Gilberta.

Gawiedź mimowoli cofnęła się, zdumiona tą niespodziewaną interwencją dziewczyny.

— Alicyo!..“ wykrzyknął Gilbert,

— Gilbercie!.. Gilbercie!.. szeptała Alicya Stannard, która padła w objęcia młodego oficera.

— Alicyo, pociś ty tu przyszła? odezwał się James Burbank.

— Po to, żeby uprosić dla was ulaskawienia... żeby przebłagać waszych sędziów!.. Łaski... Łaski dla nich!..“

Krzyki nieszczęśliwej dziewczyny były rozdzielające, czepiała się odzieży skazańców, którzy przystanęli na chwilę. Mogłaż się spodziewać litości ze strony tej wyuzdanej tłuszczy, która ich otaczała? Nie, ale jej interwencya odniosła ten skutek, że pohamowała tłum w chwili, kiedy się miał może dopuścić gwałtów na więźniach, pomimo obecności milicyi.

Zresztą, Texar, uwiadomiony o tem, co zaszło, stanawszy w tej chwili na progu Court-Justice, gestem powstrzymał tłuszcę...

Rozkaz jaki wydał ponownie, żeby odprowadzono Jamesa i Gilberta Burbanków do więzienia, został usłyszany i uszanowany, więźniowie i straż ich wyruszyli w pochód.

„Łaski!.. Łaski!..“ wykrzyknęła miss Alicya, padłszy do nóg Texarowi.

Hiszpan odpowiedział tylko przeczącym znakiem.

Dziewczyna podniosła się wtedy i zawołała:

„Nędzniku!“

Chciała ona przyłączyć się do skazańców, prosiła, żeby ją wpuszczono do więzienia, żeby jej pozwolono przepędzić z nimi ostatnie godziny ich życia...

Byli już po za placem i tłum towarzyszył im wyciem.

To przechodziło siły miss Alicyi, zachwiała się padła i p. Harvey bezprzytomną wziął w objęcia.

Nieodzyskała przytomności, aż przy ojcu w domu u p. Harveya, dokąd ją zaniesiono.

Do więzienia!.. Do więzienia!.. szeptała... obaj muszą uciec...

— Tak, to jedna próba jeszcze pozostaje! czekajmy nocy!..“ odpowiedział p. Stannard.

Rzeczywiście nie należało nic robić za dnia. Pod osłoną ciemności pp. Stannarg i Harvey, nie lękając się, by ich kto schwycił na uczynku, chcieli

ułatwić ucieczkę dwom więźniom, przy pomocy ich stróża. Mieli się zaopatrzyć w tak znaczną sumę pieniędzy, że zdawało się, iż ten człowiek nie oprze się pokusie, zwłaszcza, że jeden wystrzał armatni, dany z flotylli komendanta Stevensa, mógł położyć koniec władzy Hiszpana.

Lecz, gdy noc nastąpiła i pp. Stannard oraz Harvey zamysłali skutecznić swój zamiar, wypadło im go zaniechać. Dom był strzeżony przez oddział milicyi i obaj daremnie chcieli z niego wyjść.

IV.

Z północo - wschodu.

Skazańcom pozostawała teraz jedyna nadzieja ocalenia w tem, że federaliści opanują miasto przed upływem 12-godzin.

Nazajutrz, Burbankowie James i Gilbert mieli być o świecie rozstrzelani. Jakżeby zdołali uciec z więzienia, nawet przy pomocy stróża więziennego, kiedy było równie dobrze strzeżone, jak dom pana Harveya?

Przytem nie należało rachować dla opanowania Jacksonvillu na udział wojska północnego, które wylądowało przed kilku dniami w Fermendinie i nie mogło opuścić tego ważnego posterunku na północy stanu Florydy:

Zadanie to miały spełnić kanonierki komendanta Stevensa, ale przedewszystkiem wypadało im przepłynąć zaporę na Saint-Johnie. Ponieważ wtedy linia statków strażniczych byłaby sforsowana, flotylla

musiałaby tylko posunąć się na wysokość portu. Przed jej strzałami, dawanymi do miasta, milicje cofałyby się, niewątpliwie, przez niedostępne bagna hrabstwa; a Texar wraz ze swymi adherentami podążyliby z pewnością ich śladem, aby uniknąć słusznego odwetu. Zacni ludzie mogliby wtedy niezwłocznie powrócić na miejsca, z których zostali nieprawnie wyrugowani i weszliby w układy z przedstawicielami rządu federalnego o poddanie się miasta. Ale czyby się dało przepłynąć zapory i to tak w krótkim przeciągu czasu? czy znalazłby się sposób pchnięcia kanonierek z miejsca pomimo braku wody? czytelnik przekona się poniżej, że było to bardzo wątpliwe.

W samej rzeczy, po wydaniu wyroku, Texar, wraz z komendantem milicji Jacksonvillu, poszli na wybrzeże, celem obserwowania dobrego biegu rzeki.

Łatwo sobie wyobrazić, jak bacznie wpatrywali się w pełną zaporę i z jakim nateżeniem nasłuchiwali strzału ze strony Saint-Johnu.

— Niesygnalizowano nic nowego? zapytał Texar, stając na końcu bulwarku.

— Nic, — odpowiedział komendant, — wracam właśnie z reksnesansu w północnej okolicy, mogę więc zapewnić, że federaliści nie wymaszerowali jeszcze z Fernandiny do Jacksonville. Prawdopodobnie zostaną oni, dla obserwacji, na granicy Georgii, dopóki ich flotylla nie sforsują kanału.

— Czy oddziały z Południa opuściwszy miasto Ś-go Augustyna, nie mogłyby przepłynąć Saint-Johnu w Picolata i dostać się tutaj? zapytał Hiszpan.

— Nieprzypuszczam tego, odpowiedział oficer Dupont ma jeno tyle wojska lądowego, ile go potrzeba do zajęcia miasta; a widocznie zamierza urządzić blokadę na całym wybrzeżu, od ujścia Saint-Johnu aż do ostatnich krańców Florydy. Nie mamy się więc czego obawiać z tej strony, Texarze.

— W takim razie, grozi nam to tylko, że flotylla Stevensa trzymać nas będzie w szachu, jeśli jej się uda przepłynąć zaporę, przy której stoi od trzech dni..

— Zapewne... ale ta kwestya rozstrzygnie się za kilka godzin. Może zresztą federalistom idzie tylko o zatamowanie dolnego biegu rzeki, dla przerwania wszelkiej styczności miasta Ś-go Augustyna z Fernandina?

— Powtórzę ci jeszcze raz, że w tej chwili, północnym mniej chodzi o zajęcie Florydy, niż o niedopuszczenie kontrabandy wojennej, która się odbywa w przesmykach południowych, wolno nam myśleć, że jestto jednym celem tej wyprawy, bo gdyby było inaczej, to pułki, które opanowały wyspę Amelię od 10-ciu dni, wymaszerowałyby już na Jacksonville.

— Może masz rację,—odpowiedział Texar. Ale w każdym razie, chciałbym, żeby kwestya zapory rozstrzygnęła się już stanowczo.

— Rozstrzygnie się dziś jeszcze.

— Cóżbyś jednak zrobił, gdyby przeholowano kanonierki Stevensa.

— Wykonałbym dany mi rozkaz przyprowadzenia milicyi wgląb kraju, dla uniknienia wszelkiej styczności z federalistami. Niechaj zagarną miasta hrabstwa, mniejsza o to! Nie będą mogli władać nie-mi długo, gdy będzie przerwana komunikacya z Georgią albo z Karolinami i będziemy umieli je odebrać!

— Tymczasem, — odpowiedział Texar, — gdyby opanowali Jacksonville, choćby na jeden dzień należałoby się spodziewać odwetu z ich strony.. Wszyscy ci mniemani uczciwi ludzie, ci bogaci koloniści, ci przeciwnicy niewolnictwa, odzyskaliby władzę a wtedy... To nie nastąpi!.. Nie!.. Nie oddamy miasta... raczej.“

Hiszpan nie dopowiedział swej myśli, ale z łatwością można jej było się dorozumieć. Nie oddałby miasta federalistom, gdyż przeszłoby w ręce tych urzędników, których pospólstwo obaliło. Spaliłby je raczej i może już przedsięwziął kroki do tego dzieła zniszczenia. Dokonawszy go, wraz ze swymi adherentami cofnąłby się, śladem milicyj i w niedostępnych kryjówkach wśród bagnisk południowych, czekaliby przebiegu wypadków.

Jednakże, ta ewentualność groziła tylko w takim razie, gdyby kanonierki przepłynęły zaporę i nastąpiła właśnie chwila, kiedy ta kwestya miała się stanowczo rozstrzygnąć.

Rzeczywiście w okolicach portu był wielki napływ ludzi. W jednej chwili zapełniły się wybrzeża wybuchły ogłuszające krzyki:

„Kanonierki wyruszają!

— Nie, stoją w miejscu!

— Morze wzbiera!

— Całą siłą pary usiłują przepłynąć zapore!

— Patrzcie!.. Patrzcie!..

— Niewątpliwie coś się stało! rzekł komendant milicyi. Spójrzyno, Texarze!“

Hiszpan nic nie odpowiedział. Zatopił wzrok w linią widnokregu, opasaną wiankiem statków. O pół mili dalej, sterczały maszty i kominy kanonierek Stevensa. Gęsty dym wydobywał się z nich i, gnany coraz silniejszym wiatrem sięgał aż do Jacksonville.

Widocznie, Stevens, korzystając z przyływu, usiłował. bądź co bądź, ruszyć z miejsca. Czy mu się to powiedzie, czy znajdzie dosyć wody nawet w najgłębszych miejscach? Całe to pospólstwo, zgromadzone na wybrzeżu Saint-Johnu oczekiwało tego z gwałtownym niepokojem.

Rozmowy ożywiały się w miarę, jak jednym zdawało się, że widzą to, czego drudzy nie dostrzegali.

— Posunęły się o jakie 110 sążni!

— Nie! stoją w miejscu!

— Oto jedna robi obrót!

— Prawda, ale obraca się tylko do koła, bo zamała wody!

— Ach, jakież dym!

— Chociażby spalili wszystek węgiel z całych Stanów Zjednoczonych, to nie przepłyną!

— Zaczyna się odpływ.

— Niech żyje Południe!

— Niech żyje!

Te usiłowania flotylli trwały około 10-ciu minut, które zdawały się wiekiem Texarowi, jego stronnikom i wszystkim, którzy wzięcie Jacksonvillu przypłaciliby wolnością lub życiem. Nie wiedzieli dokładnie, jaki jest stan rzeczy nawet, gdyż oddalenie było zbyt wielkie, ażeby można było obserwować manewra kanonierek. Czy przepłynęły lub przepłyną kanał, pomimo przedwczesnych okrzyków tłumu? Czy komendant Stevens, pozbywszy się zbytecznych ładunków, nie zdoła przebyć tej niewielkiej przestrzeni, dzielącej go od głębszych wód? Czy się nie dostanie na wysokość portu? Należało się ciągle tego obawiać, dopóki woda wzbierała.

Ale gawiedź miała słuszność: odpływ zbliżał się, a więc poziom Saint-Johnu szybko opadnie.

Nagle wyciągnęły się wszystkie ramiona ku rzece i rozlegały się okrzyki:

— Czó!no!.. Czó!no!..“

Istotnie, lekka łódź ukazała się przy lewym brzegu, gdzie się jeszcze dawał czuć przyływ, podczas, gdy na środku kanału nabierał siły odpływ. W czólnie posuwającym się szybko siłą wiosel, stał oficer w mundurze milicyi florydzkich: dotarłszy do grobli, żwawo wdrapał się po bocznej drabinie, przymocowanej do wybrzeża; poczem, spostrzegłszy Texara, szedł ku niemu, pośród gromad tłoczących się, żeby go zobaczyć i usłyszeć.

— Co się stało? — zapytał Hiszpan.

— Nic i nic nie będzie! odparł oficer.

— Kto cię przysyła?

— Dowódca naszych statków, które niedługo zaczną się cofać ku portowi.

— Dla czego?

— Ponieważ kanonierki daremnie usiłowały przepłynąć zaporę. Nic nie pomogło, ani wyrzucenie balastu, ani wypuszczanie większej pary. Obecnie niema się czego obawiać.

— Przy tym przyplynie? zapytał Texar.

Przy żadnym — przynajmniej przez kilka miesięcy.

— Hurra!.. Hurra!..“

Okrzyki zapełniły miasto. Krańcowi wysławiali Hiszpana, jako człowieka, w którego wcieliły się ich wszystkie niskie instynkta, umiarkowanych zaś gnębiła myśl, że długo jeszcze podlegać będą nieludzkim rządóm komitetu.

Oficer prawdę powiedział.

Począwszy od tego dnia, morze miało ciągle opadać, tem samem przyływ miał sprowadzać mniejszą ilość wody do łożyska Saint-Johnu. Ten przyływ z 12-go marca był najgwałtowniejszy z całego roku i rzeka dopiero za kilka miesięcy mogła odzyskać dawniejszy poziom. Z powodu, że kanał był nie doprzebycia, Jacksonville uniknął strzałów Stevensa. Było to przedłużeniem rządów Texara i dawało mu pewność, że dokona swego dzieła zemsty. Na-

wet w razie, gdyby generał Sherman chciał nakazać zajęcie Jacksonvillu przez pułki generała Wrighta, które wylądowały w Fernandinie, to posuwanie się ku Południowi wymagałoby dosyć długiego czasu. Nie można więc było ocalić Burbanków, egzekucya miała się odbyć nazajutrz o świcie.

Wiadomość przyniesiona przez oficera, rozeszła się w jednej chwili po okolicy. Łatwo sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawiła ona wśród motłochu. Orgje rozpoczęły się nanowo z większem jeszcze ożywieniem. Ludzie uczeiwi oczekiwali najgorszych rzeczy. Dlatego, większość zamierzała opuścić miasto, nieprzedstawiające żadnego bezpieczeństwa.

Okrzyki „Hurra“, które doszły aż do więźniów i odjęły im wszelką nadzieję ocalenia, zostały także usłyszane w domu p. Harveya. Aż nazbyt łatwo sobie wystawić rozpacz p. Stannarda i miss Alicyi Czegoż mieli się chwycić teraz dla ocalenia Jamesa Burbanka i jego syna? Przekupić stróża więziennego? Złotem opłacić ucieczkę skazańców? Wszakże nie mogli nawet wyjść z domu, w którym dano im przytułek. Jak wiadomo, gromada łotrów strzegła ich drzwi, złorzecząc na cały głos.

Nastąpiła noc.

Jak przewidywano, stan pogody znacznie się zmienił. Wiatr, który dął od ziemi, zerwał się naraz na północo-wschodzie. Masy szarych i poszarpanych chmur, nie zdążywszy nawet spaść deszczem, posuwały się z niezmierną szybkością i opadały prawie

na powierzchnię morza. Barometr wskazywał burzę. Czuć było oznaki huraganu, pozostałego na dalekich horyzontach Atlantyku. Wraz z nocą, jaka zaległa przestrzeń, zerwał się on z niezwykłą gwałtownością. W tą burzliwą noc kawał grobli w porcie Jacksonvillu został wyrwany przez bałwany, uderzające o pale. Woda pokryła część nadbrzeżnych ulic, kilka statków do połowu śledzi rozbiło się, liny popękały, niby nici. Niepodobna było wyjść na ulice i na place, kartaczowane przeróżnemi odłamkami. Ludność musiała się chronić po szynkach, na czem dobrze wyszły gardła, — wrzaski motłochu zagłuszały huk burzy.

Wichura zrządziła spustoszenia nie tylko na powierzchni ziemi: w łózysku Saint-Johnu wyrastały także olbrzymie bałwany. Szalupy, stojące u tamy, zaskoczone przez zawieruchę, zaledwo zdążyły dostać się do portu. Ich kotwice wyrwały się z gruntu, liny rwały się. Przyływ nocny, zwiększony siłą wiatru, niósł je nieprzeparcie, w górę rzeki. Niektóre rozbiły się o pale nadbrzeży portowych, inne porwane po za Jacksonville, ginęły na wysepkach albo w odnogach Saint-Johnu, o kilka mil dalej. Pewna liczba marynarzy, znajdujących się w owych szalupach padła ofiarą klęski, tak nagłej, że nie zdołano przedsięwziąć ostrożności.

Co się tyczy kanonierek komendanta Stevensa, czy rozwinęły żagle i pędziły całą siłą pary, aby się schronić do przystani?

Czy, dzięki temu manewrowi zdołały uniknąć zupełnego zniszczenia. W każdym razie, czy się puściły w dół, ku ujściu Saint-Johnu, czy stały na kottwicach, Jacksonville nie miał już powodu obawiać się ich, ponieważ tama była dla nich teraz zaporą nie doprzebycia.

Czarne i głębokie ciemności obejmowały dolinę Saint-Johnu, podczas, gdy powietrze i woda zlewały się z sobą, jak gdyby jaki przewrót, chciał je połączyć w jeden żywiół.

Był to jeden z kataklizmów, zdarzających się w chwili porównania dnia z nocą, lecz tak gwałtowny, że podobnego nie widziano jeszcze na terytorjum Florydy. I dla tego właśnie, trwał on kilka godzin. Przed wschodem słońca huragan zaprzepaścił się ponad zatoką meksykańską, uderzywszy po raz ostatni w półwysep florydzki.

Około 4-tej rano, kiedy brzaski dnia zajaśniały na horyzoncie, nastąpiła zupełna cisza.

Tłumy zaczęły się gromadzić na ulicach, a następnie po szynkach. Milicya powróciła na opuszczone posterunki. Zajęto się naprawianiem szkód, zrzadzonych przez burzę. Były one najznacześniejsze wzdłuż ulic nadbrzeżnych.

Do uszkodzonych bulwarków przypływ pędził.

Potraskane statki służące do połowu śledzi i połamane łodzie.

Szczałki te można było widzieć tylko na kilka jardów od wybrzeża, gdyż gęsta mgła zawisła nad samem łożyskiem Saint-Johnu.

O 5-tej srodek kanału był jeszcze niewidzialny i miało to trwać, dopókiby mgła nie rozwiała się przy pierwszych promieniach słońca.

Naraz, nieco po 5-tej, straszny huk zaczął rozdzierać gęstą mgłę. Nie można się było omylić, nie były to przeciągłe odgłosy grzmotu, lecz głośnie wystrzały artylerii. Krzyk przestachu wyrwał się z piersi wszystkich, zarówno milicyi, jak i gawiedzi... Podążyło wszystko co żyło do portu.

Jednocześnie, pod gradem wystrzałów mgła zaczęła się rozstępować, zmieszana ze świeżkami wystrzałów. wydzielała się ona z powierzchni rzeki.

Kanonierki Stevensa były stanęły pod Jacksonvillem!

— Kanonierki!.. Kanonierki!..

Słowa te, przechodząc z ust do ust, dobiegły wkrótce aż do krańców przedmieść. W kilka minut, ucziwa ludność z niezmiernem zadowoleniem, a młoch z niesłychanem przestachem, dowiedział się że flotylla opanowała Saint-John. Jeśli się ludność nie podda, to miasto zostanie zniszczone.

Cóż się stało? Czy północni znaleźli w burzy niespodziewaną pomoc? Tak! kanonierki nie szukały schronienia w dolnych przystaniach. Pomimo gwałtownych bałwanów i wichru, nie ruszyły się z miejsca. Podczas, kiedy ich przeciwnicy oddalali się z szalupami, komendant Stevens oraz jego załoga stawiali czoła Kurayanowi z narażeniem życia, próbując, czy okoliczności nie ułatwią im zadania. Istotnie, ten hu-

ragan, pędzący gwałtownie wody, podniósł właśnie poziom rzeki do potrzebnej wysokości. Kanonierki puściły się w drogę i forsując parę, niemal po piasku zdołały przepłynąć zaporę.

Około 4-tej rano, komendant Stevens manewrując wśród mgły, obrachował, że musi być na wysokości Jacksonvillu. Zrzucił wtedy kotwice i uwiązał statki. Następnie, w danej chwili, rozdarł mgłę wystrzałami z wielkich swych dział i rzucił pierwsze pociski na lewy brzeg Saint-Johnu.

Skutek natychmiast nastąpił. W kilka minut milicya wycofała się z miasta, za przykładem wojsk południowców w Fernandinie i w mieście Ś-go Augustyna. Stevens widząc, że wybrzeże zostało opuszczone, zaczął prawie niezwłocznie zmniejszać liczbę strzałów, nie chcąc zniszczyć miasta, lecz tylko je zająć.

Natychmiast prawie wyniesiono białą chorągiew z Court-Justice.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki niepokój wzniciły pierwsze wystrzały armatnie w domu p. Harvey. Miasto z pewnością podległo atakowi, a ów atak mógł nastąpić jedynie ze strony federalistów, bądź że popłynęli w górę Saint-Johnu, bądź, że się zbliżyli północą Flory. Byłażto nakoniec niespodziewana pomoc?

P. Harvey i Miss Alicya wybiegli na próg domu, strzegący go ludzie Taxara umknęli i podążyli do miłycy, w głąb hrabstwa. P. Harvey z dziewczęciem udali się w stronę portu. Ponieważ mgła już się

rozproszyła, można było widzieć rzekę aż do krańców lewego brzegu.

Kanonierki milczały, widocznie bowiem Jacksonville zrzekało się już oporu.

W tej chwili kilka czólen przybywszy do bulwarku, wysadziło na ląd oddział, uzbrojony w karabiny, rewolwery i siekiery.

Naraz dał się słyszeć krzyk pomiędzy marynarzami, którymi dowodził oficer.

Człowiek, który wydał ten krzyk, rzucił się ku Alicyi.

— Mars!.. Mars!.. rzekła Miss, zdumiona widokiem męża Zermy, o którym mniemano, że utonął w nurtach Saint-Johnu.

— Pan Gilbert?.. Pan Gilbert?.. odpowiedział Mars. Gdzie on jest?

— Uwięziony, razem z p. Burbankiem!..

— Marsie ocal go... ocal go i, ocal także jego ojca!..

— Do więzienia! wykrzyknął Mars, obracając się do swych towarzyszków i pociągnął ich za sobą.

Wszyscy zaczęli biedz, żeby niedopuszczyć ostatej zbrodni, nakazanej przez Texara. P. Harvey i Miss Alicya pobiegli w ślad za nimi.

A więc Mars, rzuciwszy się do rzeki, nie zginął w wirach zapory? Tak! i przez ostrożność, odważny metys nie dał znać do Castle House, że jest zdrów i cały. Chroniąc się tam, naraziłby na niebezpieczeństwo, a musiał być wolnym dla spełnienia

swego dzieła. Dotarłszy wpływ do prawego brzegu, zdołał, przedostając się przez trzciny, popłynąć w dół rzeki, aż do wysokości flotylli. Tam znaki jego zostały dostrzeżone, wysłano mu więc na pomoc czółno, którem dojechał aż do kanonierki komendanta Stevensa. Ten, kiedy poznał przebieg rzeczy o blizkie niebezpieczeństwo, grożące Gilbertowi, przedsięwziął, pomimo wszystko, przepłynąć kanał. Usiłowania jego były z początku bezowocne; miał już ich zaniechać, gdy w nocy wiatr podniósł poziom rzeki. Jednakże, flotylla nieobezna z tymi trudnymi przesmykami, nie podołałaby zadaniu i znowu utknęłaby na mieliznach, gdyby na szczęście nie było Marsa. Sterował on zręcznie swą kanonierką, za którą dążyły inne, pomimo szalejącej burzy. Dla tego też zanim jeszcze mgła napelniła dolinę Saint-Johnu, stanęły one pod miastem mogły wymierzyć doń swe armaty.

Przybyli w porę. Więźniowie mieli być rozstrzelani o świcie. Obecnie obawy ich przeszły; magistrat Jacksonwillu odzyskał władzę, jaką sobie na chwilę przywłaszczył Texar. W chwili, gdy Mars, razem z towarzyszami przybyli przed więzienie, obaj Burbankowie wychodzili zeń wolni.

W mgnieniu oka, młody porucznik przycisnął Alicyą do serca, p. Stannard zaś i James Burbank padli sobie w objęcia.

— Matka moja?.. Zapytał przedewszystkiem Gilbert.

- Żyje... Żyje!.. odpowiedziała Miss Alicya.
- A więc do Castle-House! —zawołał Gilbert.
- Do Castle-House!..
- Nie prędzej, aż się stanie zadość sprawiedliwości!—odpowieddział James Burbank.

Mars zrozumiał, pobiegł w stronę głównego placu, w nadziei spotkania Texara.

Czy Hiszpan nie umknął, żeby się zabezpieczyć przeciw odwetowi? Czy się nie ukrył przed ściganiem wraz ze wszystkimi, którzy mu sekundowali? Czy nie towarzyszył żołnierzom milicyi, cofającym się ku dolnym okolicom hrabstwa. Trudno się było tego spodziewać.

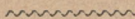
Stało się jednak wbrew oczekiwaniu. Nie czekając interwencji federalistów, znaczna liczba mieszkańców rzuciła się do Court-Justice; Texar, schwytany w chwili, gdy zamierzał uciec, został zatrzymany pod strażą. Zresztą, zdawał się dosyć zrezygnowany. Dopiero, ujrawszy Marsa, zrozumiał, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo.

Rzeczywiście, Metys rzucił się na niego, pomimo oporu jego stróżów, uchwycił za gardło i zaczął dusić. Wtem ukazali się dwaj Burbankowie.

— Nie.... nie!.. Żywego! — wykrzyknął James Burbank.—Trzeba, żeby żył! Trzeba, żeby mówił.

— Tak, trzeba! — odpowiedział Mars.

W kilka chwil potem Texar został zamknięty w tej samej celi w której jego ofiary oczekiwały egzekucyi.



V.

Objęcie w posiadanie.

Federaliści stali się wreszcie panami Jacksonvillu, a tem samem i panami Saint-Johnu. Pułki lądowe, sprowadzone przez komendanta Stevensa, niezwłocznie zajęły główne punkta miasta. Nieprawe władze umknęły i jeden tylko Texar z dawnego komitetu wpadł w ręce wrogów.

Zresztą, mieszkańcy, znużeni nadużyciami, jakich się dopuszczano względem nich w ostatnich dniach lub może nawet obojętni na kwestyę niewolnictwa, którą Północ i Południe próbowały podówczas rozstrzygnąć za pomocą siły zbrojnej, przychylnie przyjęli oficerów flotylli, przedstawicieli rządu waszyngtońskiego.

Przez ten czas komandor Dupont, osiedlony w mieście św. Augustyna, zajęty był zabezpieczeniem wybrzeża Florydy od kontrabandy wojennej. Przesmyki Mosquito-Inlet zostały wkrótce zamknię-

te, co położyło koniec frymarczeniu bronią i amunicją. Można więc powiedzieć, że od tej chwili stan Florydy wrócił pod władzę federalistów.

Tegoż samego dnia James i Gilbert Burbankowie, p. Stannard i Alicya przepłynęli Saint-John, powracając do Camdless-Bay.

Perry czekał w małej przystani z pewną liczbą murzynów, którzy powrócili do plantacyi. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką radością ich przyjęto. Po chwili James Burbank i jego syn, p. Stannard i miss Alicya stali przy łóżku pani Burbankowej.

Chora jednocześnie ujrzała syna i dowiedziała się o wypadkach. Młody oficer rzucił się w jej objęcia. Mars całował jej ręce. Już jej nie odstąpią. Miss Alicya będzie ją mogła pielęgnować; ona niedługo odzyska siły. Odtąd nie ma już powodu lękać się zemsty Texara i tych wszystkich, z którymi się połączył. Hiszpan jest w ręku federalistów, a federaliści są panami Jacksonvillu.

Jednakże, jakkolwiek żona Jamesa Burbanka i matka Gilberta nie potrzebowała już truchleć o małżonka i syna, to całą myślą goniła za utraconą córeczką: tęskniła ona do Dy tak samo, jak Mars tęsknił do Zermy.

— Odnajdziemy je! — zawołał James Burbank — Mars i Gilbert będą nam towarzyszyli w poszukiwaniach.

— O tak, mój ojcze, tak, nie zwlekając ani jednego dnia — odpowiedział młody porucznik.

— Kiedy mamy w swej mocy Texara, to będzie musiał mówić!—dorzucił p. Burbank.

— A jeśli nie zechce?—zapytał pan Stannard.— Jeśli będzie utrzymywał, że nie uczestniczył w porwaniu Dy i Zermy?...

— Jakżeby to być mógł!—wykrzyknął Gilbert. Alboż go Zerma nie poznała w przystani Marino?— Czy Alicya i moja matka nie słyszały imienia Texara z ust Zermy, gdy się statek oddalał? Możnaż wątpić, że on, nie jest sprawcą porwania i że mu osobiście nie przewodniczył?

— To był on!—odpowiedziała pani Burbankowa, siadając na łóżku, jak gdyby chciała biedz za nimi.

— Tak!—dodała miss Alicya—ja go poznałam! Stał... na tyle czółna, które zmierzało ku środkowi rzeki!

— A więc dobrze, to był on. Nie można wątpić o tem! Ale jeśli nie zechce wskazać miejsca, gdzie kazał skryć Dy i Zerme, gdzie będziemy ich szukali, kiedyśmy już daremnie przestrzасnęli wybrzeża rzeki na kilkomiłowej przestrzeni?

Na to pytanie, tak jasno postawione, nikt nie umiał odpowiedzieć. Wszystko zależało od tego, co powie hiszpan. Czy w interesie jego będzie mówić czy milczeć?

— Czy nie wiadomo, gdzie przemieszkuje zazwyczaj ten nędznik?—zapytał Gilbert.

— Nie. Nikt tego nigdy nie wiedział—odrzekł James Burbank.—Na południu hrabstwa znajdują się takie rozległe lasy, takie niedostępne bagna, w których mógł się ukrywać bezkarnie. Napróżnoby szukać w tej okolicy, gdzie nawet sami federaliści nie będą w stanie śledzić milicij, które się tam schroniły. Byłby to trud daremny!

— Moja córko! — wykrzyknęła pani Burbankowa, którą mąż z trudnością powstrzymywał.

— Żono! — Ja zmuszę tego łotra, żeby powiedział, gdzie ona jest! — wykrzyknął Mars.

— Tak! — odezwał się James Burbank.—Skoro zobaczy, że tu idzie o jego życie i że je może ocalić, mówiąc, to będzie mówił bez wahania! Gdyby uciekł, mielibyśmy czego rozpaczać, ale ponieważ jest w rękach federalistów, wydobędziemy z niego tajemnicę. Nie trać nadziei, biedaczko. Jesteśmy tu wszyscy.. powrócimy ci dziecko!

Pani Burbankowa, wyczerpana, padła znowu na łóżko. Miss Alicya, nie chcąc jej pozostawić samej, została przy niej, a pan Stannard, James Burbank, Gilbert i Mars zeszli do halli, ażeby się naradzić z Edwardem Carrolem.

Oto, co postanowili: Przed przystąpieniem do działania miano zostawić federalistom czas do zorganizowania okupacji. Zresztą, trzeba było, żeby komandor Dupont został zawiadomiony o wypadkach, zaszłych nietylko w Jacksonville, ale i w Camdless-Bay. Może wypadnie Texara stawić przedewszystkiem

przed sądem wojennym. W takim razie dochodzenie sądowe należałoby do głównodowodzącego wyprawą.

Ale Gilbert i Mars nie chcieli zmarnować reszty tego dnia i całego następnego, bez rozpoczęcia poszukiwań: podczas kiedy James Burbank, pp. Stannard i Edward Carrol mieli robić pierwsze kroki, postanowili oni popłynąć w górę Saint-Johnu, w nadziei pozyskania jakiej wskazówki.

Nie trzebaż się było obawiać, że Texar nie zechce mówić, że podniecony nienawiścią, będzie wolał ponieść karę śmierci, aniżeli wydać swoje ofiary. Należało więc obejść się bez niego. Szło o to, ażeby się dowiedzieć, gdzie Texar mieszkał, lecz poszukiwania były daremne. Nikt nie wiedział o Czarnej Przystani. Mniemano, że ta laguna jest zgoła nieprzystępną i dlatego, Gilbert z Marssem kilka razy przepłynęli wzdłuż lasku, opasującego jej wybrzeża, nie odkrywszy otworu, którymby się mogło przedostać ich lekkie czółno.

Przez ciąg dnia 13-go marca nie zmienił się stan rzeczy. W Camdless-Bay dokonywała się zwolna reorganizacya plantacyi. Murzyni powracali tłumnie ze wszystkich zakątków terytorium, z okolicznych lasów, po których wypadło im się rozproszyć. Jakkolwiek wyzwoleni, dzięki szlachetnej energii Jamesa Burbanka, nie pocztywali siebie za wolnych od wszelkich zobowiązań względem niego. Przystawszy być niewolnikami, chcieli u niego służyć, jako wolni ludzie. Pilno im było powrócić do plantacyi, odbudo-

wać baraki, zniszczone przez bandy Texara, fabryki i warsztaty, słowem, wziąć się do zajęć, którym od tylu lat zawdzięczali dobrobyt i szczęście swoich rodzin.

Zaczęto od zreorganizowania służby na plantacyach, Edward Carrol, prawie wyleczony z rany, mógł się już oddać zwykłym zajęciom. Tak Perry, jak jego pomocnicy, okazywali wielką gorliwość. Nawet Pyg krzątał się żwawo, chociaż w rezultacie mało co robił. Biedny ten głuptas pozbył się trochę dawnych swoich idei. Nosząc miano wolnego, bardzo był przecież zakłopotany, jaki użytek zrobić z wolności. Krótko mówiąc, po powrocie całego personelu do Camdless-Bay, po odbudowaniu zrujnowanych budynków, plantacye w krótkim czasie przybrałyby dawny swój wygląd. Jakikolwiek byłby wynik wojny, można było być pewnym, że odtąd kolonistom florydzkim przestanie grozić wszelkie niebezpieczeństwo.

W Jacksonville porządek został przywrócony. Federaliści starali się nie mieszać do administracyi miejskiej. Była to z ich strony tylko wojskowa okupacja, dawni urzędnicy municypalni odzyskali władzę, jakiej byli pozbawieni przez kilka tygodni. Wystarczało, że flaga gwieździsta powiewała nad budynkami. Większość mieszkańców okazywała się dosyć obojętną na kwestyę waśniącą Stany-Zjednoczone, ulegała też wcale spokojnie zwycięskiemu stronnictwu. Sprawa unii nie powinna była napotkać żadnego przeciwnika w okręgach Florydy. Widać było, że doktryna „States-rights“, droga ludnościom Sta-

nów Południowców, nie będzie tu popierana z zapalem właściwym separatystom, nawet w razie, gdyby rząd federalny cofnął swe pułki.

Oto, jakich wypadków wojennych ówczesna Ameryka była jeszcze teatrem.

Południowcy, dla poparcia armii Beauregard'a, wyprawili 6 kanonierek pod rozkazami komandora Hollinsa, który zajął był właśnie posterunek na Missisipi, pomiędzy New-Madrid i wyspą 10. Tam zaczęła się walka, którą admirał Frote energicznie podtrzymywał, w celu zapewnienia sobie górnego biegu rzeki. Tego samego dnia, kiedy Jacksonville dostał się w moc Stevensa, artylerya federalna robiła przygotowania do odparcia kanonierek Hollinsa. Północni mieli już odnieść zwycięstwo, wziąć wyspę 10 i New-Madrid. Zajęliby wtedy Missisipi na przestrzeni 200 kilometrów, licząc zakręty rzeki.

Jednakże, w owej epoce, rząd federalny okazywał się bardzo chwiejnym. Jenerał Mac Clellan przedstawił wprawdzie swoje idee radzie wojennej i uzyskał przychylne przyjęcie jej większości, jednak prezydent Lincoln, ulegając innym wpływom, nie dopuścił wprowadzenia tych pomysłów w życie. Armia Potomaku została rozdzieloną dla zapewnienia bezpieczeństwa Waszyngtonowi.

Szczęściem, zwycięstwo *Monitora* i ucieczka *Wirginii* umożliwiły żeglugę na Chesapeake. Prócz tego, nagły odwrót skonfederowanych, po opuszczeniu Manassasa, pozwolił armii przenieść swoje leże do te-

go miasta. W taki to sposób rozwiązała się kwestya blokady na Potomaku.

Wszelako, polityka, której działanie jest tak zgubne, gdy się miesza w sprawy wojenne, miała wywołać postanowienie, szkodliwe dla interesów Północy.

Jenerał Mac Clellan nie był podówczas głównie dowodzącym armiami federalnemi, kierował on tylko operacyami Potomaku; inne zaś korpusy wróciły pod wyłączny zarząd prezydenta Lincolna.

Był to błąd. Mac Clellan wziął bardzo do serca niezasłużoną degradacyę, ale, jako żołnierz, któremu przedewszystkiem idzie o spełnienie obowiązku, poddał się konieczności. Zaraz nazajutrz obmyślił plan wysadzenia swoich pułków na wybrzeżu fortu Mouroc. Ten plan, przyjęty przez naczelników korpusu, uzyskał zgodę prezydenta. Minister wojny wysłał rozkazy do New-Yorku, do Filadelfii, do Baltimone i mnóstwo okrętów przybyło do Potomaku dla przewiezienia armii Mac Clellana wraz z jej bagażami.

Obawy, przed którymi drżał jakiś czas Waszyn-gton, stolica północnych, teraz miały się skierować ku Richmond, stołecznemu miastu południowców.

Takie to było położenie stron wojujących w chwili, kiedy Floryda poddała się jenerałowi Shermanowi i komandorowi Dupont. Gdy ich eskadra blokowała wybrzeża Florydy, jednocześnie posiadanie Saint-Johnu zapewniało im zupełne władanie półwyspem.

Jednakże, Gilbert wraz z Marsem napróżno przeszukali brzegi i wysepki rzeki po za Picolata. Nie było więc już innej rady, jak uderzyć wprost na Texara. Od owego dnia, kiedy się zamknęły za nim drzwi więzienia, nie mógł mieć żadnej styczności ze swymi współnikami. Ztąd należało przypuszczać, że mała Dy i Zerma znajdują się tam, gdzie były przed zajęciem Saint-Johnu przez federalistów.

W owej chwili stan rzeczy w Jacksonville pozwalał, aby sprawiedliwość była wymierzona hiszpanowi w razie, gdyby nie chciał odpowiadać. Wszelako, przed zastosowaniem środków ostatecznych, chciano wymódz na nim zeznania obietnicą wolności.

Dnia 14-go powzięto postanowienie spróbowania tego kroku za zgodą władz wojskowych, o której zresztą nie można było wątpić.

Pani Burbankowa odzyskała siły. Powrót syna, nadzieja ujrzenia wkrótce córeczki, spokój w okolicy, zapewnione bezpieczeństwo plantacyi Camdless-Bay, wszystko składało się na to, żeby jej powrócić utraconą energję moralną. Nic już nie groziło ze strony stronników Texara, którzy rzucali postrach na Jacksonville. Milicje cofnęły się w głąb hrabstwa Putman. Gdyby później milicje miasta św. Augustyna, przepłynawszy rzekę w jej górnym biegu, miały pomyśleć o podaniu im ręki, było to niebezpieczeństwo bardzo dalekie, którego nie należało się obawiać, dopóki Dupont i Sherman przebywali we Florydzie.

Postanowiono zatem, że James Burbank wraz z Gilbertem tegoż dnia jeszcze udadzą się do Jacksonville, ale — sami; pp. Carrol i Stannard oraz Mars pozostaną w plantacyach, Miss Alicya zaś czuwać będzie nad panią Burbankową. Zresztą, młody officer oraz jego ojciec spodziewali się wrócić przed wieczorem do Castle-House z dobrą nowiną. Skoro-by tylko Texar wyjawił kryjówkę, w której trzyma Dy i Zerme, wypadłoby się zająć ich wyzwoleniem. Zapewne wystarczyłoby na to kilka godzin, a najwyżej dzień.

W chwili, kiedy dwaj Burbankowie wybierali się w drogę, miss Alicya wzięła na bok młodego oficera.

— Gilbertcie — rzekła — znajdziesz się wobec człowieka, który tak wiele złego zrobił twojej rodzinie; wobec nędznika, który ojca i ciebie skazał na śmierć, — Gilbertcie, czy przyrzekniesz mi, że będziesz panował nad sobą?

— Że będę panował nad sobą? — wykrzyknął Gilbert, który bladł ze wściekłości na samą myśl o hiszpanie.

— To jest konieczne — mówiła dalej miss Alicya. — Nic nie uzyskasz, jeśli sobie pozwolisz unieść się gniewem... Zapomnij o zemście, miej na celu jedno tylko... ocalenie siostry, która wkrótce i moją siostrą będzie!... Trzeba wszystko dla tego poświęcić, chociażby ci przyszło zapewnić Texara, że nie mu nie grozi na przyszłość z twej strony.

— Nie! — wykrzyknął Gilbert. — Zapomnieć, że przez niego matka mogła umrzeć... ojciec być rozstrzelanym!...

— I ty także, Gilbertcie, ty, którego nie spodziewałam się już zobaczyć! — odpowiedziała miss Alicya. Tak, on się dopuścił tego wszystkiego, ale teraz należy zapomnieć. Mówię ci to dlatego, że się lękam, iż pan Burbank nie zdoła zapanować nad sobą; więc gdybyś i ty nie mógł się hamować, to wasz krok byłby daremny. Ach, czemuż postanowiliście udać się bezemnie do Jacksonville!... Jabym działała słodyczą...

— A jeśli ten człowiek nie zechce odpowiadać? odezwał się znowu Gilbert, oceniając trafność zaleceń miss Alicyi.

— Jeśli nie zechce, wypadnie zostawić to sądowi, żeby go zmusił. Tu idzie o jego życie; więc gdy się przekona, że może je okupić otwartością, będzie mówił... Gilbertcie, musisz mi przyrzec spokój... W imię naszej miłości proszę.. przyrzekasz?

— Przyrzekam, droga Alicyo, przyrzekam!... — odpowiedział Gilbert. — Pomimo wszystko, co uczynił ów człowiek, niechaj mi tylko odda siostrę i Zermę, a zapomnę...

— Dobrze, Gilbertcie. Przeszliśmy straszne próby, ale to się skończy!... Bóg nam wynagrodzi latami szczęścia te smutne dni, kiedy cierpieliśmy tak wiele!...

Gilbert uściśnął rękę narzeczonej, która uroniła kilka łez, — następnie rozstali się.

O godzinie 10-ej James Burbank wraz ze synem, pożegnawszy rodzinę, wsiedli do czółna w przystani Camdless-Bayu.

Szybko przepłynęli rzekę, ale z polecenia Gilberta, zamiast się skierować ku Jacksonville, czółno manewrowało w taki sposób, ażeby przybić do kanoierki komendanta Stevensa.

Był on podówczas wojskowym naczelnikiem miasta; wypadło przedewszystkiem zawiadomić go o kroku Jamesa Burbanka. Stevens, komunikując się często z władzami, wiedział, jaką rolę odgrywał Texar, i jaki brał udział w pustoszeniu Camdless-Bayu, dla czego i w jaki sposób, w chwili gdy się milicje cofały, został aresztowany i uwięziony. Wiedział również o gwałtownej reakcyi przeciw Texarowi, na którego cała ucziwa ludność Jacksonvillu domaga się kary.

Komendant Stevens przyjął Jamesa i Gilberta Burbanków, jak na to zasługiwali. Czuł on dla młodego oficera szczególny szacunek, poznawszy jego charakter i odwagę w czasie, kiedy ten zostawał pod jego rozkazami. Odkąd Mars wrócił do flotylli, odkąd doszła go wiadomość, że Gilbert dostał się w ręce południowców, postanowił go ocalić bądź co bądź. Ale nie mogąc dopłynąć na czas do Saint-Johnu, jakimże sposobem przybyłby w porę?... Wiadomo, jakie okoliczności przyczyniły się do ocalenia młodego porucznika i Jamesa Burbanka.

Gilbert opowiedział w kilku słowach komendantowi Stevensowi, co zaszło, potwierdzając to, co mu już Mars mówił poprzednio. Nie wątpiono, że Texar osobiście był sprawcą porwania w przystani Marino, i że on jeden mógł wskazać miejsce, gdzie wspólnicy jego przechowują Dy i Zermę. Ich los był przeto w rękach hiszpana; komendant Stevens uznał to bez wachania. Dlatego zostawił on Burbankom swobodę w prowadzeniu sprawy. Z góry zgadzał się na wszystko, co uczynią w interesie dziecka i metycki. Gdyby nawet wypadło dać w zamian wolność Texarowi, zgodziłby się i na to. Komendant gotów był zrobić odpowiednie kroki przed urzędem Jacksonvillskim.

Dwaj Burbankowie, uzyskawszy swobodę działania, podziękowali Stevensowi, który im dał piśmienne upoważnienie do skomunikowania się z hiszpanem. Następnie kazali się zawieźć do portu.

Tam oczekiwał pan Harvey, uprzedzony bileciem od Jamesa Burbanka. Wszyscy trzej udali się do Court-Justice, gdzie wydanym został rozkaz, by im otwarto drzwi więzienia.

Fizyolog z zajęciem przyglądałby się twarzy, a raczej zachowaniu się Texara, odkąd ten dostał się do niewoli. Że był mocno rozdrażniony tem, iż przybycie pułków federalnych położyło koniec jego panowaniu, że żałował nieograniczonej władzy i możności wywierania zemsty osobistej, — było to niewątpliwe. Było mu żal, że się znajduje w mocy wro-

gów, uwięziony z powodu ciężkich zarzutów, pod grozą odpowiedzialności za nadużycia, gwałty i okrucieństwa. Stosunkowo jednak było mu to wszystko obojętne. Przedewszystkiem i głównie troszczył się o to, że mu się nie udało przeprowadzić do końca knozań przeciw rodzinie Burbanków. Co się tyczy następstw jego uwięzienia, zdawało się, że nie dba o nie. Zdawało się, że ta natura, dotąd tak zagadkowa, miała pozostać tajemniczą do końca.

Otworzyły się drzwi do celi, James i Gilbert znaleźli się wobec więźnia.

— Aa! ojciec i syn! — zawołał zaraz hiszpan, z właściwą mu czelnością. Doprawdy, winienem być bardzo wdzięczny panom federalistom! Gdyby nie oni, nie zaszczylibyście mnie odwiedzinami. Nie potrzebując już mojej łaski dla siebie, zapewne przychodzicie z łaską dla mnie?

Ton jego był tak wyzywający, że James Burbank już miał wybuchnąć, ale go syn powstrzymał.

— Pozwól mi odpowiedzieć, ojcze — rzekł. — Texar chce nas wprowadzić na pole oskarżeń, na co my przystać nie możemy. Nie mamy na celu cofać się w przeszłość. Przychodzimy po to, żeby pomówić o terażniejszości.

— O terażniejszości! — wykrzyknął Texar — a raczej o obecnem położeniu! Ale, zdaje mi się, że ona jest bardzo jasna. Trzy dni temu byliście zamknięci w tej celi, z której mieliście wyjść tylko na

śmierć, dziś ja jestem na waszem miejscu. Przyznam się, że mi tu daleko lepiej, aniżeliście sądzili.

Ta odpowiedź zmieszała Jamesa Burbanka i jego syna, zamierzali bowiem obdarzyć Texara wolnością w zamian za wyjawienie tajemnicy porwania.

— Wysłuchaj mnie, Texarze — odezwał się Gilbert. — Przychodzimy rozmówić się z tobą szczerze. To, coś zrobił w Jacksonville, nie do nas należy; to, coś zrobił w Camdless-Bay, puścimy w niepamięć... jedno nas tylko interesuje. Moja siostra i Zerma znikły, podczas kiedy twoi stronnicy oblegali plantację i przypuszczali szturm do Castle-House. Jest to niezawodne, że obie zostały porwane...

— Porwane? — odparł złośliwie Texar. — Miło mi dowiedzieć się o tem!

— Dowiedzieć się? — wykrzyknął James Burbank. — Czy wypierasz się, nędzniku, śmiesz się wypierać?

— Ojczy — odezwał się młody oficer — nie tracmy zimnej krwi... to jest konieczne. Tak, Texarze, to podwójne porwanie nastąpiło podczas ataku na plantację. Czy przyznajesz, żeś tego dokonał osobiście?

— Nie mam nic do odpowiedzi.

— Nie odpowiesz, gdzie siostra moja i Zerma zostały zawieszane z twego rozkazu?

— Powtarzam raz jeszcze, że nie mam nic do odpowiedzi.

— Nawet w takim razie, jeśli w zamian za odpowiedź obdarzymy cię wolnością?

— Bez waszej pomocy mogę być wolny!..

— Któż ci otworzy drzwi więzienia?—zawołał James Burbank, którego ta czelność doprowadzała do wściekłości.

— Sędziowie, o których się domagam.

— Sędziowie!... Oni cię niemiłosiernie skazał.

— Wtedy zastanowię się, co robić.

— A więc ostatecznie nie chcesz odpowiadać?— zapytał Gilbert.

— Nie chcę..

— Nawet w zamian za wolność, którą ci ofiaruję?

— Nie chcę tej wolności.

— Nawet w zamian za majątek, który się obo-
wiązuje..

— Nie chcę waszego majątku. A teraz zostaw-
cie mnie samego, panowie.

Należy przyznać, że Burbankowie, ojciec i syn, zostali całkiem stropieni tą pewnością nędznika. Na czem się on opierał? Jakim sposobem Texar miał odwagę żądać sądu, który musiał wydać na niego naj-surowszy wyrok? Ani ofiarowana mu wolność, ani złoto, nic nie zdołało wydobyć zeń odpowiedzi. Czyż-
by nieubлагana nienawiść brała w nim górę nad wła-
snym interesem? Nie przestawał być tą zagadkową
osobistością, która, nawet wobec najstraszniejszych
ewentualności, nie chciała zadać kłamtu temu, czem
była dotąd.

— Idźmy, ojcze, idźmy! — rzekł młody oficer, wyprowadzając ojca z więzienia. U drzwi zastali p. Harveya, z którym też podążyli zdać komendantowi Stevensowi sprawę z bezowocnego kroku. W tej samej chwili, nadeszła proklamacja od komandora Dupont. Oznajmiała ona mieszkańcom Jacksonvillu, że nikt nie będzie prześladowany za przekonania polityczne, ani za fakta, jakimi się zaznaczył opór Florydy od początku wojny domowej. Poddanie się gwiazdzistej fladze miało pokryć całą odpowiedzialność z punktu widzenia publicznego.

Rozumie się, że ten sposób postępowania, bardzo rozumny sam przez się, zawsze przyjmowany w podobnych okolicznościach przez prezydenta Lincoln, nie mógł się stosować do faktów prywatnej natury. A tak się właśnie rzecz miała z Texarem. Że sobie przywłaszczył władzę uprawnionych urzędników; że z niej korzystał dla zorganizowania oporu, było to sprawą charakteru politycznego, którą rząd federalny przebaczał. Ale zamachy na osoby, napad na Camdless-Bay, skierowany ku człowiekowi prywatnemu, zrujnowanie jego własności, porwanie jego córki i domownicy, były to przestępstwa dające się podciągnąć pod ogólne prawo, podlegające wymiarowi sprawiedliwości.

Takie było zdanie komendanta Stevensa, a także i komandora Dupont, skoro tylko dowiedział się o wniesieniu skargi przez Jamesa Burbanka i o zdaniu przeprowadzenia śledztwa.

Dla tego też nazajutrz, d. 15 marca, wydany został rozkaz stawienia Texara przed sądem wojennym pod podwójnym zarzutem: rabunku i porwania. Oskarżony miał się tłumaczyć ze swoich zamachów przed radą wojenną, zasiadającą w mieście św. Augustyna.

Rozmnie się ~~zawieszono~~ postępowania, dając Texarowi czas na przygotowanie się do obrony. W tym celu otrzymał on od władz wojskowych wszelką pomoc i wszelkie potrzebne dokumenty. Wskazywało to na to, że władze wojskowe chciały uniknąć sądowego procesu i zapewnić Texarowi jak najkorzystniejsze warunki obrony.

W tym celu Texar otrzymał od władz wojskowych wszelką pomoc i wszelkie potrzebne dokumenty. Wskazywało to na to, że władze wojskowe chciały uniknąć sądowego procesu i zapewnić Texarowi jak najkorzystniejsze warunki obrony. Wskazywało to na to, że władze wojskowe chciały uniknąć sądowego procesu i zapewnić Texarowi jak najkorzystniejsze warunki obrony.

Także było zdanie komendanta Stevensa, a także i komandora Dupont, skoro tylko dowiedział się o wnieśli skargi przez Jamesa Baranaka i o zmianie przedsięwzięcia śledztwa.

VI.

Miasto św. Augustyna.

Miasto św. Augustyna, jedno z najstarszych w Ameryce północnej, sięga XV-go wieku. Jest to stolica hrabstwa św. Jana, które, jakkolwiek rozległe, nie liczy nawet 3,000 mieszkańców.

Miasto św. Augustyna, założone przez hiszpanów, pozostało do dziś prawie takim samym, jak było przed laty. Wznosi się ono na krańcu jednej z wysp nadbrzeżnych. Okręty wojenne lub handlowe mogą znajdować bezpieczne schronienie w jego porcie, dość dobrze osłoniętym od wiatrów, które ustawicznie uderzają w to zdradliwe nadbrzeże Florydy. Jednakże, aby się dostać do jego wnętrza, należy przebyć niebezpieczną zapórę, wytworzoną u wnijscia przez wiry Golfstremu.

Ulice w mieście św. Augustyna są ciasne, jak we wszystkich miastach, gdzie słońce rzuca promienie prostopadle.

Wskutek rozkładu ulic i wietrzyku morskiego, który rano i wieczór ochładza atmosferę, klimat jest bardzo łagodny w tem mieście, mającem takie znaczenie w Stanach Zjednoczonych, jak Nicea lub Mentona pod niebem południowej Francji.

Ludność skupiła się głównie w dzielnicy portu, na sąsiadujących z nim ulicach. Przedmieścia ze swą garstką chat, pokrytych liśćmi palmowemi, oraz lichemi szalaszami, są prawie opustoszone; błakają się tam tylko psy, krowy i nierogacizna.

Właściwe miasto wygląda bardzo z hiszpańska; okna u domów są gęsto zakratowane, we wnętrzu zaś tradycyjne palio, czyli dziedziniec, otoczony wysmukłemi kolumnami, o fantastycznych, spiczastych szczytach, oraz balkony rzeźbione. Czasami, w niedzielę lub święto, mieszkańcy tych domów wylegają na ulice. Spostrzegać się wtedy daje dziwna mieszanina *senor*, murzynek, mulatek, indjanek o krwi mieszanej, murzynów dorosłych i dzieci, dam angielskich, dżentlemenów, pastorów anglikańskich, mnichów i księży katolickich. Wszyscy palą cygaretki, nawet idąc do Kalwarji, parafialnego kościoła, którego dzwony biją, jak na gwałt i prawie bez przerwy od połowy XVII wieku.

Rynki są obficie zaopatrzone w jarzyny, ryby, drób, nierogaciznę, jagnięta (które tam zarzynają na miejscu na żądanie kupujących), w jaja, ryż, banany gotowane, drobną fasolę i nakoniec we wszystkie owoce zwrotnikowe, ananasy, daktyle, oliwki, gra-

naty, pomarańcze, gojawy, brzoskwinie, figi, kasztany, a to wszystko jest tak tanie, że w tej części Flo-rydy żyje się przyjemnie i bez kłopotu.

Co się tyczy porządkowania ulic, to wogóle nie dokonywają go specyjalni zamiatacze, lecz gromady sępów, osłanianych opieką prawa, które wzbrania je zabijać pod karą pieniężną.

Sępy te wszystko pożerają nawet węże, których spotykamy tu sporo, pomimo żarłoczności tych cennych ptaków.

Zieloności nie brak grupie domów, stanowiących miasto. W miejscach, gdzie się krzyżują ulice oko spoczywa na gromadach drzew, przerastających dachy i ożywionych ciągłym wrzaskiem dzikich papug. Najczęściej są to duże palmy, kołyszące liście pod tchnieniem wietrzyka, podobne do wielkich wachlarzy *senor* lub do *panka* indusów. Tu i owdzie wznoszą się dęby, oplecione lianami i słodkim bobem, oraz kępy tych olbrzymich kaktusów, których pnie tworzą gęsty płot. Wszystko to jest wesołe, powabne i pociągałoby jeszcze więcej, gdyby sępy sumiennie spełniały swój obowiązek. Nie wyrównywają one machinom do zamiatania.

W mieście tem znajdują się tylko dwa parowe tartaki, jedna fabryka cygar, jedna dystylarnia terpentyny. Miasto, raczej handlowe, niż przemysłowe, eksportuje lub importuje melasę, zboże, bawełnę, smołę, drzewo budowlane, ryby, sól. W zwykłym czasie port jest dosyć ożywiony przez statki przybywające

i odpływające, przewożące towary lub podróżnych do rozmaitych portów Oceanu i Zatoki Meksykańskiej.

Miasto św. Augustyna jest siedliskiem jednego z 6-ciu sądów, funkcjonujących w stanie Florydy. Co się tyczy obrony miasta, posiada jeden tylko fort: Marion lub św. Marka, budowlę z wieku XVII, postawioną na sposób kastyljański. Dla Vauban'a lub Cormontaigne'a ten fort nie miałby wielkiej wartości, ale archeologowie i antykwariusze podziwiają jego wieże, bastjony, obmurowanie, galerje zewnętrzne, starą broń, i stare moździerze, straszniejsze dla dających strzały, aniżeli dla tych, którzy są ich celem.

Ten to właśnie fort opuścił spieszenie garnizon południowców, za zbliżeniem się flotyli federalnej, jakkolwiek na kilka lat przed wojną rząd wzmocnił go w widokach obrony. Dlatego też, po wycofaniu się milicyj, mieszkańcy św. Augustyna oddali go chętnie komandorowi Dupont, który kazał zająć niezwłocznie.

W tymże samym czasie wypadł właśnie proces, wytoczony przeciw Texarowi, i narobił wiele wrzawy w hrabstwie.

Zdawało się, że to powinno być ostatnim aktem walki pomiędzy tą podejrzaną osobistością i rodziną Burbanków. Porwanie dziecka i metyski Zermi było wypadkiem tej natury, że mogło roznamiętnić opinię publiczną, która dawała żywe objawy współczucia dla kolonistów z Camdless-Bay. Texar był nie-

wątpliwie sprawcą zamachu. Nawet dla obojętnych osób musiało to być ciekawe zobaczyć, jak się zachowa ten człowiek i czy nie otrzyma nareszcie kary za wszystkie przestępstwa, oddawna mu zarzucane.

Zanosilo się więc na silne wrażenie w mieście. Właściciele okolicznych plantacyj napływali: kwestja bowiem była tej natury, że interesowała ich bezpośrednio; jeden z zarzutów odnosił się do opanowania i rabunku dominjum Camdless-Bay. Inne osady zostały także spustoszone przez zgraję południowców, szło więc o to, jak się też rząd federalny będzie zapatrywał na te zbrodnie przeciw prawu powszechnemu, dokonywane pod pokrywką polityki separatystowskiej.

Główny hotel w mieście św. Augustyna, *City-Hôtel*, liczył dosyć znaczną liczbę przyjezdnych, sympatyzujących z rodziną Burbanków, ale mógłby ich pomieścić jeszcze więcej.

Rzeczywiście, nie mogło być nic odpowiedniejszego, jak ta obszerna budowla z XVI wieku, dawna siedziba korregidora, ze swoją „puerta“, czyli bramą, pokrytą rzeźbami; z wielką paradną salą; z wewnętrznym dziedzińcem, którego kolumny oplecione pnąciami się roślinami; z werendą, przylegającą do wygodnych pokoi, których sufity kryją się pod jaskrawymi szmaragdowymi i żółtymi barwami; z tryskającymi fontanami i zielonemi trawnikami, a to wszystko na dosyć rozległej przestrzeni, w „patio“, opasanem wysokimi murami. Jednem słowem, jest to rodzaj karawan-

seraju, uczęszczanego jedynie przez bogatych podróżnych.

Tam właśnie zamieszkali od poprzedniego dnia James i Gilbert Burbankowie oraz p. Stannard z córką, a także i Mars.

Po bytności w więzieniu jacksonvillskiem, Burbankowie, ojciec i syn, wrócili do Castle-House. Przekonawszy się, że Texar nie chce dać żadnych objaśnień, dotyczących się małej Dy i Zermy, cała rodzina straciła ostatnią nadzieję; ale wiadomość, że Texar stawiony będzie przed sądem wojennym za wypadki, zaszłe w Camdless-Bay, uśmierzyła ich trwogę. Wobec wyroku, którego nie może już uniknąć, z pewnością będzie mówił dla okupienia wolności lub życia.

W sprawie tej miss Alicja miała być główną oskarżycielką, znajdowała się bowiem w przystani Marino w chwili, kiedy Zerma wygłosiła imię Texara i poznała tego nędznika w czólnie, na którym uciekał. Młoda miss wybierała się więc do miasta. Ojciec chciał jej towarzyszyć, również i obaj Burbankowie, powołani na świadków przed sąd wojenny. Mars uprosił, ażeby go zabrali z sobą, chcąc się tam znajdować, gdy wydobędą z hiszpana tajemnicę, którą on jeden tylko mógł wyjawić. Wtedy James Burbank, jego syn i Mars mieliby już możność odebrania brank tym, którzy je więżą z rozkazu Texara.

Dnia 16-go, po południu, dwaj Burbankowie, p. Stannard z córką i Mars pożegnali się z panią Burbankową i z Edwardem Carrolem. Wsiedli do jednego z parowców, obsługujących Saint-John, który też wysadził ich na ląd w Picolata. Ztamąd powozem puścili się krętą drogą wśród gęstych lasów, złożonych z dębów, cyprysów i jaworów, jeżących się na tej części terytorjum. Przed północą znaleźli wygodne pomieszczenie w *City Hotel*.

Niechaj sobie jednak czytelnik nie wyobraża, że Texar był opuszczony przez wszystkich; liczył on wielu stronników pomiędzy drobnymi kolonistami hrabstwa, którzy, prawie bez wyjątku, sprzyjali niewolnictwu. Z drugiej strony, wiedząc, że nie będą poszukiwani za zaburzenia jacksonvillskie, jego towarzysze nie chcieli odstąpić dawnego swego przywódcy. Wielu z pōśród nich postanowiło spotkać się w mieście św. Augustyna. Prawda, że nie należało ich szukać w „patio“ *City Hotelu*. W miastach nie brakuje szynkowni, „tiendas“, w których metyski sprzedają potrosze wszystko, co się je, pije i pali. Tam, ci ludzie niskiego pochodzenia, i dwuznacznej moralności gorąco odzywali się za Texarem.

Komandor Dupont nie znajdował się podówczas w mieście św. Augustyna, zajęty ze swą eskadrą blokowaniem przesmyków nadbrzeżnych, które miano zatamować dla kontrabandy wojennej. Ale pułki, które wylądowały po poddaniu się fortu Marino, dobrze strzegły miasta. Nie należało się obawiać za-

dnego ruchu ze strony południowców i milicj, cofających się na drugą stronę rzeki. Gdyby zwolennicy Texara spróbowali porwać za broń dla odebrania miasta władzom federalnym, zostaliby natychmiast zmiążdżeni.

Co się tyczy hiszpana, jedna z kanonierek komendanta Stevensa przewiozła go z Jacksonville do Picolata. Z Picolata do miasta św. Augustyna przybył z licznym konwojem i został zamknięty w jednej z cel fortu, z kąd ucieczka była niemożliwą. Zresztą, ponieważ sam domagał się sądu, prawdopodobnie uciekać nie myślał. Jego stronnicy dobrze o tem wiedzieli. Gdyby został skazany, wtedy dopiero szukaliby sposobów ułatwienia mu ucieczki; tymczasem zaś należało im zachować się spokojnie.

W nieobecności komandora, pułkownik Gardner pełnił obowiązki wojskowego naczelnika miasta. On także miał przewodniczyć radzie, powołanej do sądenia Texara, w jednej z sal fortu Marion. Był to właśnie ten sam oficer, który uczestniczył we wzięciu Fernandiny i z jego to rozkazu, zbiegi, uwięzieni podczas napaści na pociąg, dokonanej przez kanonierkę *Ottawa*, zostali przetrzymani 48 godzin, którą to okoliczność należy przypomnieć w tem miejscu.

Rada zaczęła posiedzenie o 11-tej rano. Liczna publiczność zalega salę audjencjonalną. Pomiędzy największymi krzykaczami można było znaleźć przyjaciół lub popleczników Texara.

Dwaj Burbankowie, p. Stannard z córką i Mars, zajmowali miejsca, przeznaczone dla świadków. Wtedy już było widać, że po stronie obrony nie ma wcale świadków. Zdawało się, że hiszpanowi nie zależy na usprawiedliwieniu się przed sądem.— Czy nie dbał o przychylne mu zeznania, czy też nie mógł ich użyć?—wkrótce miano się przekonać. W każdym razie wynik sprawy zdawał się niewątpliwy.

Jednakże, jakieś nieokreślone przeczucie opanowało Jamesa Burbanka. Alboż on w tem samem mieście św. Augustyna nie wnosił skargi na Texara? czyż hiszpan nie zdołał uniknąć wymiaru sprawiedliwości, powołaniem się na niezaprzeczone *alibi*? Zestawienie tych dwóch faktów musiało się nasunąć całemu audytorjum, gdyż owa pierwsza sprawa wydarzyła się na kilka tylko tygodni przedtem.

Texara przyprowadzili ajenci policyjni na samym początku posiedzenia rady: usiadł on spokojnie na ławce oskarżonych. Widocznie, żadna okoliczność nie zdołałaby go pozbawić wrodzonej czelności. Zanim pułkownik Gardner rozpoczął badanie, miał on wzdurliwy uśmiech dla swoich sędziów i spojrzenie, zdradzające pewność siebie, dla przyjaciół, których poznał w sali, a nienawistne, gdy je zwrócił ku Jamesowi Burbankowi.

Na widok człowieka, który już im wyrządził tyle złego i mógł jeszcze wyrządzić tak wiele, Burbankowie i Mars hamowali się z trudnością.

Badanie zaczęło się od zwykłych formalności, mających na celu sprawdzenie tożsamości osoby oskarżonego.

— Jak się nazywasz?—zapytał pułkownik Gardner.

— Texar.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści pięć.

— Gdzie mieszkasz?

— W Jacksonville, w tiendzie Torilla.

— Pytam o to, gdzie masz stałe mieszkanie?

— Nie mam stałego.

Jakże Jamesowi Burbankowi i jego gromadce były serca, gdy usłyszeli tę odpowiedź, daną tonem, zdradzającym, że oskarżony ma silną wolę nie wyjawienia miejsca swej siedziby.

I rzeczywiście, pomimo nalegań prezesa, Texar uparcie powtarzał, że nie ma stałego miejsca pobytu. Podawał się za włóczkę leśnego, za myśliwego z olbrzymich lasów terytorjum, który sypia pod szałasami, żyje ze swej fuzji, ze swych łupów, bez żadnego planu. Nie można było wydobyć z niego nic więcej.

— Niech i tak będzie — odpowiedział pułkownik Gardner.—Zresztą, mniejsza o to.

— Rzeczywiście, mniejsza o to,—odparł czelnie Texar.—Jeśli chcesz, pułkowniku, przypuśćmy, że mojem mieszkaniem jest teraz fort Marion w mieście św. Augustyna, w którym jestem więziony wbrew wszelkiemu prawu. O co jestem oskarżony, jeśli ła-

ska,—dodał, chcąc niejako od początku kierować badaniem.

— Texarze — odezwał się znowu pułkownik Gardner — nie jesteś w więzieniu z powodu wypadków, zaszłych w Jacksonville. Proklamacya komandora Duponta ogłasza, że rząd nie chce się wdawać w rewolucje miejscowe, które zniosły władze normalne hrabstwa. Floryda wróciła obecnie pod flagę federalną i rząd północny przystąpi niezadługo do nowej organizacji.

— Jeżeli nie jestem pod sądem za obalenie władz Jacksonvillu i to za zgodą większej części ludności, to dlaczego powołano mnie przed sąd wojenny?—zapytał Texar.

— Powiem ci, kiedy udajesz, że tego nie wiesz —odpowiedział pułkownik Gardner.—Dopuszczono się zbrodni przeciw prawu publicznemu, podczas kiedyś był naczelnikiem miasta i oskarżony jesteś o podniecanie niektórych sfer ludności do ich spełniania.

— Jakież to były zbrodnie?

— Przedewszystkiem idzie o rabunek, dokonany na plantacji Camdless-Bay, na którą się rzuciła cała zgraja złoczyńców...

— I pułk żołnierzy pod wodzą oficera milicji — żywo dodał hiszpan.

— Niechaj i tak będzie, Texarze; ale był to rabunek, było podpalenie, był atak zbrojny na dom ko-

lonisty, któremu służyło prawo odparcia podobnej napaści który i skorzystał z niego.

— Prawo?—zapytał Texar. —Prawo nie było po stronie tego, który odmawiał posłuszeństwa komitetowi ustanowionemu według wszelkich prawideł. James Burbank—o niego tu bowiem chodzi—wyzwolił swych niewolników, lekceważąc opinię publiczną, która obstaje za niewolnictwem we Florydzie, jak i w większości południowych Stanów Zjednoczonych. Ten akt mógł spowodować ważne klęski w innych plantacjach kraju, podżegając murzynów do buntu. Komitet Jacksonvillu zdecydował, że, ze względu na terażniejsze okoliczności, potrzebną jest jego interwencja. Nie zniósł wprawdzie aktu wyzwolenia, tak nierozważnie ogłoszonego przez Jamesa Burbanka, ale chciał przynajmniej, ażeby nowi wyzwolenicy byli wyparci z terytorjum.—Ponieważ James Burbank nie usłuchał tego nakazu, komitet musiał uciec się do siły i dlatego to milicja, do której się przyłączyła część ludności, wywołała rozproszenie byłych niewolników z Camdless-Bay.

— Texarze — odpowiedział pułkownik Gardner —zapatrujesz się na te czyny gwałtu z punktu, jakiego rada nie może uwzględnić. James Burbank, północny z pochodzenia, działał z zupełnem prawem, wyzwalając swoich niewolników, a zatem nic nie może usprawiedliwić nadużyć, popełnionych na jego ziemi.

— Sądzę, że byłoby to z mojej strony stratą czasu rozmawiać z radą o moich przekonaniach — rzekł Texar.—Komitet jacksonvillski poczytywał sobie za obowiązek postąpić tak, a nie inaczej. Czy jestem uwięziony, jako prezydujący tego komitetu i czy cała odpowiedzialność za te kroki ma spaść na mnie?

— Tak, na ciebie, Texarze; na ciebie, który byłeś nie tylko prezydującym tego komitetu, lecz osobiście dowodziłeś bandami rabusiów, pchniętymi na Camdless-Bay.

— Dowiedz tego, pułkowniku! — odpowiedział zimno Texar.—Czy znajdzie się choćby jeden świadek, który mnie widział pośród obywateli i żołnierzy milicyj, obowiązanych spełnić rozkazy komitetu?

Wskutek tej odpowiedzi, pułkownik Gardner poprosił Jamesa Burbanka, ażeby złożył zeznanie.

James Burbank opowiedział wypadki, zaszłe od chwili, kiedy Texar wraz ze swymi stronnikami obalił prawe władze Jacksonvillu, i kładł główny nacisk na zachowanie się oskarżonego, który naprowadził pospólstwo na jego posiadłość.

Jednakże, zapytany przez pułkownika Gardniera, czy Texar znajdował się pomiędzy napastnikami, musiał odpowiedzieć, że nie sprawdził jego obecności. Wiadomo, w samej rzeczy, że John Bruce, wysłaniec p. Harveya, zapytany przez Jamesa Burbanka w chwili, kiedy przybył do Castle-House, nie mógł go objaśnić, czy hiszpan stanął na czele tej hordy złoczyńców.

— W każdym razie — nikt o tem nie wątpi, że na niego spada odpowiedzialność za tę zbrodnię, — dodał James Burbank. — To on podburzył napastników do zaatakowania Camdless-Bayu, i gdyby to od niego zależało, to mój własny dom, wydany na pastwę płomieni, zostałby obrócony w perzynę wraz z jego ostatnimi obrońcami. Tak, w tem wszystkim jest jego ręka i odnajdziemy ją w czynie, jeszcze bardziej zbrodniczym!

Tu James Burbank umilkł. Przed przystąpieniem do aktu porwania należało skończyć tę pierwszą część oskarżenia, odnoszącą się do napadu na Camdless-Bay.

— Tak więc — mówił dalej pułkownik Gardner, zwracając się do hiszpana — sądzisz, że w części tylko powinna spaść na ciebie odpowiedzialność za wykonanie rozkazów komitetu?

— Rozumie się.

— I trwasz w dowodzeniu, żeś nie przywoził napastujących Camdless-Bay.

— Trwam — odpowiedział Texar. — Ani jeden świadek nie może twierdzić, że mnie tam widział. Nie! Nie znajdowałem się pośród odważnych obywateli, którzy chcieli wykonać rozkazy komitetu! I dodaje, że mnie nawet nie było tego dnia w Jacksonville!

— Tak!... to jest możliwe — rzekł wtedy James Burbank, uznając tę chwilę za właściwą do związania pierwszej części oskarżenia z drugą.

— To jest pewne — odpowiedział Texar.

— Ale, jeśli cię nie było pomiędzy rabusiam w Camdless-Bay — mówił dalej James Burbank — to dlatego, żeś czekał w przystani Marino sposobności popełnienia innej zbrodni!

— Nie byłem w przystani Marino, tak samo jak pośród napastników i w Jacksonvillu. Powtarzam to jeszcze raz—odrzekł z zimną krwią Texar.

Czytelnik zechce sobie przypomnieć, że i John Bruce powiedział Jamesowi Burbankowi, że jeśli nie było Texara pomiędzy napastnikami, to i w Jacksonville nie pokazał się od 48 godzin, to je st od 2-go do 4-go.

Wskutek tej okoliczności, prezydujący rady wojennej zapytał go:

— Jeśli cię nie było tego dnia w Jacksonville, to może zechcesz powiedzieć, gdzieś był.

— Powiem we właściwym czasie — tyle tylko odparł Texar. — W tej chwili poprzestaną na objaśnieniu, że nie brałem, osobiście, udziału w napadzie na plantację. A teraz, powiedz mi, pułkowniku, o co więcej jestem oskarżony?

Texar, założywszy na krzyż ręce, czelniej, niż kiedykolwiek, spoglądał na swych oskażycieli. Nie czekał długo.

Pułkownik Gardner wystąpił niebawem z zapytaniem, na które odpowiedź mogła być trudną.

— Jeśli cię nie było w Jacksonville—odezwał się — to sąd utwierdza się w podejrzeniu, żeś był w przystani Marino.

— W przystani Marino?... I cóżbym tam robił?
— Porwałeś albo kazalesz porwać dziecko, Dianę Burbankównę, córkę Jamesa Burbanka, i Zermę, żonę tu obecnego metysa Marsa, która to warzyszyła tej dziewczynce.

— Aa, to mnie posądzają o to porwanie?... — rzekł Texar, ironicznym tonem.

— Tak!.. ciebie! — wykrzyknęli jednocześnie James Burbank, Gilbert i Mars, nie mogąc się dłużej hamować.

— Ale dlaczegoż to miałem być ja, nie kto inny?—odpowiedział Texar.

— Bo ty jeden miałeś interes w dopuszczeniu się tej zbrodni—rzekł pułkownik.

— Jaki interes?

— Chciałeś się zemścić na rodzinie Burbanków. Już nieraz James Burbank był zmuszony wnosić skargę na ciebie. Nie ulegałeś nigdy karze, zręcznie powołując się na *alibi*, ale kilkakrotnie odzywałeś się z zamiarem wywarcia zemsty na swoich oskarżycielach.

— Niechaj i tak będzie!—odparł Texar. — Że pomiędzy mną a Jamesem Burbankiem panuje śmiertelna nienawiść, tego nie przeczę. Że miałem interes w zranieniu mu serca porwaniem dziecka, tego również nie przeczę. Ale żebym ja to zrobił, to znów inna rzecz! Czy jest jaki świadek, który mnie widział?

— Jest—odpowiedział pułkownik Gardner.

I poprosił zaraz Alicję Stannard, ażeby złożyła zeznanie pod przysięgą. Miss Alicja powiedziała wtedy, co zaszło w przystani Marino, głosem, przerywanym ze wzruszenia. Zupełnie stanowczo potwierdziła uczynione hiszpanowi zarzuty. Wychodząc z tunelu, pani Burbankowa i ona usłyszały imię, wypowiedziane donośnym głosem przez Zermę, a było to imię Texara. Obie, potknąwszy się o trupy zamordowanych murzynów, czemp prędzej pobiegły ku brzegowi rzeki. Dwa statki oddalały się od niego: jeden uwoził ofiary, na drugim stał Texar przy sterze. Miss Alicja poznała hiszpana przy łunie rozpostartej od pożaru składu drzewa w Camdless-Bay, aż do Saint-Johnu.

— Przysięgasz pani na to?—zapytał pułkownik Gardner.

— Przysięgam!—odpowiedziała miss.

Po tak kategorycznym oświadczeniu niepodobna było wątpić o winie Texara. Jednak, tak James Burbank i jego przyjaciele, zarówno jak całe audytorjum, mogli zauważyć, że oskarżony bynajmniej nie stracił zwykłej pewności siebie.

— Texarze, cóż powiesz na to zeznanie?—zapytał przewodniczący.

— Oto moja odpowiedź!—odrzekł hiszpan—nie mam zamiaru oskarżać miss Alicję Stannard o fałszywe zeznanie! nie oskarżę jej też o to, że pod wpływem nienawiści rodziny Burbanków twierdzi pod przysięgą, iż jestem sprawcą porwania, o którym do-

wiedziałem się dopiero w więzieniu; powiem tylko, że mogło jej się zdawać, iż widziała mię na jednym ze statków, odpływających z przystani Marino.

— Jednakże — przemówił znowu pułkownik Gardner — gdyby nawet Alicja Stannard mogła się omylić tak dalece, to przecież słyszała krzyk Zermy: Ratunku... to Texar!

— Jeśli miss Stannard nie omyliła się, to się mogła omylić Zerma—odrzekł hiszpan.

— Jakto, Zerma wołała: To Texar! a pomimo to nie byłbyś obecny w chwili porwania?

— Tak było rzeczywiście: nie znajdowałem się wcale na statku i nie jeździłem nawet do przystani Marino.

— Udowodnij to.

— Udowodnienie należy do moich oskarżycieli, nie do mnie; ale mogę to uczynić z łatwością.

— Czy znowu *alibi*?—zapytał pułkownik Gardner.

— Znowu!—odparł zimno Texar.

Publiczność przyjęła tę odpowiedź z ironją i powątpiewaniem, bynajmniej nieprzemawiającem na korzyść oskarżonego.

— Texarze — zapytał pułkownik Gardner — kiedy się powołujesz na nowe *alibi*, czy możesz je udowodnić?

— Z łatwością—odrzekł hiszpan — dosyć będzie, gdy ci zadam jedno pytanie, pułkowniku.

— Mów.

— Czy nie dowodziłeś pan oddziałami lądowymi podczas zdobywania Fernandiny i fortu Chinch przez federalistów?

— Rzeczywiście, dowodziłem.

— Musisz pan tedy pamiętać, że jeden pociąg kolei, zdążający ku Cedar-Keys, został zaatakowany przez kanonierkę *Ottawa* na moście, łączącym wyspę Amelję z lądem stałym.

-- Pamiętam.

— Otóż, ponieważ ostatni wagon pociągu został porzucony na moście, oddział wojska federalnego wziął w niewolę wszystkich zbiegów, którzy się w nim znajdowali, i ci jeńcy, których nazwisko i rysopis zanotowano, odzyskali wolność dopiero po upływie 48 godzin.

— Wiem o tem — odpowiedział pułkownik Gardner.

-- Otóż i ja byłem pomiędzy tymi więźniami.

— Ty?

— Ja!

To niespodziane oświadczenie wywołało znowu szemranie.

— Ponieważ ci więźniowie byli aresztowani od 2-go do 4-go marca — mówił dalej Texar — a napad na plantację i porwanie, o które jestem oskarżony, zaszły w nocy na d. 3-ci marca, jest materjalnem niepodobieństwem, ażebym był sprawcą jednego lub drugiego. Alicja Stannard nie mogła zatem słyszeć mojego imienia z ust Zermy, nie mogła mnie widzieć

na statku, odpływającym z przystani Marino, gdyż w tej chwili właśnie byłem aresztowany przez władze federalne.

— To fałsz! — wykrzyknął James Burbank. — To nie może być!

— Przysięgam, że widziałam tego człowieka i że go poznałam! — rzekła znowu miss Alicja.

— Zajrzyj, pułkowniku, do dokumentów — odparł krótko Texar.

Pułkownik Gardner kazał wyszukać pomiędzy papierami, oddanymi do rozporządzenia komandorowi Dupont w mieście św. Augustyna dowodu, dotyczącego więźniów, ujętych w dniu zdobycia Fernandiny, w pociągu, dążącym do Cedar-Keys. Gdy mu przyniesiono ten papier, wyczytał rzeczywiście nazwisko i rysopis Texara.

— Nie należało dłużej wątpić. Hiszpan nie mógł być posądzony o porwanie. Miss Alicja była w błędzie, twierdząc, że go poznała. Nie mógł on się znajdować owego wieczoru w przystani Marino; jego 48-godzinna nieobecność w bardzo prosty sposób była wyjaśnioną tem, iż został uwięziony na jednym ze statków eskadry.

A więc i tym razem niezaprzeczone *alibi*, poparte urzędowym dowodem, uniewinniło Texara. Publiczność gotowa już była przypuszczać, że i w dawniejszych skargach zachodziła może pomyłka, tak samo, jak dziś, w tej podwójnej sprawie Camdless-Bayu, oraz przystani Marino. James Burbank, Gilbert,

Mars i miss Alicja byli zrozpaczeni rozwiązaniem procesu. Texar znowu im się wymykał; a wraz z nim wszelka możliwość powzięcia wiadomości o losach Dy i Zermy.

Wobec *alibi*, na jakie się powołał oskarżony, łatwo było przewidzieć wyrok rady. Texar został uniewiniony w zarzutach o rabunek i porwanie; wyszedł z sali z głową podniesioną, pośród głośnych okrzyków swoich przyjaciół.

Tegoż samego wieczoru wyjechał z miasta św. Augustyna i nikt nie wiedział, w jakiej okolicy Florydy umyślił wieść dalej swe tajemnicze i pełne przygód życie.

VII.

Ostatnie słowa i ostatnie tchnienie.

Tegoż dnia, 17-go marca, James Burbank i Gilbert, p. Stannard z córką i Mars, powrócili do plantacji.

Nie można było ukryć prawdy przed p. Burbankową; a cios ten mógł być dla niej śmiertelnym, ze względu na stan zdrowia.

Ostatnie usiłowanie powzięcia wiadomości o losie dziecka spełzło na niczem. Texar nie chciał odpowiadać, a jakże go miano zmusić, gdy utrzymywał, że nie jest sprawcą porwania? Nietylko tak twierdził, ale przy pomocy *alibi*, również niezrozumiałego, jak poprzednie, udowodnił, że nie mógł być w przystani Marino, w chwili kiedy się dopuszczono tej zbrodni. Uniewinionemu nie można już było dać do wyboru kary lub zeznania, któreby naprowadziło na ślad jego ofiar.

— Jeśli nie Texar, to któżby się dopuścił tego przestępstwa? — powtarzał Gilbert.

— Może jego ludzie, podczas gdy go nie było w Jacksonville—odpowiedział p. Stannard.

— Inaczej nie można przypuszczać — dorzucił Edward Carrol.

— Nie, mój ojczec... nie, panie Carroll! — zapewniała miss Alicja.—Texar był na statku, którym uwożono naszą biedną Dy! Widziałam go... poznałam go w chwili, kiedy Zerma krzyknęła: Texar!.. Widziałam go!.. Widziałam go!

Cóż można było odpowiadać na tak stanowcze twierdzenie młodej miss? Wciąż powtarzała w Castle-House to, na co przysięgała przed radą wojenną. A jednak, jeśli ją wzrok nie omylił, to jakim sposobem hiszpan mógł się podówczas znajdować pomiędzy więźniami w Fernandinie?

Było w tem coś zagadkowego; jednakże, choć inni mogli powziąć wątpliwość, Mars nie zachwiał się ani na chwilę. Nie siląc się nawet na rozwiązanie zagadki, postanowił szukać Texara, z tem przekonaniem, że, znalazłszy go, będzie umiał wydobyć zeń tajemnicę, choćby mu przyszło uciec się do tortur.

— Masz rację, Marsie — odpowiedział Gilbert — ale w ostateczności trzeba się obejść bez tego nędznika, gdy niewiadomo, gdzie się podział... Rozpocznijmy znów poszukiwania... Pozwolono mi nie wracać, dopóki tu będę potrzebny... więc zaraz jutro...

— Tak, panie Gilbercie, zaraz jutro!.. —² odpowiedział Mars i poszedł się schronić do swego pokoiku, gdzie mógł swobodnie cierpieć i szaleć z gniewu.

Nazajutrz, obaj z Gilbertem zajęli się przygotowaniem do wycieczki, chcąc jeszcze dokładniej przeszukać najmniejsze przystanie i wysepki powązek Camdless-Bay i na obydwóch brzegach Saint-Johnu. Podczas ich nieobecności, James Burbank z Edwardem Carrolem mieli przysposobić do dłuższej wyprawy żywność, broń, środki przewozowe, ludzi, tak, żeby im nic nie stanęło na przeszkodzie. Gdyby wypadło puścić się aż do dzikich okolic Dolnej Florydy, pomiędzy trzęsawiska, poprzez Ewerglady, nie cofnęliby się i przed tem.

Texar nie mógł jeszcze opuścić Florydy: gdyby się bowiem zwrócił ku północy, musiałby umykać przed wojskami federalnymi, które stały na granicy georgijskiej; jeśliby próbował uciec morzem, to, aby się dostać do Lukaj angielskich, powinienby przebyć cieśninę Bahama; tymczasem okręty komandora Dupont zajmowały przesmyki od krańca Mosquito, aż do wniścia tej cieśniny; szalupy zaś blokowały wybrzeże. Ucieczka zatem była niemożliwą w tej stronie. Texar musiał jeszcze być we Florydzie, zapewne ukryty tam, gdzie Squambo strzegł od dwóch tygodni jego dwóch ofiar.

Rozważywszy to wszystko, James Burbank postawił sobie za zadanie przewędrować całe terytorjum Florydy.

Dzięki obecności wojsk północnych i statków, blokujących wschodnie wybrzeże, panował tu zupełny spokój. W Jacksonville rzeczy także wróciły do zwykłego porządku: dawniejsi urzędnicy odzyskali utraczone posady; obywateli nie więzono; stronnicy Texara, którym w pierwszej zaraz chwili udało się umknąć w ślad za milicjami florydzkimi, poszli też w rozsypkę.

Nadto, wojna ciągnęła się dalej w Stanach Zjednoczonych z widoczną przewagą po stronie federalistów. D. 18-go i 19-go pierwsza dywizja armii Potomaku wylądowała w porcie Mouroe; d. 22-go druga gotowała się do opuszczenia Aleksandrji, dążąc tamże. Pomimo wojskowego genjuszu byłego profesora chemji, J. Jacksona, zwanego Stonewas „Jackson“, „kamienny mur“, południowcy mieli być pobici za dni kilka w potyczce pod Kernstown. Nie było więc powodu lękać się powstania we Florydzie, zawsze dosyć obojętnej pośród namiętnej walki Północy z Południem.

W tych warunkach pracownicy z Camdless-Bay, rozproszeni po napadzie na plantację, zwolna zaczęli powracać. Od czasu wzięcia Jacksonvillu wyroki Texara i jego komitetu, tyjące się wydalania wyzwolonych niewolników, straciły znaczenie.

Owego dnia, 17-go marca, większa część rodzin murzyńskich wznosiła już baraki na miejscach zrujnowanych. Jednocześnie znaczna liczba robotników uprzętała gruzy ze składów drzewa i tartaków, aże-

by eksploatacja Camdless-Bayu mogła być znowu prawidłowo prowadzoną. Perry, oraz inni rządzący byli niezmiernie czynni pod kierunkiem Edwarda Carrola, któremu James Burbank powierzył ogólną reorganizację, chcąc się cały oddać poszukiwaniu swego dziecica. W przewidywaniu bliskiej kampanji gromadził on wszystko, co mogło być potrzebne do wyprawy. Miał mu towarzyszyć oddział najwierniejszych z całej plantacji wyzwolenców, o których nie mógł wątpić, że wezmą do serca tę sprawę.

Pozostawało już tylko ułożyć plan wyprawy, mianowicie obmyśleć, w której części stanu rozpocząć poszukiwania.

Niespodziana i zupełnie przypadkowa okoliczność miała posłużyć za wskazówkę co do obioru drogi na początek.

Dnia 19-go Gilbert i Mars, wybrawszy się z samego rana z Castle-House, szybko płynęli w górę Saint-Johnu, jednym z najlżejszych czołów z Camdless-Bay. Żaden z murzynów nie towarzyszył im w tych codziennych wycieczkach po obydwóch brzegach rzeki, chcieli bowiem zachować jak największą tajemnicę, ażeby nie zwrócić uwagi szpiegów, mogących, z rozkazu Texara, krążyć w okolicach Castle-House.

Owego dnia posuwali się wzdłuż lewego brzegu. Ich czołno, przemykające się poprzez wysokie trawy, za wysepkami, oderwanymi wskutek gwałtownych prądów, podczas porównania dnia z nocą, było

niedostrzegalne dla statków, żeglujących głównem korytem rzeki, a nawet i dla oka, któreby z wysokiego wybrzeża chciało przebieć zieloną gąszcz.

Celem ich było zwiedzić tego dnia przystanie i najbardziej ukryte dopływy, jakie w hrabstwach Duval i Putnam zasilają Saint-John.

Aż do wioski Mandaryna, rzeka wygląda prawie jak bagno. Gdy morze wezbrane, woda zalewa te niezmiernie niskie wybrzeża, które wtenczas dopiero wylaniają się, gdy Saint-John powraca do zwykłego poziomu. Ale prawy brzeg jest nieco wyższy, a pola kukurydzone wolne od perjodycznych zalewów, któreby udaremniały wszelką uprawę. Można by nawet nazwać wzgórzem to miejsce, uwieńczone garstką domów i zakończone przylądkiem, wysuniętym aż na środek kanału. W dali, znaczna ilość wysp zajmuje węższe już koryto rzeki. Rozdzielone na trzy ramiona wody, odbijające białawe kity wspianiałych magnolij, wraz z odpływem lub z przyływem podnoszą się albo opadają, z czego obsługa przewozu może korzystać dwa razy na dobę.

Gilbert i Mars, dostawszy się na zachodnie ramię, przeglądali najmniejsze przestwory wybrzeża, dopóki nie odkryli pod konorami drzew tulipanowych ujścia dopływu, którego krętem korytem udało im się dotrzeć do wnętrza. Tam nie było już widać rozległych trzęsawisk dolnej rzeki, lecz same tylko doliny, w których jeżyły się paprocie drzewiaste i widłaki, pomieszane z girlandami lian, napęlniając powietrze mocnymi zapachami.

Tutaj, owe dopływy, a raczej strugi, wysychające po każdym opadnięciu wód, nie nadawały się do żeglugi, nawet dla lekkiego statku. Na wybrzeżach nie było śladu chat; sterczały tylko szalasy myśliwców, jak się zdawało, oddawna niezajęte. Czasami można było mniemać, że, korzystając z nieobecności ludzi, zwierzęta obrały tam sobie siedzibę. Rozlegały się przeróżne głosy: szczekanie psów, miauczenie kotów, skrzeczenie żab, syk gadów, skowyczenie lisów; a jednakże nie było ani psów, ani lisów, ani kotów, ani żab, ani węzów, tylko były to naśladowcze krzyki ptaka - przedrzeźniacza o czarnym łebku i czerwono-pomarańczowym ogonku, który hyżo wzlatywał za zbliżeniem się czółna.

Około trzeciej po południu, kiedy lekka łódź prześlizgiwała się pod ciemnym gąszczem olbrzymich trzcin, Mars tak silnie uderzył bosakiem, że niespodzianie dostali się za mur z zieleni, który zdawał im się nie do przebycia. Po za nim zaokrągląła się niewielka przestrzeń, której wody, ukryte pod gęstem sklepieniem z drzew tulipanowych, zapewne nigdy jeszcze nie odbierały ciepła od promieni słońca.

— Nie znalazłem tego stawu—rzekł Mars, prostując się, ażeby obejrzeć układ wybrzeży.

— Zwiedzmy go — odpowiedział Gilbert—może nas doprowadzi do wnętrza kraju.

— W samej rzeczy, panie Gilbercie — odparł Mars—sposstrzegam nawet wniście do przesmyku na północo-zachód od nas.

— Wiesz ty, gdzie jesteśmy? — zapytał młody oficer.

— Nie mógłbym tego dokładnie powiedzieć, ale kto wie, czy to nie laguna, zwana Czarną-Przystanią, którą wszyscy w okolicy mieliśmy za niedostępną i niepołączoną z Saint-Johnem.

— Czy w tej przystani nie było niegdyś fortu, wzniesionego przeciw Seminolom.

— Owszem był, panie Gilberte, ale od bardzo dawna brak przystępu do przystani od strony rzeki i fort został opuszczony. Nigdy go nie widział, ale się domyślam, że tylko ruiny po nim zostały.

— Spróbujemy się tam dostać—powiedział Gilbert.

— Sprobujemy -- odrzekł Mars—chociaż, prawdopodobnie, trudna to rzecz. Woda niedługo zniknie, a bagno nie będzie tak twarde, żeby można po niem chodzić.

— Prawda, ale póki woda nie ustąpi, możemy pozostawać na czólnie.

— Nie traćmy ani chwili czasu, panie Gilberte. Już trzecia: pod te drzewa niedługo zawita noc.

W samej rzeczy, Gilbert i Mars dostali się do Czarnej-Przystani, dzięki bosakowi, który ich pchnął poprzez zaporę z trzcin. Jak wiadomo, po tej lagunie mogły płynąć tylko leciuchne łodzie, w rodzaju tej, jaką zwykli się puszczać Squambo lub jego pan na nurty Saint-Johnu. Zresztą, ażeby się dostać do blokhauzu, położonego w środku przystani, poprzez

zagmatwaną sieć wysepek i przesmyków, należało być obeznanym z tysiącznemi zakrętami; dlatego od bardzo dawnego czasu nikt się tam nie zapędzał. Nie wierzono już nawet w istnienie fortu. Ztąd też ów dziwaczny i złośliwy człowiek, który tam obrał sobie stałą siedzibę, nie narażał się na żadne niebezpieczeństwo, ztąd jego prywatne życie otoczonem było taką tajemniczością.

Chyba przy pomocy kłębka Arjadyny możnaby się orjentować w tym labiryncie, w którym panowały ciemności nawet w samo południe. Jednakże, w braku takiego kłębka, traf mógł ułatwić odkrycie środkowej wysepki Czarnej-Przystani.

Gilbert i Mars musieli się więc spuścić na tego nieświadomego siebie przewodnika. Przebywszy staw, płynęli dalej po wzbierających właśnie, wskutek przypływu, kanałach. Sunęli naprzód, niby przecuciem parci, nie zdając sobie nawet sprawy, w jaki sposób wydobędą się ztamtąd. Ponieważ mieli przeszukać całą okolicę, wypadało im dokładnie zbadać tę lagunę.

Po półgodzinnych wysiłkach, według rachuby Gilberta, czołno musiało się posunąć o dobrą milę. Niejednokrotnie napotkawszy zaporę, cofało się ono z jednego przesmyku, aby się przedostać innym. Niewątpliwie jednak pusuwano się ku zachodowi.

Młody oficer i Mars nie próbowali jeszcze wyśiąć na ląd. Przyszłoby im to zresztą z trudnością, ponieważ grunt wysepek mało się wznosił nad średni

poziom rzeki. Lepiej było nie wysiadać z lekkiego statku, dopóki będzie dosyć wody do żeglugi.

Przebycie tej mili kosztowało Gilberta i Marsa wiele trudu. Jakkolwiek silny metys, potrzebował trochę wypocząć, odkładał to zresztą do chwili, kiedy dotrą do obrzerniejszej i wyżej położonej wysepki.

— Osobliwa rzecz! — rzekł on.

— Co takiego? — zapytał Gilbert.

— Ślady uprawy na tej wysepce—odpowiedział Mars.

Wysiedli obaj na brzeg, cokolwiek mniej bagnisty.

Mars nie mylił się; ślady uprawy były widoczne. Gdzieniegdzie rosły ignamy. Grunt był poorany ręką człowieka na pięć czy sześć bruzd. Obok łopata tkwiła w ziemi.

— A więc ta przystań posiada mieszkańców?... zapytał Gilbert.

— Zdaje się—odpowiedział Mars—albo, co najmniej, jest znaną jakim włóczęgom, może indjanom koczującym, którzy tu sadzą jarzyny.

— W takim razie możnaby tu znaleźć jakie szałas... chaty...

— W samej rzeczy, panie Gilbercie... i jeśli jest tu co podobnego, potrafimy odnaleźć.

Było rzeczą niezmiernie ciekawą dowiedzieć się, kto odwiedza Czarną Przystań? Czy udają się tutaj tajemnie myśliwi z nizin, czy też przybywają

tu seminolowie, których bandy spotykać jeszcze można na trzęsawiskach Florydy.

Nie myśląc o powrocie, Gilbert i Mars wsiedli napowrót do czółna i zagłębili się jeszcze bardziej w labirynt przejść. Zdawało się, że pewien rodzaj przecucia pociąga ich ku najciemniejszym zakątkom. Ich wzrok, oswojony z półmrokiem, zalegającym powierzchnię wysepek, pod gęsto splecionemi gałęziami, podążał we wszystkich kierunkach. Raz im się zdawało, że widzą chatę, a była to tylko zasłona z liści, ciągnących się od jednego pnia do drugiego, kiedyindziej znowu mówili do siebie: „jakiś człowiek patrzy na nas“; tymczasem to był tylko stary pień, dziwacznie powykręcany, którego profil wyglądał na sylwetkę ludzką. Wtedy nadśluchiwali... Może to, czego nie dostrzegą oczy, usłyszą uszy?... Najmniejszy odgłos mógł odkryć obecność żyjącej istoty w tej bezludnej okolicy.

W pół godziny po pierwszym przystanku obaj dotarli do środkowej wysepki. Zrujnowany blokhaus tak był ukryty w największym gąszczu, że nie mogli go dostrzedz. Zdawało się nawet, że przystań kończy się w tem miejscu, że zamulone przesmyki nie nadają się do żeglugi.

Zapora z krzewów i krzaków wznosiła się pomiędzy ostatniemi zakrętami kanałów i bagnistemi lasami, które się ciągną poprzez hrabstwo Duval, wzdłuż lewego brzegu Saint-Johnu.

— Zdaje mi się, że niepodobna płynąć dalej, panie Gilbercie—rzekł Mars.—Wody nie ma...

— Jednakże, nie mogliśmy się pomylić, że tu są ślady uprawy — powiedział młody oficer. — Istoty ludzkie odwiedzają tę przystań. Może były tu niedawno? Może się jeszcze znajdują?...

— Zapewne — odparł Mars — ale póki widno, trzeba wracać do Saint-Johnu. Zaczyna zmierzchać, niedługo nastaną głębokie ciemności, a jakże się orjentować pośród tych przesmyków? Zdaje mi się, panie Gilberte, że będzie roztropniej wycofać się ztąd, a jutro, o świcie, możemy tu znów rozpocząć poszukiwania. Wrócimy, jak zwykle, do Castle - House. Opowiemy, cośmy widzieli i zdecydujemy dokładniejsze zbadanie Czarnej Przystani w lepszych warunkach...

— Musimy to zrobić... Jednakże, zanim się oddalimy, chciałbym...

Gilbert pozostał nieruchomy. Rzuciwszy ostatecznie spojrzenie pod drzewa, miał polecić odepchnięcie czołna, kiedy zatrzymał Marsa gestem.

Metys przestał zaraz manewrować i stojący, z uchem natężonem, słuchał.

Do uszu ich dochodził krzyk, a raczej rodzaj przeciągłego jęku, którego nie można było brać za zwykle odgłosy leśne. Był to rozpaczliwy lament skarga ludzka, skarga, wywoływana dotkliwym cierpieniem. Rzekłbyś, że to ostatecznie wołanie głosu, mającego zamilknąć na zawsze.

— Tam jest człowiek! — wykrzyknął Gilbert. — Prosi o pomoc!... Może umiera!

— Tak!—odpowiedział Mars—trzeba pospieszyć na pomoc. Trzeba się dowiedzieć, kto on jest... Wyśiądźmy!

W jednej chwili wylądowali i, przymocowawszy czołno do wybrzeża, zagłębili się pod drzewa, okrywające wysepkę.

I tam także, na ścieżkach wydeptanych przez zarośle znaleźli ślady życia. Widoczne były przy ostatnich blaskach dnia odbicia stóp ludzkich.

Od czasu do czasu, Mars i Gilbert zatrzymywali się, ażeby słuchać. Czy się odzywają jeszcze jęki? Tylko ten odgłos mógł im wskazać kierunek.

Obaj usłyszeli je znowu, tym razem bardzo blisko. Pomimo coraz głębszych ciemności, mieli nadzieję dotrzeć do miejsca, zkad się odzywały.

Naraz rozległ się jeszcze bardziej rozzwierający krzyk. Wiedzieli już, w którą stronę pójść. Uszedłszy kilka kroków przez zarośla, Gilbert i Mars znaleźli się wobec człowieka, który konał, leżąc przy palisadzie. Biedak zalany był strugą krwi, w piersi tkwił mu nóż. Wydawał on ostatnie tchnienia: pozostawało mu tylko kilka chwil życia.

Gilbert i Mars pochylili się nad nim. Otworzyli jeszcze oczy, ale nie mógł odpowiadać na ich pytania.

— Trzeba zobaczyć tego człowieka! — zawołał Gilbert.—Pochodnię!.. gałęź zapaloną!

Mars już ułamał gałęź jednego ze smolnych drzew, w wielkiej liczbie rosnących na wysepce, za-

palil ją przy pomocy zapalki. Światło rozproszyło nieco ciemności.

Gilbert ukląkł przy umierającym. Był to murzyn, niewolnik, młody jeszcze. Przez roztwartą koszulę widoczny był otwór w piersi, z której sączyła się krew. Rana musiała być śmiertelną, nóż przeszył płuca.

— Ktoś ty?... Kto jesteś? — zapytał Gilbert, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

— Kto cię zranił?

Niewolnik nie mógł już wymówić ani słowa.

Mars poruszał gałęzią, ażeby rozpoznać miejsce, w którym zbrodnia została spełnioną.

Spostrzegł wtedy palisadę i niewyraźną sylwetkę blockhauzu. Był to rzeczywiście fort Czarnej Przystani, o którego istnieniu nawet nie wiedziano już w tej części hrabstwa Duval.

— Fort! — wykrzyknął Mars.

I pozostawiwszy swego pana przy umierającym, skoczył ku zabudowaniu. W jednej chwili przebiegł wewnątrz blokhausu i zajrzał do wszystkich pokoi, których drzwi wychodziły na salę środkową. W jednym z nich znalazł resztki ognia, dymiące jeszcze. Fort był więc ledwo co opuszczony. Ale jakiemu rodzajowi ludzi mógł służyć za schronienie: białym, czy seminolom? Bądź cobądź, należało się tego dowiedzieć, i to od tego rannego, który kona. Trzeba poznać nazwiska zabójców, którzy musieli ująć dopiero przed kilku godzinami.

Mars wyszedł z blokhauzu, obszedł dokoła palisadę od strony wewnętrznej, świecił pochodnią pod drzewami... ale nie było nikogo! Gdyby Gilbert i on przybyli rano, możeby zastali jeszcze tych, którzy zamieszkiwali fort. Teraz było już zapóźno.

Metys wrócił do swego pana i powiedział mu, że znajdują się w blokhauzie Czarnej Przystani.

— Czy ten człowiek mógł odpowiadać? — zapytał.

— Nie — odpowiedział Gilbert — stracił przytomność i wątpię, żeby ją odzyskał.

— Spróbujemy, panie Gilbercie — odpowiedział Mars.— Jest w tem tajemnica, którą należy wyświetlić, a nikt jej nam nie wyjawia, gdy ten biedak umrze!

— Prawda, Marsie! Przenieśmy go do fortu... Może tam przyjdzie do siebie. Nie możemy go pozostawić na tem wybrzeżu!..

— Weź pan pochodnię, panie Gilbercie — odpowiedział Mars.— Jestem dosyć silny, zaniosę go sam.

Gilbert pochwycił zapaloną gałęź. Metys podniósł ciało, które już było bezwładną masą, wszedł po schodkach, prowadzących do galerji i przez okno dostał się do jednego z pokojów, gdzie też złożył swój ciężar.

Położono umierającego na posłaniu z ziół; poczem Mars przytknął mu do ust flaszkę z wódką. Serce biedaka biło jeszcze, chociaż bardzo słabo i zrzadka. Życie już zeń ulatywało... Czyż nie wy-

jawi swej tajemnicy przed wydaniem ostatniego technienia?

Zdawało się, że ta odrobina wódki wlewa w niego trochę życia. Otworzył oczy i wlepił je w Marsa i Gilberta, którzy próbowali wyrwać go śmierci.

Chciał mówić... Kilka niezrozumiałych brzmień wyszło z jego ust... może imię!

— Mów!... mów!...—wołał Mars.

Podniecenie metysa było rzeczywiście nie do wytłómaczenia; jak gdyby zadanie, któremu poświęcił wszystko, zależało od ostatnich słów tego umierającego!

Młody niewolnik napróżno usiłował wybełkotać kilka słów... Nie miał już siły.

W tej chwili Mars spostrzegł, że w kieszeni kurtki niewolnika znajduje się kawałek papieru. W mgnieniu oka porwał ów papier, otworzył i przeczytał przy świetle pochodni.

Następujące słowa były tu nakreślone węglem:

„Jesteśmy porwane przez Texara do Czarnej Przystani... wiozą nas do Ewerglad.. na wyspę Carneval... kartka powierzona temu młodemu niewolnikowi... dla p. Burbanka...“

Było to pismo, dobrze znane Marsowi.

— Zerma! — wykrzyknął.

Posłyszawszy to imię, umierający otworzył oczy i pochylił głowę na znak potwierdzenia.

Gilbert, podniosłszy go do połowy, zapytał:

— Zerma?

— Tak.

— I Dy?

— Tak!

— Kto cię zamordował?

— Texar...

Było to ostatnie słowo biednego niewolnika;
padł nieżywy na posłanie z ziół.

VIII.

Tegoż wieczora, przed samą północą, Gilbert i Mars powrócili do Castle-House. Ileż trudności przyszło im pokonać, zanim się wydobyli z Czarnej Przystani! W chwili, gdy opuszczali blokhauz, noc zaczęła się rozpościerać nad doliną Saint-Johnu. Pod drzewami laguny panowały zupełne ciemności. Gdyby nie rodzaj instynktu, jakim się kierował Mars pomiędzy przesmykami, pośród wysepek, zlewających się z ciemnościami nocy, napewno nie dosięgliby rzeki. Ich czołno musiało się zatrzymać kilkanaście razy przed zaporą, której nie zdołało przebyć, i znów się cofać, ażeby dotrzeć do jakiego przystępnego kanału. Trzeba było zapalić smolne gałęzie i umieścić je na przodzie czołna, żeby jako tako oświetlić drogę. Największe trudności napotkali, gdy Mars starał się odnaleźć ujście, którem wody wpływały do Saint-Johnu. Metys nie mógł trafić do otworu, zrobionego

w zaroślach z trzciny przez który obydwaj przedostali się przed kilku godzinami. Na szczęście, następował odpływ, czółno mogło zatem iść z prądem, dążącym do swego naturalnego upustu. W trzy godziny później, przebywszy 20 mil, oddzielających Czarną Przystań od plantacji, Gilbert i Mars wylądowali w Camdless-Bayu.

Oczekiвано ich w Castle-House. Domowi nie rozeszli się jeszcze do swoich sypialni, niepokoiło ich bowiem to opóźnienie Gilberta i Marsa, którzy mieli zwyczaj powracać wczesnym wieczorem. Dlaczego ich nie widać? zapytywali jedni drugich. Co ztąd należy wnioskować? Czyżby znaleźli nowy ślad i poszukiwania ich odniosły skutek? Ileż obawy było w tem oczekiwaniu!

Nakoniec przybyli. Gdy kroki ich posłyszano, wszyscy wybiegli na powitanie.

— No cóż... Gilbertcie? — wykrzyknął James Burbank.

— Alicja nie omyliła się, ojczel!...—odpowiedział młody oficer.—To Texar porwał Dy i Zerme.

— Masz dowody?

— Przeczytaj to, ojczel—rzekł Gilbert, podając świstek papieru, na którym metyska napisała kilka słów.

— Tak, to hiszpan, nie można już wątpić. Ofiary swe zawiózł lub kazał zawieźć do starego fortu w Czarnej Przystani. Tam przebywał, tając się przed wszystkimi. Biedny niewolnik, któremu Zerma po-

wierzyła ten papier, i od którego pewno się dowiedziała, że Texar zamierza się udać na wyspę Carneval, przyplacił życiem chęć poświęcenia się dla niej. Znaleźliśmy go umierającego z rany, zadanej mu przez Texara; teraz już nie żyje. Wprawdzie Dy i Zermý nie ma już w Czarnej Przystani, ale przynajmniej wiemy, że je powieziono do Ewerglad, i że tam trzeba podążyć... Zaraz jutro, ojcze, zaraz jutro wyruszymy...

— Gotowiśmy, Gilbertcie.

— A więc jutro!

Nadzieja zawitała znowu do Castle-House. Już się nie będzie marnowało czasu na bezowocne poszukiwania! Pani Burbankowa odżyła, dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją. Znalazła dosyć siły, ażeby wstać z łóżka i na klęczkach podziękować Bogu.

A więc i Zerma stwierdziła, że Texar osobiście przewodniczył porwaniu dziecka w przystani Marino. Jego to widziała miss Alicja na statku, odpływającym na środek rzeki. Jednakże trudno było pogodzić ten fakt z *alibi*, na jakie powołał się hiszpan. Jakim sposobem mógł być uwięziony przez federalistów, w chwili, kiedy się dopuszczał tej zbrodni? To *alibi* musiało być zmyślane, tak samo, jak i dawniejsze. Ale jak się wziął do tego i czy owa tajemnica zostanie kiedykolwiek wyjaśnioną.

Zresztą, nie chodziło im już wiele o to, wiedzieli bowiem główną rzecz, mianowicie, że metyska i Dy zawieziona zostały najpierw do blokhauzu

w Czarnej Przystani, a potem na wyspę Carneval. Tam, należało ich szukać i tam zaskoczyć Texara. Tym razem nic go nie zdoła obronić od kary, na jaką od tak dawna zasłużył zbrodniczymi kłopotami.

Zresztą, nie było chwili do stracenia. Z Camdless-Bay do Ewerglad jest dość daleko. Droga wynosiła kilka dni. Szczęściem, jak powiedział James Burbank, wszystko było gotowe do wyprawy.

Co się tyczy wyspy Carneval, to na mapie półwyspu Florydy, wskazaną ona była na jeziorze Okee-cho-bee.

Te Ewerglady stanowią pas bagnistej ziemi, przylegającej do jeziora Okee-cho-bee, nieco poniżej 27-go stopnia szerokości geograficznej w południowej części Florydy. Od Jacksonville do tego Jeziora liczą około 400 mil. Dalej, znajduje się okolica mało uczęszczana, której podówczas prawie nie znano.

Gdyby Saint-John był żeglowny bez przerwy, aż do źródła, możnaby ową drogę przebyć szybko i bez wielkich trudności. Lecz było bardzo prawdopodobnem, że Saint-John będzie żeglownym tylko na przestrzeni 107 mil, to jest do jeziora Jerzego; dalej bowiem rzeka jest pełną drobnych wysepek, zatamowaną trawami, bez wytkniętego regularnie łożyska i niekiedy wysycha w czasie odpływu; wskutek czego statek z cięższym ładunkiem napotykałby poważne przeszkody, a przynajmniej posuwałby się powoli. Jednakże droga byłaby o wiele bliższa, gdyby

można dopłynąć aż do jeziora Waszyngton, prawie na wysokości 28-go stopnia szerokości geograficznej, w poprzek przylądka Malabar. Ale niepodobniostwem było na to rachować. Przeworność nakazywała przygotować się na podróż na przestrzeni 250 mil, pośród okolicy prawie pustej, gdzie nie będzie środków transportu i wogóle wszystkiego, co potrzebne do szybkiej przeprawy. James Burbank, robiąc przygotowania, brał w rachubę również i wypadki.

Nazajutrz, d. 20 marca, grono, mające się puścić w drogę, zebrało się w porcie Camdless-Bayu. James Burbank i Gilbert, niezupełnie wolni od obawy, uściskali panią Burbankową, która nie mogła jeszcze wychodzić ze swego pokoju. Miss Alicja, p. Stannard i oficjaliści towarzyszyli im. Nawet Pyg przyszedł pożegnać się z panem Perry, dla którego doznawał teraz pewnego uczucia, pomny na jego uwagi co do ujemnych stron wolności, do korzystania z której nie był jeszcze dosyć dojrzały.

Do wyprawy należeli: James Burbank, jego szwagier Edward Carrol, wyleczony z rany, Gilbert, rządca Perry, Mars i 12 murzynów, wybranych pomiędzy najodważniejszymi i najwierniejszymi z całej plantacji. Razem osób 17. Mars dostatecznie był obeznany z rzeką Saint-John, ażeby służyć za sternika, dopóki żegluga będzie możliwą, tak z tej, jak z tamtej strony jeziora Jerzego. Co do murzynów, ci, nawykli do wiosłowania, mieli wprawiać w ruch swe krzepkie ramiona w razie zbyt słabego prądu lub przeciwnego wiatru.

Statek, jeden z największych w Camdless-Bay, mógł dowoli zwinąć żagiel, który ułatwiał mu, w razie pomyślnego wiatru, przemykanie się przez zakręty kanału. Był on zaopatrzony w dostateczną ilość broni i amunicji, tak, że James Burbank i jego towarzysze nie potrzebowali się lękać band seminolów, oraz popleczników Texara. Istotnie należało przewidywać wszystko, co mogło stanąć na przeszkodzie wyprawie.

Nastąpiła wreszcie chwila pożegnania. Gilbert ucałował miss Alicję i James Burbank uściskał ją również, jak gdyby już była jego córką.

— Ojczy... Gilbertcie... — rzekła — przywieźcie małą Dy!... Przywieźcie tę moją siostrzyczkę...

— Dobrze, droga Alicjo! — odpowiedział młody oficer — dobrze!... Przywieziemy ją przy pomocy boskiej.

P. Stannard, miss Alicja, oficjaliści i Pyg zostali w porcie Camdless-Bay, podczas gdy odwiązywano statek. Wszyscy przesłali mu ostatnie pożegnanie w chwili, kiedy, porwany wiatrem północno-wschodnim, dzięki przyływowi, szybko zniknął za przystanią Marino. Było wtedy około szóstej rano. W godzinę potem statek wymijał wioskę Mandaryna, o dziesiątej zaś, bez pomocy wiosł, dotarł do wysokości Czarnej Przystani.

Serce im biło, gdy mijali lewy brzeg rzeki, poza który sięgały wody w czasie przyływu; tam, poza temi zaroślami z trzcini, Dy i Zerma były naj-

pierw więzione. Tam, od dwóch tygodni przeszło, Texar i jego wspólnicy ukrywali je tak głęboko, że nie pozostawało żadnego śladu.

James Burbank z Stannardem, a później Gilbert i Mars, dziesięć razy płynęli rzeką na wysokości tej laguny, nie domyślając się, że stary blokhaus służy za schronienie ofiarom.

Ponieważ nie mieli powodu do zatrzymywania się w tem miejscu i pilno im było rozpocząć poszukiwania o kilkaset mil dalej, w kierunku południowym, statek ominął Czarną Przystań.

Do pierwszego posiłku zasiedli wszyscy razem.

Byli oni zaopatrzeni w żywność na dwadzieścia dni, w beczki do przewożenia produktów spożywczych, gdy im wypadnie puścić się lądem, oraz niektóre przedmioty do obozowania podczas wypoczynków dziennych lub nocnych w gęstych lasach, jakimi są pokryte nadbrzeżne terytorja Saint-Johnu.

Okolo jedenastej, chociaż morze odpłynęło, pomyslny wiatr nie przestał dąć; mimo to należało uciec się do wiosel, ażeby nie zwolnić biegu. Statek, party krzepkimi rękami murzynów, posuwał się szybko w górę rzeki.

Mars stał, milczący, u steru i pewną ręką manewrował pośród wytworzonych przez wyspy i wysepki odnóg na środku Saint-Johnu. Trzymał on się przesmyków, w których prąd był mniej gwałtowny. Nigdy się nie omylił co do żeglowności odnogi i nie narażał statku na to, aby osiadł na mieliźnie, gdy

wody odpłyną. Aż do jeziora Jerzego znał równie dobrze to koryto, jak zakręty poniżej Jacksonvillu i tak bezpiecznie sterował statkiem, jak kanonierkami komendanta Stevensa.

Saint-John był opuszczony w tej części swego biegu. Zwykły ruch przewozowy ustał od czasu wzięcia Jacksonvillu. Jeśli jaki statek płynął w górę lub w dół rzeki, to transportował on wojska federalne, albo służył za środek komunikacyjny pomiędzy komendantem i jego podwładnymi. Powyżej Picolata, prawdopodobnie i ten ruch miał całkiem ustać.

James Burbank dotarł do tej miejsciny około szóstej wieczorem. Oddział północnych zajmował tę miejscowość.

Gilbert Burbank przypomniał się oficerowi, dowodzącemu oddziałem; przedstawivszy kartkę komendanta Stevensa, mógł podążać dalej.

Ów przystanek trwał tylko kilka chwil. Ponieważ zaczynał się przypływ, statek rażno mknął pomiędzy głębokimi lasami, które się ciągnęły z obu stron rzeki. Na lewym wybrzeżu, za bagnem, zaczynał się las, o kilka mil powyżej Picolata. Lasy dokoła były gęste i głębokie. Podróźni minęli jezioro Jerzego, nie ujrawszy ich końca.

Trochę po szóstej, James Burbank i jego towarzysze stracili z oczu, po za zakrętem rzeki, czerwona wieżę starego fortu hiszpańskiego, który, opuszczony od wieków, góruje nad wysokimi wierzchołkami wielkich nadbrzeżnych drzew palmowych.

— Marsie — zapytał wtedy James Burbank — czy nie boisz się puścić nocą na Sains-John?

— Nie, panie Jamesie — odpowiedział Mars. — Do jeziora Jerzego ręczę za siebie; co będzie dalej, to zobaczymy. Zresztą, nie mamy godziny do stracenia i kiedy sprzyja przyływ, korzystajmy zeń. Im dalej będziemy się posuwali, tem przyływ stanie się słabszy i mniejszy, dlatego też, mojem zdaniem, powinniśmy płynąć dzień i noc.

Mars odezwał się z tą propozycją po rozważeniu okoliczności. Kiedy się podejmował przepłynąć, należało zaufać jego zręczności. Nie pożalowano tego, statek z łatwością płynął całą noc w górę Saint-Johnu. Przyływ dopomagał im jeszcze kilka godzin; a i murzyni, luzując się, pchnęli łódź o jakie 15 mil dalej ku południowi.

Nie zatrzymywano się ani tej nocy, ani w ciągu dnia 22-go, który się nie upamiętnił żadną przygodą, ani też przez 12 następnych godzin. Górna część rzeki zdawała się zupełnie opuszczoną. Żeglowało się, rzec można, pośród długiego lasu starych cedrów, których gałęzie splatały się niekiedy z sobą ponad wodą, tworząc gęste sklepienie z zieleni. Wiossek wcale nie było widać, plantacyj lub pojedynczych siedzib również. Nadbrzeżne grunta nie nadawały się do żadnego rodzaju uprawy. Koloniście nie przyszłoby na myśl urządzić tam gospodarstwa rolnego.

Po kilku dniach podróży, wraz z pierwszym brza-
skiem dnia, rzeka rozlała się szeroko i brzegi jej

wydobyły się nareszcie z lasu bez końca. Okolica, bardzo płaska, sięgała aż do krańca widnokregu, oddalonego o kilka mil.

Było to jezioro—jezioro Jerzego, które Saint-John przerzyna z południa ku północy i od którego zapożycza część swych wód.

— Tak, to jezioro Jerzego, które zwiedziłem już, towarzysząc wyprawie, która otrzymała polecenie zajęcia górnego biegu rzeki—powiedział Mars.

— A jak daleko jesteście teraz od Camdless-Bay?—zapytał James Burbank.

— O jakie sto mil—odrzekł Mars.

— To nie stanowi nawet trzeciej części drogi, jaka nam pozostaje do Ewerglad—zauważył Edward Carrol.

— Marsie — zapytał Gilbert — jakże postąpimy teraz? Czy, wysiadłszy ze statku, będziemy szli jednym z wybrzeży Saint-Johnu? Kosztowałoby to wiele trudu i opóźniłoby nas. Czyby zatem nie można, przepłynąwszy jezioro Jerzego, posuwać się dalej tą wodną drogą aż do miejsca, gdzie przestanie być żeglowną? Czy nie można spróbować, choćby przyszło wysiąść na ląd, jeśli się to nie uda i jeżeli nie będziemy mogli puścić się znowu na wodę? Warto przynajmniej spróbować... Jak myślisz?

— Spróbujmy, panie Gilbercie — odpowiedział Mars.

Rzeczywiście, nie było innego punktu wyjścia.

Zawsze możnaby wylądować; a podróżując wodą, oszczędzało się dużo trudów i mitręgi.

Statek wpłynął więc na powierzchnię jeziora Jerzego, trzymając się wschodniego brzegu.

Dokoła jeziora, na tych płaskich gruntach, roślinność jest rzadsza, niż nad brzegami rzeki. Rozległe bagniska ciągną się, jak okiem sięgnąć. Niektóre przestrzenie ziemi, mniej wystawione na zalew wód, rozścielają kobierce z czarnych mchów, od których odbijają fioletowe cienie drobnych grzybów, rosnących tam miliardami. Należy stronić od tych ruchomych gruntów, trzęsawisk, na których noga nie może się oprzeć bezpiecznie.

Gdyby James Burbank i jego towarzysze musieli wędrować pieszo po tej części terytorjum Florydy, kosztowałyby ich to wiele wysiłków, mozołów, straconego czasu i w końcu wypadłoby się nawet może cofnąć. Tylko ptaki wodne, po większej części pletwonogi, mogą przebiegać bagna. Gdyby zbrakło żywności na statku, byłoby tu łatwo zaopatrzyć się w cyranki, kaczkę, krzyki. Zresztą, chcąc polować na tych wybrzeżach, trzeba by stawić czoło całemu legionowi węzów bardzo niebezpiecznych, których ostrzyk dawał się słyszeć na powierzchni kobierców zieleni i błota... Mówiąc nawiasem, gady te napotykają zaciętych nieprzyjaciół w gromadach białych pelikanów, należycie uzbrojonych do tej zabójczej wojny.

Statek posuwał się szybko. Ostry wiatr północny parł go w dobrym kierunku. Wskutek tego

wiosła mogły wypoczywać cały dzień. Do wieczora przebyto bez znużenia trzydziestomilową przestrzeń, jaką zajmuje jezioro Jerzego od północy ku południowi. Około szóstej, James Burbank i grono jego towarzyszy stanęli u dolnego kąta, którym Saint-John wpada do jeziora.

Zatrzymano się tam i to najwyżej na pół godziny dla powzięcia wiadomości; w tem miejscu garstka domostw stanowiła wioskę. Były one zamieszkałe przez tych florydczyków nomadów, którzy specjalnie oddają się polowaniu i połowowi ryb na początku wiosny. Na propozycję Edwarda Carrola postanowiono zażądać tam wskazówek, dotyczących się przejazdu Texara, i pomysł ten okazał się najlepszym w skutkach.

Zapytano jednego z mieszkańców wioseczki, czy nie widział w ciągu kilku ostatnich dni statku, który płynął po jeziorze Jerzego, w stronę jeziora Waszyngton i czy na tym statku, który wiozł zapewne siedem albo osiem osób, nie znajdowała się murzynka i dziecko, dziewczynka biała.

— Rzeczywiście — odpowiedział ów człowiek — przed czterdziestu ośmiu godzinami widziałem statek; jest to zapewne ten sam, o jakim mówicie.

— Czy zatrzymał się w tej wsi? — zapytał Gilbert.

— Niel owszem, spieszył w górę rzeki. Widziałem wyraźnie na pokładzie kobietę z dzieckiem na ręku — dodał zapytywany.

— Miejmy nadzieję, moi przyjaciele, trafiliśmy na ślad!

— Tak! — odpowiedział James Burbank — wyprzedził nas tylko o 48 godzin i jeśli nasz statek posłuży nam dobrze parę dni, dogonimy go!

— Czy znasz Saint-John powyżej jeziora Jerzego?—zapytał Edward Carrol mieszkańca osady.

— Znam... i nawet płynąłem nim w górę na przestrzeni przeszło stu mil.

— Czy sądzisz, że byłby żeglowny dla takiego statku, jak nasz?

— Ile wasz statek bierze wody?

— Około trzech stóp — odpowiedział Mars.

— Trzy stopy? W niektórych miejscach będzie trochę płytko; jednak, gruntując przesmyki, zdaje mi się, że dotrzecie państwo do jeziora Waszyngton.

— A jak daleko będzie ztamtąd do jeziora Ochee-cho-bee?—zapytał p. Carrol.

— O, jakie stopięćdziesiąt mil.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu. Siadajmy i płynmy, dopóki nie zbraknie wody — zawołał Gilbert.

Wszyscy powrócili na miejsca. Ponieważ wiatr uciszył się wieczorem, wiosła zostały wprawione w ruch i energicznie wzięto się do sterowania. Zacieśnione brzegi rzeki znikły szybko: zanim noc zupełnie zapadła, posunięto się o kilka mil ku południowi. Nie pomyślano o przystanku, ponieważ można było odbyć nocleg na pokładzie. Księżyc był prawie w pełni; spodziewano się widnej nocy, Gilbert umie-

ścił się u steru. Mars stał na przedzie z długą żerdzią w rękę. Gruntował on ciągle, a gdy natrafił na dno, starał się prowadzić statek głębszą wodą, tak, że dotknięto dna zaledwie parę razy w ciągu tej nocnej przeprawy. Wogóle statek płynął naprzód bez wysiłku. Gdy nastąpił ranek, Gilbert obliczył, że się posunął przez noc o 15 mil. Jakież szanse powodzenia mieli James Burbank i jego towarzysze, gdyby rzeka, ciągle żeglowna, mogła ich doprowadzić niemal do samego celu!

Ale w ciągu dnia napotkali kilka przeszkód. Wskutek krętego koryta rzeki, wytwarzają się tam często mielizny. Nagromadzony piasek tworzy przeszkody, które wypada omijać. Przysparza to drogi, a tem samem powoduje pewne opóźnienie. Nie można też było wyzyskać wiatru ze względu na ciągle zakręty drogi. Murzyni zginali się tedy nad wiosłami, pracując tak usilnie, że udawało się im odzyskać tracony czas.

Zdarzały się i inne przeszkody i na Saint-Johnie. Były to pływające wyspy, utworzone przez ogromne nagromadzenie bujnej roślinności. Ten kobierzec z ziół jest tak twardy, że ptactwo wodne obiera tu sobie siedliska i miejsce zabaw.

Należało unikać tych mas roślinnych, z pomiędzy których byłoby się trudno wydobyć. Gdy je dostrzeżono, Mars usiłował oddalać się od nich.

Brzegi rzeki porośnięte były gęstemi lasami. Już nie widziano niezliczonych cedrów, których sto-

py wilży Saint-John w górnym biegu. Tutaj rośnie mnóstwo sosen, wysokich na 150 stóp, należących do gatunku sosny północnej; sosny znajdują pomyślne warunki pośród tych gruntów wilgotnych.

Ziemia jest tu bardzo elastyczną, tak dalece, że, chodząc po jej powierzchni, można stracić równowagę. Szczęściem, gromadka Jamesa Burbanka nie potrzebowała wystawiać się na podobną próbę. Saint-John wciąż dźwigał ją na swym wodnym grzbiecie i niósł w kierunku dolnej Florydy.

Dzień minął bez przygód; noc również. Rzeka ciągle była opuszczona. Na jej wodach nie spostrzegano ani jednego statku; na wybrzeżach ani jednej chaty. Okoliczność ta była, zresztą, pożądaną. Lepiej było nie spotykać nikogo w tych dalekich okolicach, gdzie spotkania mogą być niebezpieczne, albowiem włóczęgi leśne, myśliwi z zawodu, awanturnicy z rozmaitych stron, są ludźmi więcej, niż podejrzanymi.

Należało się także obawiać obecności milicji z Jacksonvillu albo z miasta św. Augustyna, które Dupont i Stevens zmusili cofać się ku południowi. Ta ewentualność byłaby jeszcze groźniejsza. W tych oddziałach z pewnością znajdowałiby się stronnicy Texara, którzy chcieliby się niewątpliwie zemścić na Jamesie Burbanku i na Gilbercie. Gromadce zaś najszybciej wypadało unikać wszelkiego starcia, prócz wypadku, gdyby hiszpanowi mieli siłę odebrać branki.

Na szczęście, okoliczności tak dalece sprzyjały Burbankom, że d. 25-go wieczorem, przebyli przestrzeń pomiędzy jeziorem Jerzego a jeziorem Waszyngton. Statek, dotarłszy do skraju tych wód stojących, musiał się zatrzymać; nie mógł płynąć dalej ku południowi z powodu, iż rzeka była wąska i płytka.

Przebywszy już dwie trzecie drogi, gromadka Jamesa Burbanka znajdowała się teraz o 140 mil od Ewerglad.

IX.

Jeziro Waszyngton, długie na jakie 10 mil, jest jednym z najmniej godnych uwagi w tej okolicy Florydy południowej. Jego płytkie wody pełne są traw, które prąd odrywa od łąk i wysepek pływających; trawy te, to istne gniazda węzów. Ztąd żegluga po jeziorze przedstawia wiele niebezpieczeństw. Jezioro więc jest tak samo puste, jak jego wybrzeża, a statki z Saint - Johnu zapuszczają się tam nader rzadko.

Na południe jeziora, rzeka znów płynie dalej, dążąc w prostszym kierunku na południe półwyspu. Jest ona wtedy tylko płytkim strumieniem, którego źródła położone o 30 mil na południe, pomiędzy 28-ym a 27-ym stopniem szerokości geograficznej.

Saint-John przestaje być żeglowny poniżej jeziora Waszyngton. Jakkolwiek sprawiło to przykrość Jamesowi Burbankowi, musiał się jednak zrzec dal-

szej podróży wodą i wylądować w okolicy bardzo niedostępnej, najczęściej bagnistej, pokrytej lasami bez końca, których grunt, poprzerzynany dopływami i trzęsawiskami, stanowi pułapkę dla pieszych wędrowców.

Wylądowano. Broń i skrzynie z zapasami rozdzielone zostały pomiędzy murzynów. Nie mogło to ich nużyć ani krępować w pochodzie, a tem samem opóźniać go. Wszystko z góry było przewidziane. Gdyby wypadło zatrzymać się, obozowisko mogło być rozłożone w przeciągu kilku minut. Przedewszystkiem, Gilbert, przy pomocy Marsa, zajął się ukryciem statku. Chodziło o to, żeby go nie spostrzegli mieszkańcy Florydy, albo seminolowie, gdyby odwiedzili wybrzeża jeziora. Należało mieć pewność, że się go odnajdzie za powrotem, ażeby popłynąć w dół Saint-Johnu.

Pod spadającymi gałęziami drzew, pośród olbrzymich trzcin, z łatwością znaleźli miejsce dla statku, złożywszy pierwaj maszt. Statek tak głęboko ukryto pod gęstą zielenią, że niepodobna go było ujrzeć z wybrzeży.

Tak samo zapewne miała się rzecz z inną barką, o której wynalezienie Gilbertowi bardzo chodziło; z tą mianowicie, którą Dy i Zerma tu przypląnęły. Niezawodnie, z powodu niezeglowności wód, Texar musiał z niej wysiąść w okolicy, w której jezioro komunikuje się z rzeką. Jak Jamas Burbank musiał postąpić, tak też wypadło pewno i hiszpanowi.

Dlatego też, korzystając ze schyłku dnia, rozpoczęto pilne poszukiwania statku. Byłby on cenną wskazówką i dowodem, że Texar płynął rzeką aż do jeziora Waszyngton.

Poszukiwania nie odniosły skutku. Statku nie znaleziono, bądź że nie szukano dosyć daleko, bądź że hiszpan zniszczył go w przekonaniu, że mu już nie będzie potrzebny.

Jakże ta podróż musiała być uciążliwa pomiędzy jeziorem Waszyngton i Ewergładami, gdzie nie ma rzeki, dla oszczędzenia trudów kobiecie i dziecku. Wszyscy wyobrażali sobie Dy, niesioną przez mety-skę Zermę, która musiała podążać za mężczyznami, przywykłymi do podobnych pochodów przez okolice, najeżoną przeszkodami; Zermę, znoszącą obelgi, gwałtowne uniesienia, bicie, dla przyspieszenia kroków, usiłującą ustrzedz dziewczynkę od upadku, z zapomnieniem o sobie, Mars, wyobrażając sobie żonę, narażoną na tyle cierpień, bladł i powtarzał:

— Ja zabiję Texara!

Czemuż nie znajduje się jeszcze na wyspie Carneval wobec nędznika, którego niecne knowania przyczyniły tyle mąk rodzinie Burbanków i wydarły mu Zermę, jego ukochaną żonę.

Obozowisko urządzono na krańcu małego przylądka, wystającego z północnego kąta jeziora. Ostrożność nie pozwalała puszczać się nocą na nieznaną terytorjum, gdzie widnokrąg musiał być ograniczony. Dlatego też, po naradzie, umyślono dopiero o świcie

ruszyć w dalszą drogę. Zbyt łatwo było zabląkać się w tych gęstych lasach, żeby się chcieli ryzykować.

Noc przeszła spokojnie. O czwartej rano, w chwili, kiedy się zaczęła ukazywać zorza, wyruszone w pochód. Połowa gromadki wystarczała do transportowania pak z żywnością i przedmiotów, potrzebnych do obozowania. Murzyni mieli się luzować. Wszyscy, panowie i słudzy, uzbrojeni byli w karabiny Minie'go, które się nabija jedną kulą i czterema sztukami sarniego szrutu, oraz w rewolwery Colta, tak rozpowszechnione pomiędzy wojującymi od początku wojny. W tych warunkach można było śmiało stawiać opór przynajmniej sześćdziesięciu seminolom, a nawet w razie potrzeby zaatakować Texara, choćby mu towarzyszyła także liczba jego stronników.

Uznano za właściwe, dopóki się tylko da, trzymać się brzegu Saint - Johnu. Rzeka płynęła wtedy ku południowi, a tem samym w kierunku jeziora Ochee-cho-bee. Była to niejako nić, przeciągnięta przez długi labirynt lasów. Można było iść jej śladem, bez obawy zabląkania się. Gromadka naszych wędrowców puściła się więc wzdłuż jej brzegów.

Była to rzecz dosyć łatwa. Na prawym brzegu zarysowało się coś na kształt ścieżki, prawdziwa droga do holowania statków, która mogłaby służyć do pociągnięcia jakiego lekkiego czółna ku górnemu biegowi rzeki. Szli dosyć szybkim krokiem; Gilbert i Mars przodem, James Burabnk i Edward Carrol

w tyle, rządcza Perry pośród murzynów, którzy się luzowali co godzinę w noszeniu pak. Przed wyruszeniem w drogę, posilono się naprędce. O dwunastej miał nastąpić obiad, o szóstej wieczorem kolacja i rozłożenie obozu, jeśli, z powodu ciemności, nie będzie można iść dalej, lub też puścić się znów w drogę.

Najpierw należało obejść dokoła wschodni brzeg jeziora Waszyngton. Brzeg dosyć płaski i mający grunt prawie ruchomy. Wtedy lasy ukazały się znowu; ale nie były one tam ani tak gęste, ani tak rozległe, jak w dalszych miejscowościach. Zależało to od natury składających się na nie drzew.

W samej rzeczy, były tam tylko gęstwiny, wydających czerwoną farbę, twardych drzew amerykańskich, o drobnym liściu i żółtych gronach, których środek, brunatnej barwy, jest używany do farbiarstwa; były też wiązy meksykańskie, z białymi kiściami, właściwe do różnych użytków domowych i których cień podobno leczy z najuporczywszych katarów. Tu i owdzie rosły kępy drzew chinowych, które tam są tylko krzewami drzewiastemi, podczas gdy w Peruwji, ojczyźnie swojej, przedstawiają się one, jako wspaniałe drzewa. Nakoniec, nie znające umiejętnej uprawy, ukazają się rośliny o jaskrawych barwach: goryczki, amarille, asklepie, których delikatne kity służą do wyrabiania różnych tkanin. Tak krzewy, jak i kwiaty—według uwagi jednego z najbardziej kompetentnych badaczy Florydy — „żółte lub

białe w Europie, przybierają w Ameryce rozmaite odcienia czerwone, od purpurowego do blado-różowego“.

Nad wieczorem, gęstwiny znikły, ustępując miejsca wielkiemu gajowi cyprysowemu, który się ciągnie aż do Ewerglad.

Gromadka nasza uszła tego dnia około dwudziestu mil; Gilbert zapytał towarzyszków, czy nie są nadto znużeni.

— Gotowiśmy wyruszyć w drogę — odrzekł jeden z murzynów, w imieniu innych.

— Czy tylko nie zabłądzimy w nocy? — zauważył Edward Carrol.

— Nie grozi nam to niebezpieczeństwo, kiedy mamy się trzymać brzegu Saint-Johnu — odpowiedział Mars.

— Zresztą — dodał młody oficer — noc będzie wi-dna. Na niebie nie ma chmur; księżyc, który wszędzie o jedenastej, nie schowa się do rana. Prócz tego, gałęzie cyprysów są rzadkie, więc w tym gaju noc będzie mniej ciemna, aniżeli w innym lesie.

Ruszono w drogę. Nazajutrz rano, nasi wędrowcy, którzy część nocy byli w drodze, zatrzymali się na pierwszy posiłek u stóp jednego z tych olbrzymich cyprysów, jakich miljony znaleźć można w tej okolicy Florydy.

Kto nie oglądał tych cudów przyrody, ten nie może ich sobie wyobrazić. Wystaw sobie, czytelniku, zieleniejącą łąkę, wyniesioną na sto z górą stóp wysokości, którą podpierają słupy tak proste, jakby

utoczone, i po której chciałoby się chodzić. Pod tą łąką ziemia jest miękka i bagnista. Woda stoi tu bez ustanku, tuż roją się żaby, ropuchy, jaszczurki, skorpiony, pająki, żółwie, węże, ptaki wodne wszelakiego rodzaju. Wyżej, przesuwa się rodzaj will ze złocistymi skrzydłami, wiewiórki igrają wśród gałęzi i papugi napełniają las ogłuszającym wrzaskiem. Wogóle, jest to ciekawa okolica, lecz przykra do zwiedzania.

Należało przeto zbadać dobrze grunt, na który się miano zapuścić. Pieszy wędrowiec mógł tu ugrzęznąć po pachy w licznych trzęsawiskach, jednak dzięki ostrożności i światłu księżycy, które się przedostawało przez liście, obeszło się bez wypadku.

Rzeka ułatwiała trzymanie się dobrego kierunku; była to bardzo szczęśliwa okoliczność, bo wszystkie cyprysy podobne są do siebie; wszystkie mają pnie skręcone, wykrzywione, koszlawe, wydrażone u podstawy, rzucające długie korzenie, od których ziemia staje się garbata, i wznoszące się do wysokości 20 stóp w kształcie walcowatych słupów. Są to istne kije od parasoli, z chropowatą rękonością, których prosta łodyga podtrzymuje ogromną zieloną parasolkę, co prawda nie chroniącą ani od deszczu ani od słońca.

Pod osłoną tych to drzew James Burbank i jego towarzysze zapuścili się niedługo po wschodzie słońca. Pogoda była przepyszna. Burza wcale nie groziła, a zrobiłaby ona z ziemi bagno nie do prze-

bycia. Jednakże, należało wybierać lepsze drogi, ażeby nie wpaść w niewysychające nigdy błota. Na szczęście, wzdłuż Saint-Johnu, którego prawy brzeg znajduje się na pewnej wysokości, było mniej trudności. Oprócz łożysk strumieni, wpadających do rzeki, które należało omijać lub przebywać wplaw, prawie nic nie zmitreżyło czasu.

W ciągu tego dnia nie zauważono nic takiego, coby wskazywało obecność partji południowców albo seminolów, ani też nie natrafiono na ślad Texara i jego towarzyszy. Mógł on się puścić lewym brzegiem rzeki. Nie stanowiłoby to przeszkody, bo, tak jeden, jak i drugi brzeg, ciągnęły się prosto ku dolnej Florydzie, wskazanej w kartce Zermy.

Gdy wieczór nastał, James Burbank zatrzymał się parę godzin; poczem resztę nocy szli szybko. Pochód odbywał się w milczeniu, pośród cyprysów, we śnie pograżonych. Kopuły z liści nie poruszał najłżejszy wietrzyk. Przy księżycu, już do połowy zmniejszonym, widniały na ziemi cienie czarnej lekkiej sieci gałęzi, wydłużających się wskutek wysokości drzew. Rzeka wydawała bardzo słaby szmer. Mnóstwo mielizn wyłaniało się z jej powierzchni i, w razie potrzeby, możnaby ją przebyć z łatwością.

Nazajutrz, po dwugodzinnym przystanku, nasza gromadka udała się tym samym, co poprzednio, porządkiem, w kierunku południowym. Ale w owym dniu nic przewodnia, której się dotąd trzymano, miała się zerwać, albo raczej miało jej zbraknąć na kłęb-

ku. W samej rzeczy, Saint-John zredukowany już do przejrzystej strugi, znikł pod kępą drzew chinowych, pijących jego wody u źródła. W dali gaj cyprysowy zasłaniał widnokrąg.

W tem miejscu ukazał się cmentarz murzynów ochrzczonych, którzy i po śmierci zostali wiernymi wierze katolickiej. Tu i owdzie, skromne krzyże kamienne lub drewniane, zatknięte na wzgórkach, oznaczały miejsce grobów pomiędzy drzewami. Dwa czy trzy groby napowietrze, podpierane gałęziami, utkwionemi w ziemi, kołysały na wietrze jakiegoś trupa, który już był szkieletem.

— Istnienie cmentarza w tem miejscu mogłoby dowodzić bliskości jakiej wioski lub osady — zauważył Edward Carrol.

— Która zapewne już dziś nie istnieje—odpowiedział Gilbert—kiedy nie ma jej śladu na naszych mapach. Te znikania wsi są aż nazbyt częste w dolnej Florydzie, bądź, że ją opuścili mieszkańcy, bądź, że zostały spustoszone przez indjan.

— Gilbertcie—rzekł James Burbank—jakże sobie radzić będziemy teraz, kiedy nie nadaje już nam kierunku Saint-John?

— Busola będzie naszą kierowniczką, mój ojcie—odpowiedział młody oficer—choćby las był jaknajrozleglejszy i jaknajgęstszy, nie możemy zabłądzić!

— A więc w drogę, panie Gilbertcie!—wykrzyknął Mars, który się nie mógł utrzymać na miejscu podczas tych przystanków.—W drogę i z Bogiem!

O pół mili za cmentarzem murzyńskim, gromadka nasza weszła pod sklepienie z zieleni i, przy pomocy busoli, prawie niezwłocznie spuściła się ku południowi.

W czasie pierwszej części dnia nie zdarzyła się żadna przygoda. Do owego czasu nic nie stało im na przeszkodzie. Ale czy tak będzie dalej? Czy cel zostanie osiągnięty, czy też rodzina Burbanków skazaną zostanie na rozpacz? Nie odnaleźć dziewczki i Zermy, wiedzieć, że są narażone na wszelkie przykrości, wystawione na wszystkie zniewagi i nie módz ich wyzwolić, byłoby to męczarnią.

Około południa zatrzymano się. Gilbert, obliczywszy, ile drogi uszli od jeziora Waszyngton, miarkował, że się znajdują o 50 mil odległości odeń. Osiem dni upłynęło od wyjazdu z Camdless - Bay i więcej niż 300 mil zrobiono z wyjątkową szybkością. Prawda, że najpierw rzeka, prawie do swego źródła, a potem gaj cyprysowy, nie nasunęły poważnych przeszkód. Ponieważ nie było tych ulewnych deszczów, któreby mogły uniemożliwić żeglugę po Saint-Johnie i rozmiękczyć grunt poza jego brzegami, w te piękne noce, oblane pysznym blaskiem księżycy, wszystko sprzyjało i podróży i wędrowcom.

Teraz, oddzielała ich od wyspy Carneval przestrzeń względnie mała. Mieli nadzieję, że po tych ośmiu dniach nieustających wysiłków dotrą na koniec do celu przed upływem czterdziestu ośmiu godzin; a wtedy nastąpi rozwiązanie, którego przewidzieć z góry było niepodobieństwem.

Ale, jakkolwiek dotąd szczęście sprzyjało Jamesowi Burbankowi i jego towarzyszą, w drugiej połowie tego dnia mieli powody lękać się przeszkód nie do przewyciężenia.

Posiliwszy się w południe, ruszyli dalej w zwykłych warunkach. Nie było widać nic nowego; napotykali tylko duże bagniska do omijania i strumyki, przez które, brodząc, mieli wody po kostkę. Słowem, te niewielkie zawady prawie nie przysparzały drogi.

Jednakże około czwartej nad wieczorem Mars zatrzymał się nagle; a gdy go towarzysze dogonili, pokazał im ślady kroków, wyciśniętych na ziemi.

— Nie można wątpić, że niedawno przeszła tu gromada ludzi—odezwał się James Burbank.

— I to liczna gromada—dorzucił Edward Carroll.

— Zanim coś postanowimy, należy zbadać, z której strony wyszły te kroki i w którą zmierzały—powiedział Gilbert.

Wzięto się pilnie do dzieła.

Na przestrzeni pięciuset jardów ku wschodowi można było śledzić te odciski kroków, ciągnące się i dalej; ale dłuższe podążanie za temi śladami zdawało się zbyt ciężkie. Kierunek ich dostatecznie wskazywał, że gromada, złożona ze 150 do 200 ludzi, opuściwszy wybrzeże Atlantyku, przeszła niedawno przez tę część gaju cyprysowego. W zachodniej stronie ślady zmierzały wciąż ku zatoce meksykańskiej, na poprzek półwyspu Florydy, który w tej szerokości

geograficznej nie wynosi 200,000 mil szerokości. Można było również zauważyć, że ten oddział, zanim się puścił dalej w tym kierunku, wypoczął właśnie w tem samym miejscu, gdzie się obecnie znajdował James Burbank z gronem swoich towarzyszków.

Gilbert i Mars, zaleciwszy innym gotowość na każde zawołanie, szli ćwierć mili lewą stroną lasu, gdzie zauważyli, że ślady kroków ciągną się wyraźnie ku południowi.

Gdy powrócili obaj do obozowiska, Gilbert rzekł:
— Wyprzedza nas gromada ludzi, idących tą samą drogą, co my, od jeziora Waszyngton. Są to ludzie uzbrojeni, ponieważ znaleźliśmy kawałki nabo-
jów, któremi rozpalali ogniska, jak o tem świadczą zagasłe węgle. Co to za ludzie, nie wiem, ale to pe-
wna, że ich jest wielu i że zmierzają ku Ewergladom.

— Czy to nie gromada koczujących seminolów?
— zapytał Edward Carrol.

— Nie — odpowiedział Mars — ślad kroków wy-
raźnie wskazuje, że ci ludzie są amerykańkami...

— Może to żołnierze z milicji florydzkiej? —
odezwał się James Burbank.

— Należy się tego obawiać — odrzekł Perry. —
Ich liczba zdaje się zbyt wielka, żeby należeli do
bandy Texara...

— Chyba, że się z nim połączyli jego stronni-
cy — powiedział Edward Carrol. — W takim razie mo-
głoby ich być kilkuset.

— Przeciwno siedemnastu!—odrzekł rządzca.

— Mniejsza o to!—zawołał Gilbert.— Jeśli nas zaczepią, albo jeżeli nam wypadnie ich zaatakować, to ani jeden z nas nie cofnie się!

— Niel... Niel... — wykrzyknęli odważni towarzysze młodego oficera.

Był to zapal bardzo naturalny, bez wątpienia, jednakże, po namyśle, musiano przyznać, że podobna ewentualność byłaby szkodliwą w skutkach.

Jakkolwiek ta myśl nasunęła się pewno wszystkim, nikt nie stracił odwagi. Ale tak blisko celu napotkać przeszkodę! I jaką przeszkodę! Oddział południowców, może stronników Texara, którzy zamierzają wynaleźć hiszpana w Ewergładach, ażeby tam razem czekać chwili ukazania się znowu na północy Florydy!

Tak! Tego to należało się lękać. Wszyscy to czuli. Dlatego też, po pierwszym porywie zapalu, wszyscy byli milczący, zamyśleni, wpatrywali się w swego młodego przywódcę, zaciekawieni, jaki im rozkaz wyda.

Gilbert także uległ ogólnemu wrażeniu, lecz, podnosząc głowę, rzekł:

— Naprzód!

Tak! Należało iść naprzód. Jednakże, ze względu na groźne ewentualności, trzeba się było zachować jaknajostrożniej. Konieczność nakazywała oświetlać drogę, badać gęstwiny gaju, być przygotowanym na wszelki wypadek.

Obejrzano więc starannie broń i przygotowano ją tak, ażeby na dane hasło mogła być użyta. Co się tyczy porządku, w jakim miała postępować nasza gromadka, ten pozostał niezmieniony. Gilbert i Mars mieli stanowić przednią straż w większym oddaleniu, ażeby zapobiedz niespodzianemu zaskoczeniu. Każdy był gotów spełnić swój obowiązek, chociaż tym znacnym ludziom ścisłało się widocznie serce, odkąd stawała zaporą pomiędzy nimi a celem, do jakiego dążyli.

Nie zwolnili kroku. Jednakże wydało im się roztropniej nie iść za widocznymi wciąż śladami.

Lepiej było nie napotkać oddziału, idącego w kierunku Ewerglad. Na nieszczęście wkrótce przekonali się, że to przyjdzie z pewną trudnością. W samej rzeczy, ten oddział nie szedł w prostej linii. Były ślady kroków na lewo i na prawo, co oznaczało pewną chwiejność, jednakże ogólny ich kierunek szedł ku południowi.

Jeszcze jeden dzień minął. Żadne spotkanie nie zmusiło Jamesa Burbanka do zatrzymania się. Szedł sporym krokiem i widocznie wyprzedził gromadę, bląkająca się po gaju. Znać to było z mnogich śladów, które co godzina pokazywały się świeższe na tym gruncie, cokolwiek wilgotnym. Z wielką łatwością poznawali ilość przystanków, a wtedy ślady nóg krzyżowały się, wskazując, że się krzątano tu i owdzie, bądź gdy się zatrzymano na chwilę, zapewne dla narady, jaką obrać drogę.

Gilbert i Mars wciąż przyglądali się tym śladom z niezmierną uwagą. Ponieważ mogły ich objaśnić co do wielu rzeczy, obserwowali je tak bacznie, jak seminolowie, biegli w badaniu najmniejszych wskazówek na gruntach, jakie przebiegają w czasie polowania lub wojny.

Po takim to gruntownem badaniu, Gilbert rzekł do ojca:

— Mamy teraz pewność, że ani Zerma ani Dy nie należą do gromady, idącej przed nami, ponieważ nie ma śladu konia na ziemi. Gdyby Zerma znajdowała się tam, musiałaby iść pieszo, niosąc Dy na rę-

kach i możnaby łatwo rozpoznać jej kroki, zarówno jak i Dy na przystankach. Ale nie ma ani jednego śladu, ażeby tędy szła kobieta lub dziecko. Co się tyczy tego oddziału, bez wątpienia jest on zaopatrzony w broń palną. W wielu miejscach widać uderzenie kolby o ziemię. Zauważyłem nawet, że te kolby muszą być podobne do kolb strzelb marynarskich.

Prawdopodobnie zatem milicje florydzkie miały do rozporządzenia broń tego kształtu, bo inaczej byłoby to nie do wytłómaczenia. Prócz tego, jest to, niestety, aż nadto pewne, że ta gromada jest, co najmniej, dziesięć razy liczniejsza od naszej; trzeba się więc zachować z tem większą ostrożnością, im bliżej będziemy!

Rozsądek nakazywał usłuchać zalecenia młodego oficera. Tak się też i stało. Co się tyczy wniosków, jakie wyprowadzał o ilości śladów i nóg, musiały one być trafne; że młodej Dy i Zarmy nie było w tym oddziale, to się zdawało pewne. A więc nie są na tropie hiszpana. Personel, pochodzący z Czarnej Przystani, nie może być tak liczny i tak dobrze uzbrojony. Zdawało się więc niewątpliwem, że jest to duży oddział milicij florydzkich, zmierzający ku południowym okolicom półwyspu, a tem samem do Ewergład, gdzie Texar musiał przybyć jeden lub dwa dni temu.

Słowem, owa gromada, w ten sposób złożona, była groźną dla towarzyszy Jamesa Burbanka.

Wieczorem zatrzymano się na krańcu wąskiej polanki. Musiała ona być zajęta przed kilku godzinami, jak to wskazywały tym razem stosy popiołu, zaledwie ostygłego, resztki ognisk, które były rozpalone w celu obozowania.

Postanowiono wtedy puścić się w pochód dopiero o zmierzchu. Noc zapowiadała się ciemna, niebo było pochmurne; księżyc, prawie w ostatniej kwadrze, miał wzejść bardzo późno. Wszystko to ułatwiało przybliżenie się do oddziału w lepszych warunkach. Może się okaże możliwem poznać go, nie będąc dostrzeżonym, obejść pod osłoną gęstych drzew, wyprzedzić go, żeby przed nim dotrzeć do jeziora Ochee-cho-bee oraz do wyspy Carneval.

Nasza gromadka, z Gilbertem i Marsem na czele wyruszywszy o g. 8¹/₂, w milczeniu zagłębiła się pod sklepienie z drzew, wśród dość głębokich ciemności. Około dwóch godzin wszyscy szli, przytłumiając odgłos swych kroków, żeby się nie zdradzić.

Nieco po dziesiątej James Burbank jednym słowem zatrzymał murzynów, którymi przewodniczył z Perrym. Jego syn i Mars spiesznie cofali się ku nim. Wszyscy nieruchomo czekali wyjaśnienia tego nagłego odwrotu. Objasnienie to nastąpiło niebawem.

— Co się stało, Gilberte?—zapytał James Burbank.—Coście spostrzegli z Marsem?

— Obozowisko, rozłożone pod drzewami, którego ogień są widzialne.

- Daleko ztąd?—zapytał Edward Carrol.
- O sto kroków.
- Czyście mogli rozpoznać tych ludzi?
- Nie, bo ogień zaczyna gasnąć — odpowiedział Gilbert.—Ale zdaje mi się, żeśmy ich dobrze obliczali na dwustu!
- Czy śpią, Gilbercie?
- Po większej części, ale mają straż. Sposztrzeżyliśmy kilka wart z bronią na ramieniu, które krążą pomiędzy cyprysami.
- Cóż poczniemy? — zapytał Edward Carrol, zwracając się do młodego oficera.
- Przedewszystkiem należy rozpoznać, o ile się da, co to może być za oddział, zanim spróbujemy go obejść.
- Jestem gotów pójść na rekonesans — rzekł Mars.
- Ja pójdę z tobą—dodał Perry.
- Nie, to ja pójdę—odezwał się Gilbert.—Sobie jednemu mogę zaufać w tym względzie...
- Gilbercie — rzekł James Burbank — każdy z nas pragnie narazić życie dla wspólnego dobra, ale, żeby móżdż dokonać rekonesansu, nie będąc spostrzeżonym, trzeba być samemu...
- Ja też pójdę sam.
- Nie, mój synu, proszę cię, żebyś został z nami. Mars wystarczy.
- Gotów jestem, panie!
- I Mars, nie pytając się o nic więcej, znikł w ciemnościach.

Jednocześnie, James Burbank i jego gromadka przysposabiali się do odparcia jakiegobądź napadu. Skrzynie ustawiono na ziemi, a ludzie, którzy je nieśli, schwycili za broń. Wszyscy z bronią w rękę skryli się za pnie cyprysów, w taki sposób, żeby się połączyć z sobą w chwili, gdy się to okaże potrzebnem.

Z miejsca, zajmowanego przez Jamesa Burbanka, nie można było dojrzeć obozowiska. Dopiero za zbliżeniem się o 50 kroków, niknące już ognie stawały się widzialne. Z tego powodu należało czekać powrotu metysa, zanimby powzięto postanowienie, odpowiednie do okoliczności.

Młody porucznik, bardzo zniecierpliwiony, odszedł o kilka jardów. Mars posuwał się tymczasem z niezmierną ostrożnością, po to tylko wynurzając się z poza jednego drzewa, żeby się schować za drugie. W ten sposób niepodobieństwem było go spostrzedz. Miał nadzieję dojść dosyć blisko, ażeby rozpoznać położenie miejscowości i liczbę ludzi, a na dewszytško do jakiego stronnictwa należą. Nie mógł tego dokonać bez trudności. Noc była ciemna, a ogniska nie dawały już światła. Ażeby osiągnąć skutek, wypadało zakraść się aż pod same obozowisko. Mars był dosyć odważny, ażeby to uczynić, i dosyć zręczny, ażeby podejść czujność wart.

Jednakże Mars pomykał coraz dalej. Nie wziął on z sobą ani karabinu ani rewolworu, należało bowiem unikać wystrzałów i bronić się w cichości.

Dzielny metys znalazł się niebawem bardzo blisko jednego z wartowników, stojącego na straży o 7 lub 8 jardów od obozowiska. Panowała tam głęboka cisza. Ci ludzie, widocznie znużeni długim pochodem, pozasypiali twardo. Tylko straże czuwały na posterunkach mniej lub więcej pilnie, o czem Mars przekonał się wkrótce.

Istotnie jeden z wartowników, któremu Mars przyglądał się bacznie od pewnej chwili, stał wprawdzie, ale widocznie sen brał nad nim górę. Jego karabin leżał na ziemi. Oparty o cyprys, zwiesił głowę i zdawał się usypiać.

— Możeby się można przemknąć poza nim i w ten sposób dotrzeć do krańca obozu?—pomyślał Mars.

Zbliżał się zwolna do szyldwacha; lecz naraz szelest suchej gałęzi, na którą nastąpił, zdradził jego obecność. Człowiek ów wyprostował się, podniósł głowę, wychylił się, spojrział na prawo i na lewo. Musiał dostrzedz coś podejrzanego, pochwycił bowiem za broń i wycelował.

Jednak, zanim zdążył dać ognia, Mars jednym skokiem był przy nim, wyrwał broń, wymierzoną ku swej piersi, i powalił wartownika o ziemię, przyłożywszy mu swą szeroką dłoń do ust, ażeby nie mógł krzyżeć.

Po chwili, nieznamy, z zakneblowanemi ustami, porwany w silne ramiona metysa, przeciw któremu daremnie się bronił, został poniesiony na polankę, gdzie się znajdował James Burbank.

Inne straże nic nie zauważyły, dowodząc tem niedbałego pełnienia służby. W kilka chwil potem, Mars przybył ze swoim ciężarem i złożył go u nóg młodego swego pana.

Gromadka murzynów obstąpiła Jamesa Burbanka, Gilberta, Edwarda Carrola i rządcę Perry. Nawpół uduszony, nieznajomy nie zdołałby przemówić, nawet bez knebla na ustach. Z powodu ciemności nie można było ani widzieć jego twarzy, ani poznać z ubioru, czy należy do milicji florydzkiej.

Mars odwiązał mu usta, poczem wypadało czekać z badaniem, aż odzyska przytomność.

Nakoniec zawołał: „Ratujcie!”

— Milcz! — rzekł James Burbank, hamując go. Nie masz się czego lękać z naszej strony!

— Czego chcecie odemnie?...

— Żebyś powiedział prawdę...

— Będzie to zależało od waszych zapytań — rzekł nieznajomy, odzyskawszy nieco pewności siebie. — Przedewszystkiem, chciałbym wiedzieć, czy trzymacie z Południem, czy z Północą?

— Z Północą.

— Jestem gotów odpowiadać!

Gilbert przystąpił do badania.

— Ilu jest ludzi w oddziale, który tam obozuje? — zapytał.

— Około dwustu.

— Dokąd idzie?

— Ku Ewergladom.

- Kto jest dowódcą?
- Kapitan Howick!
- Jakto, kapitan Howick, jeden z oficerów Wasbahn! — wykrzyknął Gilbert.
- On sam!
- Ten oddział składa się więc z murzynów eskadry komandora Dupont?
- Tak, z federalistów, z północnych, z przeciwników niewolnictwa, z unionistów! — odpowiedział jednym tchem nieznamy, z widoczną dumą wylizując te rozmaite miana, nadawane stronnictwu dobrej sprawy.

Tak więc, zamiast pułków milicji florydzkiej, które James Burbank i jego towarzysze mniemali mieć przed sobą, zamiast bandy stronników Texara, przybywali ich przyjaciele, towarzysze broni, tak w porę niosąc pomoc.

— Hurra! hurra! — zaczęli wydawać tak głośne okrzyki, że niebawem przebudził się cały obóz północnych.

Zabłyły w ciemności pochodnie, przyjaciele zešli się z sobą na polance, a zanim przystąpiono do wzajemnych objaśnień, kapitan Howick uściskał serdecznie rękę młodego porucznika, którego nie spodziewał się spotkać na drodze do Ewerglad.

Wyjaśnienia nie były ani długie, ani zawile.

— Czy możesz mi powiedzieć kapitanie, co was sprowadza do Dolnej Florydy? — zapytał Gilbert.

— Mój drogi Gilbercie — odrzekł kapitan Howick — należymy do wyprawy, zarządzanej przez komandora.

— Zkądże idziecie?

— Z Mosquito-Inlet. Przedewszystkiem udaliśmy się ztamąd do Nowej-Smyrny, wewnątrz hrabstwa!

— Jakiż cel waszej wyprawy?

— Ukarać bandę południowców, która wciągnęła dwie nasze szalupy w zasadzkę i pomścić śmierć jednego z naszych walecznych towarzyszków.

Kapitan Howick opowiedział następnie wypadki, o których nie mógł wiedzieć James Burbank, nastąpiły bowiem we dwa dni po wyjeździe z Camdless-Bay.

Czytelnik zapewne pamięta, że komandor Dupont zajęty był podówczas organizowaniem blokady na wybrzeżu. Z tej przyczyny jego flotylla krążyła po morzu od wyspy Anastazji, powyżej miasta św. Augustyna, aż do wniścia do kanału, oddzielającego wyspy Bahamskie od przylądka Sable, położonego na południowym krańcu Florydy. Uznając to jednak za niewystarczające, komandor postanowił ścigać statki południowców nawet na wewnętrznych wodach półwyspu.

W tym celu wyprawiony został oddział marynarzy na dwóch szalupach eskadry, pod wodzą dwu oficerów; pomimo małej swej liczebności, bez wahania zapuścili się w górę rzek, przecinających hrabstwo.

Otóż, bandy południowców czuwały nad temi działaniami federalistów. Pozwoliły one szalupom zapuścić się w tę dziką część Florydy, przewidując, że będzie to dla nich zgubne w skutkach; okolice te zajmowali indjanie i milicje. Szalupy zostały wciągnięte w zasadzkę nieopodal jeziora Kissimmee, o 80 mil na zachód od przylądka Malabaru. Zaatakowane przez partyzantów, straciły, oprócz wielu majtków, obudwu dowódców tej nieszczęsnej wyprawy.

Pozostali przy życiu tylko cudem uszli do Mosquito-Inlet. Komandor Dupont polecił natychmiast ścigać milicje, aby na nich pomścić chwilowe niepowodzenie federalistów.

Oddział, złożony ze stu marynarzy pod wodzą kapitana Howicka, wylądował nieopodal Mosquito-Inlet. Wkrótce dotarł on do miasteczka Nowej Smyrny, o kilka mil od wybrzeża. Kapitan Howick, zasięgnąwszy potrzebnych wiadomości, wyruszył w pochód ku południo-zachodowi. Rzeczywiście, prowadził on swój oddział ku Ewergladom, spodziewając się tam spotkać partję, której przypisywano zasadzkę w Kissimmee, i znajdował się już niedaleko kresu drogi.

O tem wszystkiem nie wiedzieli James Burbank i jego towarzysze w chwili spotkania się z kapitanem Howickiem.

Ten ostatni i porucznik naprędce zamienili z sobą pytania i odpowiedzi o wszystkim, co ich zajmowało w obecnej chwili i w najbliższej przyszłości.

— Przedewszystkiem—rzekł Gilbert—trzeba ci, kapitanie, wiedzieć, że i my także dążymy ku Ewergladom.

— I wy także? — odparł oficer, bardzo zadziwiony tą wiadomością.—Po cóż tam idziecie?

— W pogoń za łotrami, których chcemy ukarać tak samo, jak i wy będziecie karali swoich!

— Cóż to są za łotry?

— Zanim ci odpowiem, kapitanie, pozwól zapytać o coś—rzekł Gilbert. — Kiedyś pan wyszedł z Nowej Smyrny ze swoimi ludźmi?

— Przed tygodniem.

— I nie spotkaliście żadnej bandy południowców we wnętrzu hrabstwa?

— Żadnej, mój drogi Gilbercie — odpowiedział kapitan Howick—ale wiemy z dobrego źródła, że pewne oddziały milicyj schroniły się w Dolnej Florydzie.

— Kto jest przywódcą tego oddziału? Czy go znacie?

— Bardzo dobrze; a nawet dodam, że jeśli zdołamy ująć jego osobę, to pan Burbank tego nie pożałuje.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytał żywo James kapitana Howicka.

— To chcę powiedzieć, że tym wodzem jest właśnie ów hiszpan, uniewinniony świeżo przez sąd wojenny, w mieście św. Augustyna, dla braku dowodów co do sprawy Camdless-Bayu..

— Texar?... —

Wszyscy wykrzyknęli to imię, a z jakim dźwiękiem zadziwienia w głosie, łatwo sobie wyobrazić.

— Jako — zawołał Gilbert — więc Texar jest przywódcą tych partyzantów, za którymi podążasz, kapitanie?

— Tak! On to jest sprawcą zasadzki w Kissimmee, tej rzezi dokonanej przez kilkudziesięciu łotrów, jemu podobnych, którymi dowodzi osobiście. Jak nas objaśniono w Nowej Smyrnie, schronił się on w okolicach Ewergład.

— A jeśli wam się uda schwytać tego nędznika?... — zapytał Edward Carrol.

— Będzie na miejscu rozstrzelany. Jest to wyraźny rozkaz komandora i możecie być, panowie, pewni, że spełnimy go natychmiast!

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawiło to odkrycie na Jamesie Burbanku i jego towarzyszach. Pomoc kapitana Howicka znaczyła prawie pewne wyzwolenie Dy i Zermy, niezawodne ujęcie hiszpana i jego współników, równie jak i niechybne ukaranie tyłu zbrodni. Dlatego też marynarze oddziału federalnego ściskali się za ręce z murzynami, pochodzącymi z Camdless - Bay i w powietrzu rozlegały się głośnie: „hurra!“

Gilbert objaśnił wtedy kapitana Howicka, w jakim celu podążył ze swymi towarzyszami na południe Florydy. Szło im przedewszystkiem o wyzwolenie Zermy i dziewczynki, porwanych aż na wyspę

Carneval, jak to wskazała kartka metyski. Kapitan dowiedział się jednocześnie, że *alibi*, na jakie hiszpan powołał się przed sądem wojennym, nie powinno było obudzić zaufania, chociaż trudno zrozumieć, jakim sposobem zdołał je udowodnić. Teraz jednak, kiedy będzie musiał przyjąć na siebie odpowiedzialność za porwanie i rzeź w Kissimnee, zdawało się, że nie ujdzie już kary za tę podwójną zbrodnię.

James Burbank zagadnął niespodzianie kapitana Howicka:

— Czy mógłbyś mi powiedzieć, kapitanie, w jakiej dacie zdarzył się wypadek z szalupami federalistów?

— Owszem mogę, panie Burbank, nasi marynarze zostali wyrznięci d. 22-go marca.

— Niepodobna... Wszak d. 22-go marca Texar był jeszcze w Czarnej Przystani, z kąd się dopiero wybierał w drogę. Jakimże sposobem mógł wziąć udział w rzezi, która się odbyła o 200 mil dalej, w pobliżu jeziora Kissimnee?

— Co pan mówisz?...—wykrzyknął kapitan.

— Mówię, że Texar nie może być przywódcą tych południowców, którzy zaatakowali pańskie szalupy!

— Mylisz się pan—odrzekł kapitan Howick. — Ci marynarze, którzy pozostali przy życiu, widzieli hiszpana. Sam ich wypytywałem, znali oni dobrze Texara, którego mieli sposobność widywać w mieście św. Augustyna.

— To nie może być, kapitanie— odrzekł James Burbank. Kartka, napisana przez Zermę, dowodzi, że d. 22-go marca Texar był jeszcze w Czarnej Przystani.

Gilbert słuchał w milczeniu, rozumiał on, że ojciec musi mieć słuszość. Hiszpan nie mógł się znajdować w dniu rzezi w okolicach jeziora Kissimmee.

— Zresztą mniejsza o to — rzekł nakoniec. — W życiu tego człowieka są rzeczy tak zagadkowe, że nie będę nawet usiłował ich rozwikłać. D. 22-go marca był on jeszcze w Czarnej Przystani, jak Zerma utrzymuje. D. 22-go marca stał na czele partji florydzkiej o 200 mil ztamtąd, jak twierdzą pańscy marynarze, kapitanie. Mniejsza o to! Co pewna, to, że obecnie jest on w Ewergładach i że za 48 godzin możemy go mieć w swych rękach!

— Prawda, Gilbertcie— odpowiedział kapitan Howick — i czy rozstrzelamy tego nędznika za gwałt, czy za zasadzkę, zawsze mu się ta kara należy! W drogę!

Niemniej, fakt ten był całkiem niezrozumiały, zarówno jak tyle i innych w prywatnem życiu Texara. Znowu musiał mieć jakieś zagadkowe *alibi*. Mogło się zdawać, że hiszpan ma rzeczywiście moc rozdzwójania się.

Czy ta tajemnica się wyjaśni? Nie można było ręczyć za to. Bądźcobądź, należało schwytać Texara i o to szło zarówno marynarzom kapitana Howicka, jak i towarzyszym Jamesa Burbanka.



XI.

E w e r g l a d y .

Straszna to i zarazem wspaniała okolica — te Ewerglady. Położone w południowej części Florydy, ciągną się one aż do przylądka Sable, krańca półwyspu. Okolice, prawdę mówiąc, jest tylko rozległym bagnem, prawie na jednym poziomie z Atlantykiem. Wody morskie zalewają je wielkimi masami, pędzone naprzód burzami oceanu lub zatoki meksykańskiej. Woda morska pozostaje zmieszana z wodami deszczowymi, które zimową porą przybierają postać zwarłych wodospadów. Ztąd okolica znajduje się nawpół pod wodą i zamieszkiwać ją prawie niepodobna.

Bagniste wody opasane są białym piaskiem, od którego odbija ciemna barwa, stojącego ich zwierciadła, w którym się przeglądają tylko ptaki, chmarami przelatujące nad ich powierzchnią. Ryb nie ma tutaj wcale, lecz mnożą się za to węże.

Jednakże okolica nie jest jałowa. Nie, właśnie na powierzchni wysp, oblanych przez niezdrowe wody jezior, wspaniała przyroda odzyskuje swoje prawa. Wonie, jakie wydają cudowne kwiaty w tej stronie zwyciężyły, rzecz można — malarzę. Na wyspach rozchodzi się zapach tysięcy roślin, rozkwitających tak bujnie, że usprawiedliwiają poetyczną nazwę półwyspu Florydy. Dlatego, wśród tych oaz Ewerglad chronią się zwykle nomadowie indyjscy; przystanki ich zresztą nigdy nie trwają długo.

Uszedłszy kilka mil w głąb terytorjum, wędrowiec napotyka szeroko rozlaną wodę, jezioro Okeecho-bee, położone nieco poniżej 27° szerokości geograficznej. W jednym z kątów tego jeziora znajduje się wyspa Carneval, na której Texar obmyślił sobie nieznaną i bezpieczną kryjówkę.

Była to okolica, godna Texara i jego towarzyszków. W owym czasie, kiedy Floryda należała jeszcze do Hiszpanji, tam uciekali złooczyńcy białej rasy, ażeby uniknąć wymiaru sprawiedliwości. Pomieszani z tubylcami, w których się jeszcze znajduje krew karaibska, stworzyli oni plemiona tych krików, tych seminolów, tych koczujących indjan, dla których poskromienia trzeba było stoczyć długą i krwawą wojnę, ukończoną dopiero 1845 r.

Wyspa Carneval zdaje się być bezpieczną od wszelkiej napaści. Prawda, że we wschodniej części jest oddzielona tylko wąskim kanałem od lądu stałego i jeśli można tak nazwać bagno, otaczające jezio-

ro, lecz ten kanał, na jakie 100 stóp długi, przebywać trzeba z największą trudnością.

Uciec z tej strony, przejść wpływ jest niepodobieństwem. Jakże się odważyć przejść przez te muliste wody, najeżone oplatającymi ciało trawami i pełne gadów?

Dalej wznosi się las cyprysowy na gruntach, napół zatopionych, kędy biegną tylko wąskie, prawie niedostrzegalne ścieżki. A oprócz tego, ileż przeszkód! Ziemia gliniasta, przylepiająca się do nóg, ogromne pnie, leżące wpoprzek, woń stęchlizny, tamująca oddech.

Tam znajdują się również rośliny, których dotknięcie jest bardziej przykre, niż ostu, a zwłaszcza tysiące tych olbrzymich grzybów, wybuchających, jak gdyby były nabite prochem albo dynamitem. Za najłżejszem uderzeniem, następuje coś w rodzaju wystrzału. W jednej chwili atmosfera napelnia się czerwonym pyłem. Ten pył osiada w gardle i wywołuje palące krosty. Należy przeto unikać tych roślin, tak samo, jak i groźnych płazów.

Siedzibą Texara był poprostu wigwam indyjski, zbudowany pod osłoną dużych drzew, we wschodniej części wyspy. Ponieważ chata była całkiem ukrytą pośród zieleni, nie można jej było dostrzedz nawet z najbliższego brzegu. Dwa ogary strzegły jej tak czujnie, jak przedtem blokhauzu w Czarnej Przystani. Tresowane niegdyś do polowania na człowieka, rozszarpalyby każdego, coby się zbliżył do wigwau.

Tamto mała Dy i Zerma zostały przywiezione przed dwoma dniami. Przeprowa, dosyć łatwa w górę Saint-Johnu aż do jeziora Waszyngton, stała się bardzo uciążliwą przy przejściu przez las cyprysowy nawet dla silnych mężczyzn, oswojonych z niezdrowym klimatem, przywykłych do długich pochodów przez zarośla i bagniska. Łatwo sobie wyobrazić, ile tam wycierpieć musiała kobieta i dziecię! Zerma nie traciła jednak energii: była odważna i dobrej myśli. Całą drogę nosła Dy, której nóżki nie podolałyby tak długim etapom. Zerma czołgałaby się na kolanach, byleby jej oszczędzić tego trudu. Dlatego też przybyła na wyspę zmęczona i wyczerpana.

A teraz, po tem, co zaszło w chwili, kiedy Texar i Squambo porywali ją z Czarnej Przystani jakże nie miała rozpaczać? Nie wiedziała tego, że jej kartka, powierzona niewolnikowi, dostała się do rąk Jamesa Burbanka, lecz wiedziała, że biedny murzyn przyplacił życiem gotowość oddania jej przysługi. Schwytany na uczynku w chwili, kiedy miał opuścić wysepkę, żeby podążyć do Camdless - Bay, odniósł śmiertelną ranę. Metyska mówiła więc sobie, że James Burbank nie dowie się nigdy o tem, co wydobyla od nieszczęśliwego chłopca, to jest, że hiszpan wybiera się na wyspę Carneval. W tych warunkach ani przypuszczała, żeby trafiono na ich ślad.

Zerma nie miała ani iskierki nadziei. Prócz tego, wszelka możliwość ocalenia znikala w tej okolicy, o której dzikiej grozie dochodziły ją przedtem

już wieści. Aż nazbyt dobrze wiedziała, że o ucieczce niepodobna było nawet myśleć!

Gdy przybyły na miejsce, dziewczeczka była tak-że niesłychanie osłabioną. Najpierw utrudzenie, od którego nie mogła jej uwolnić metyska, pomimo nieustającej opieki, a potem wpływ klimatu, szkodliwie oddziaływały na jej zdrowie. Błada, wychudła, jak gdyby ją zatrwały wyziewy tych bagien, nie miała już sił utrzymać się na nóżkach, trudno jej było nawet wymówić kilka słów, a jeśli się odzywała, to po to tylko, żeby się napierać do matki.

Zerma nie miała już odwagi mówić, jak w pierwszych dniach po przybyciu do Czarnej Przystani, że niedługo zobaczy panią Burbankową, że ojciec, brat, miss Alicja, Mars, wkrótce przybędą. Wskutek inteligencji, wczesnej nad wiek i jakby już wyostrzonej przez nieszczęście od czasu okropnych scen na plantacji, Dy rozumiała, że ją porwano z domu rodzicielskiego, że się znajduje w rękach złego człowieka, że jeśli nie przyjdzie pomoc, to ona już nigdy nie zobaczy Camdless-Bayu.

Teraz Zerma nie wiedziała, co odpowiadać i, pomimo jej poświęcenia, dziecię nikło w jej oczach.

Wigwam był, jak powiedzieliśmy powyżej, prostą chatą, która na porę zimową bardzo niedostatecznie zabezpieczałaby od chłodu. Wiatr i deszcz mogły się tu przedostawać zewsząd. Ale w ciepłej porze, która dawała się już odczuć pod tym stopniem szerokości geograficznej, mogła przynajmniej osłaniać mieszkańców od palących promieni słońca.

Ten wigwam był podzielony na dwie izby nierównej wielkości: jedna dosyć wąska, słabo oświetlona, nie mająca wyjścia wprost na dwór, przylegała do drugiej, dosyć obszernej, której drzwi, służące razem za okno, znajdowały się od strony wybrzeża kanału.

Zermę i Dy umieszczono w mniejszej z izb; miały tu one tylko kilka naczyń do użytku i posłanie z traw.

Drugą izbę zajmowali Texar i Squambo, który nie odstępował swego pana. Tam jedynymi sprzętami były: stół z kilkoma flaszkami wódki, ze szklankami, talerzami, coś na kształt szafy z zapasami żywności, pień zgruba ociosany, ławy i dwie wiązki traw za posłanie.

Ogień, potrzebny do gotowania, rozpalali na ognisku kamiennem, urządzonem na zewnątrz rogu wigwamu. Wystarczał on do przyrządzania posiłków składających się jedynie z suszonego mięsa, z wędliny, w którą myśliwi mogli się z łatwością zaopatrzyć na wyspie, z jarzyn i owoców, prawie w stanie dzikości. Słowem, mogli mieć tyle, żeby nie umrzeć z głodu.

Co się tyczy sześciu niewolników, przywiezionych przez Texara z Czarnej Przystani, ci sypiali na dworzu, jak owe dwa psy i, tak samo jak te ostatnie, strzegli wstępu do wigwamu, mając w miejscie dachu wielkie drzewa, których dolne gałęzie spletały się nad ich głowami.

Jednakże Dy i Zerma, od pierwszego zaraz dnia, swobodnie chodziły tu i owdzie. Jakkolwiek więzione na wyspie Carneval, nie były zamykane w chacie. Ograniczano się tylko do czuwania nad niemi; była to zresztą zbyteczna ostrożność, gdyż do przebycia kanału musiałyby się posłużyć czółnem, którego ciągle pilnował jeden z murzynów. Zerma, w ciągu swych przechadzek z dziewczynką, zmiarkowała niebawem, jakie trudności przedstawiałaby ucieczka.

Owego dnia metyska, bacznie strzeżona przez Squambo, nie spotkała ani razu Texara i dopiero w noc doszedł ją jego głos. Zamienił on kilka słów ze Squambo, któremu zalecił ścisły nadzór. Niezadługo, prócz Zermy, wszyscy spali w wigwamie.

Do owej chwili, Zerma nie zdołała wydobyć ani jednego słowa z Texara. Płynąc w górę rzeki, ku jezioru Waszyngton, daremnie go wypytywała, co myśli zrobić z dzieckiem i z nią samą; od błagania przeszła nawet do grózb.

Podczas gdy mówiła, hiszpan zatapiał w niej zimne i złośliwe spojrzenie, poczem, wzruszając ramionami, okazywał gestem zniecierpliwienie i nie raczył odpowiadać.

Jednakże Zerma nie dawała za wygraną; przybywszy na wyspę Carneval, postanowiła rozmówić się z Texarem, chcąc w nim obudzić litość, jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla tego nieszczęśliwego dziecka, a gdyby jej się to nie udało, to przemówić w imię jego własnego interesu.

Wkrótce nastęczyła się po temu sposobność.

Nazajutrz, podczas gdy dziewczeczka spała, Zerma poszła w stronę kanału.

W tej chwili właśnie Texar przechadzał się po wybrzeżu, wydając rozkazy niewolnikom, zajęтым oczyszczaniem kanału z traw, tamujących swobodny bieg czółna.

Podczas tej roboty, dwóch murzynów uderzało w powierzchnię kanału długimi drągami dla odstraszenia ptaków, których głowy sterczały nad wodą.

Po chwili, Squambo odszedł, pan jego miał się już także oddalić, kiedy przystąpiła doń Zerma.

Texar pozwolił jej się zbliżyć i, gdy już była tuż przy nim, przystanął.

— Texarze — powiedziała stanowczym tonem — mam z tobą do pomówienia. Będzie to zapewne po raz ostatni, więc, proszę, wysłuchaj mnie.

Hiszpan, który właśnie zapalał papierosa, nie odpowiedział; poczekawszy więc kika minut, odezwała się Zerma w te słowa:

— Texarze, czy powiesz mi na koniec, co myślisz zrobić z Dy?

Milczenie.

— Nie będę cię rozczulała własnym moim losem — rzekła znów metyska — lecz idzie o tę dziecinę, której życie jest zagrożone, i która ci się wymknie wkrótce...

Texar zrobił gest, zdradzający niedowierzanie.

— Tak, wkrótce...—powtórzyła Zerma. — Jeśli nie uciezka, to śmierć ją wyzwoli!

Hiszpan, wypuściwszy zwolna kłęב dymu, odrzekł tylko:

— Dziecko przyjdzie do siebie po kilkodniowym wypoczynku i liczę na to, że dzięki twojej pieczołowitości, Zermo, to drogocenne życie będzie nam przechowane.

— Nie, powtarzam ci, Texarze: niezadługo dziecko umrze i to bez żadnej korzyści dla ciebie!

— Bez korzyści, kiedy ją trzymam zdala od umierającej matki, od ojca i brata, pogrążonych w rozpacz!

— Prawda!—rzekła Zerma.—Jesteś więc dostatecznie pomszczony i, wierzaj mi, że byłoby korzystniej dla ciebie oddać dziecię rodzinie, aniżeli zatrzymać je tutaj.

— Co przez to rozumiesz?

— To, żeś dosyć już zadał cierpień Jamesowi Burbankowi i, że teraz powinieneś mieć na względzie własny interes...

— Mój interes?...

— Nie inaczej, Texarze...—odpowiedziała Zerma zapalając się. — Plantacja Camdless-Bay została zniweczona, pani Burbankowa jest umierająca, może już nie żyje, w chwili kiedy mówię z tobą, jej córka znikła, a ojciec daremnie usiłuje trafić na jej ślad. Wszystkie te zbrodnie zostały spełnione przez ciebie, Texarze, wiem! Mam prawo powiedzieć ci to w oczy!

Ale strzeż się! Czyny twoje wykryją się kiedyś... Pomyśl, jaka cię kara wtedy spotka! Tak. Własny interes nakazuje ci litość. Nie przemawiam za sobą, chociaż mąż nie zastanie mnie, gdy powróci. Nie! ja tylko proszę za tą biedną maleńką, która zamrze. Zatrzymaj mnie, jeśli chcesz, ale odeślij dziecko do Camdless-Bay, oddaj je matce. Nie będą tam żądali od ciebie rachunku z przeszłości. A nawet, jeśli zechcesz, złotem opłacą uwolnienie tej dziewczynki, i, jeśli tak mówię do ciebie, jeśli ci proponuję tę wymianę, to dla tego, że znam do głębi duszy Jamesa Burbanka i jego rodzinę. Wiem, że poświęciliby cały majątek dla ocalenia tego dziecka i klnę się Bogiem, że dotrzymają przyrzeczenia, danego ci przez ich niewolnicę.

— Ich niewolnicę?... — zawołał Texar ironicznie — Wszakże już nie ma niewolników w Camdless-Bay!

— Owszem, Texarze, jestem niewolnica, bo, ażeby zostać u mego pana, nie przyjąłam wolności!

— Doprawdy, Zermo, doprawdy! — odpowiedział hiszpan. — A więc, kiedy nie masz wstępu do niewoli, to się możemy porozumieć. Przed laty sześciu czy siedmiu, chciałem cię kupić od mego przyjaciela Tickborna. Ofiarowałem za ciebie, za ciebie jędnę, znaczną sumę i należałabyś do mnie od owej chwili, gdyby cię James Burbank nie był porwał dla siebie. Teraz mam cię i nie wypuszcę ze swych rąk.

— Niechaj i tak będzie, Texarze, zostanę twoją niewolnicą... Ale czy oddasz dziecko?..

— Córkę Jamesa Burbanka—rzekł Texar z od-
dźwiękiem najgwałtowniejszej nienawiści w głosie—
oddać ją ojcu?... Nigdy!

— Nędzniku!—wykrzyknęła Zerma, opanowana
oburzeniem—jeśli nie ojciec, to Bóg wyrwie ją z two-
ich rąk!

W miejsce odpowiedzi hiszpan roześmiał się
szydlerczo i wzruszył ramionami. Skręciwszy drugi
papieros, zapalił go spokojnie i odszedł wybrzeżem
kanału, nie spojrzawszy nawet na Zerme.

Odważna metyska z pewnością zabiłaby go, jak
dzikie zwierzę, gdyby miała broń, nie pomnąc na to,
że mogłaby być potem zamordowaną przez Squambo
i jego towarzyszy. Ale bez broni cóż mogła zrobić?
Nieruchoma przyglądała się murzynom, pracującym
na wybrzeżu; lecz, nie spostrzegłszy ani jednej przy-
jaznej twarzy, tylko same dzikie, odrażające oblicza,
powróciła do wigwomu, ażeby otoczyć macierzyńską
opieką dziecko.

Usiłowała pocieszyć biedaczkę: wzięła ją na rę-
ce i ożywiła trochę pocałunkami. Potem ugotowała
jej śniadanie przy ognisku. Słowem, otaczała ją wszel-
kimi staraniami, na jakie pozwalało ich smutne po-
łożenie. Dy, dziękowała uśmiechem, ale ten uśmiech
smutniejszy był od łez...

Zerma nie ujrzała już Texara aż do końca dnia;
zresztą, nie szukała go wcale. Na co by jej się to
zdało? Z pewnością nie dałby się zmiększyć proźba-
mi, a ponowienie wyrzutów pogorszyłoby położenie.

Jakkolwiek ani w Czarnej Przystani, ani od chwili przybycia na wyspę Carneval, Zerma i Dy nie doznawały złego obejścia, mogła się wszystkiego lękać od takiego człowieka. Dostyc było napadu wściekłości, ażeby się posunął do ostatecznego gwałtu. Ta zepsuta dusza nie mogła się zdobyć na litość i gdyby interes nie brał w nim góry nad nienawiścią, Zerma nie miałyby śladu żadnej nadziei. Co się tycze towarzyszków Texara—Squamba i niewolników, jakże od nich miał żądać, ażeby byli bardziej ludzcy od swego pana? Wiedzieli jaki los czeka tego, który by okazał choć trochę współczucia. Z tej strony nie można się było niczego spodziewać.

Zerma, widząc, że może liczyć tylko na samą siebie, postanowiła uciec zaraz następnej nocy. Ale w jaki sposób? Jak przebyć wodę, okalającą wyspę Carneval? Chociaż przed samym wigwamem ta część jeziora była wązka, tylko czólnem można się było dostać na przeciwny brzeg kanału.

Nastąpił wieczór, potem zaczęła zapadać noc; a można było przewidzieć, że będzie ciemna i przykra, zanosiło się bowiem na deszcz i na wichur nad bagniskiem.

Zerma wiedziała wprawdzie, że nie może wyjść z wigwamu drzwiami od dużej izby, ale chciała wyłamać otwór w murze i wyjść przezeń wraz z Dy. Wydobywszy się na dwór pomyślały, co dalej robić.

Około dziesiątej, było już tylko słycać wycie wiatru, uderzającego od strony gęstych brzegów.

Texar i Squambo spali. Nawet psy, ukrywszy się w jakichś zaroślach, przestały krążyć dokoła chaty. Należało skorzystać z tej chwili.

Podczas kiedy Dy spoczywała spokojnie na łożu z traw, Zerma zaczęła ostrożnie wyciągać słomę i trzcinę z bocznej ściany wigwamu.

Po upływie godziny, otwór nie był jeszcze dosyć duży, ażeby mogły przez niego przejść, zamierzała więc rozszerzać go dalej, gdy wtem jakiś hałas przerwał jej robotę.

Hałas ten przychodził z zewnątrz. Było to szczekanie ogarów, dających znak o jakimś ruchu na wybrzeżu. Texar i Squambo, nagle rozbudzeni, śpiesznie wyszli ze swej izby.

Wtedy dały się słyszeć głosy. Widocznie, gromada ludzi przybyła na brzeg kanału. Zerma musiała się rzec ucieczki, niemożliwej w owej chwili.

Niebawem, pomimo odgłosów wiatru, można było rozpoznać odgłosy kilkudziesięciu osób.

Zerma, natężywszy ucho, słuchała. Co się to stało? Czy Opatrzność zmiłowała się nad nią? Czy zesłała jej pomoc, na którą nie mogła już liczyć?

Nie zrozumiała to. Alboż by nie było walki pomiędzy przybyszami i ludźmi Texara, czy by nie było ataku podczas przepływania kanału, czy nie dałyby się słyszeć krzyki z obu stron i wystrzały z broni palnej? Tymczasem tego wszystkiego nie było miejsca. Musiał to być raczej posiłek dla wyspy Carneval.

Po chwili, Zerma zdołała to spostrzedz, dwie osoby powracały do wigwamu. Hiszpanowi towarzyszył ktoś drugi, a nie mógł to być Squambo, gdyż jego głos rozlegał się jeszcze w okolicy kanału.

Jednakże dwóch mężczyzn było w pokoju. Zaczęli oni rozmawiać po cichu, lecz naraz umilkli.

Jeden z nich, z latarką w rękę, skierował się ku izdebce Zermy, która zaledwie zdążyła rzucić się na posłanie z traw, tak, ażeby zasłonić otwór, zrobiony w bocznej ścianie.

Texar — byłto bowiem on — uchylił drzwi, zajrzał do pokoiku, spostrzegł metyskę, leżącą obok dziewczynki i na pozór pogrążone w głębokim śnie. Następnie cofnął się.

Zerma powróciła na swoje miejsce pode drzwi, które zamknął za sobą.

Wprawdzie nie mogła widzieć, co się dzieje w pokoju, ani poznać towarzysza Texara, ale mogła słyszeć, co mówili.

I oto, co doszło jej uszu.

XII.

Co usłyszała Zerma.

- Ty, na wyspie Carneval?
— Tak od kilku godzin.
— Myślałem, że jesteś w Adamsville ¹⁾, w okolicach jeziora Apopka? ²⁾
— Byłem tam przed tygodniem.
— Dlaczegoś tu przybył?
— Znagliła mnie do tego konieczność.
— Wszakże mieliśmy się spotkać tylko na bagniskach Czarnej Przystani i miałeś mię zawsze uprzedzać o tem listownie!
— Powtarzam ci raz jeszcze, że musiałem uciekać czempredzej i schronić się w Ewergładach.
— Dlaczego?

¹⁾ Miasteczko w hrabstwie Putman.

²⁾ Jeziorko, zasilające jeden z głównych dopływów Saint-Johnu.

— Dowiesz się..

— Czy nas to nie narazi na jakie niebezpieczeństwo?..

— Nie! Przybyłem w nocy, więc żaden z twoich niewolników nie mógł mnie widzieć.

Zerma nie rozumiała rozmowy i nie mogła odgadnąć, kto to przybył tak niespodzianie do wigwamu. Z pewnością dwóch ludzi rozmawiało tam z sobą; a jednak zdawało się, że ten sam i pyta i odpowiada. Mieli oni zupełnie jednaki dźwięk głosu. Rzekłbyś, że wszystkie te słowa wyszły z jednych ust. Zerma napróżno siła się zobaczyć co przez szczelinę we drzwiach. Izba, słabo oświetlona, pozostawała w półcieniu, nie dającym rozpoznać najmniejszego przedmiotu. Zerma musiała więc ograniczyć się na natężanie ucha, ażeby usłyszeć jak najwięcej z tej rozmowy, która mogła być ważną dla niej.

Po chwili milczenia, dwaj ci ludzie znowu zaczęli rozmawiać. Texar zapytał:

— Nie sam przybyłeś?

— Nie; niektórzy z moich stronników towarzyszyli mi do Ewerglad.

— Ilu ich jest?

— Około czterdziestu.

— Czy się nie lękasz, ażeby nie dostrzegli tego, co się nam udawało ukrywać od tak dawna?

— Bynajmniej. Nie zobaczą nas nigdy razem. Opuszczą wyspę Carneval, nie dowiedziawszy się ni-

czego i nic się nie zmieni w programie naszego życia!

— Co się działo po zajęciu Jacksonvillu?

— Nastąpiła dość ważna sprawa. Czy wiesz, że Dupont zajął miasto św. Augustyna?

— Wiem; a ty pewno rozumiesz, dlaczego mi to wiadome!

— Rzeczywiście! Przygoda z pociągiem w Ferdinandie zdarzyła się w samą porę, ażebyś się mógł powołać na *alibi*, na mocy którego sąd musiał cię uniewinnić!

— A niewiele miał po temu ochoty! Nie pierwszy raz udało nam się wykręcić w ten sposób ..

— I nie ostatni zapewne. Ale może nie wiesz, w jakim celu federaliści zajęli miasto św. Augustyna? Nietyle im szło o podbicie stolicy hrabstwa Saint-Johnu, ile o zorganizowanie blokady na wybrzeżu Atlantyku.

— Słyszałem o tem.

— Otóż Dupont, nie uznając za dostateczne strzedz wybrzeża od ujścia Saint-Johnu do wysp Bahama, chciał tamować kontrabandę wojenną we wnętrzu Florydy i dlatego zdecydował się wysłać dwie szalupy z oddziałem marynarzy, pod dowództwem dwóch oficerów eskadry. Czyś słyszał o tej wyprawie?

— Nie.

— Kiedy więc opuściłeś Czarną Przastań?... Czy w kilka dni po wypuszczeniu cię na wolność?...

— Tak! Dnia 22-go tego miesiąca.

— Rzeczywiście, ta sprawa wydarzyła się dnia 22-go.

Należy pamiętać, że i Zerma nie mogła wiedzieć o zasadzce w Kissimmee, o której kapitan Howick opowiadał Gilbertowi, gdy się spotkali w lesie.

Dowiedziała się więc wtedy jednocześnie z hiszpanem, że po spaleniu się szalup zaledwie sześciu marynarzy, pozostałych przy życiu, mogło uwiadomić komandora o kłesce.

— Dobrze!... Dobrze! — zawołał Texar. — To niezły odwet za wzięcie Jacksonvillu. Gdybyśmy tylko mogli wciągnąć jeszcze tych przeklętych północnych w głąb naszej Florydy... zostaliby tam do ostatniego.

— Tak, do ostatniego — odparł ów drugi — zwłaszcza, jeśli się zapuszczą w te trzęsawiska w Ewergladach. A właśnie ujrzymy ich tam niezadługo.

— Co ty mówisz?

— Dupont poprzysiągł zemstę za śmierć swoich oficerów i marynarzy i dlatego nowa wyprawa została wysłaną na południe hrabstwa Saint-John.

— Federaliści dążą w tę stronę?...

— Tak, i to w większej liczbie, dobrze uzbrojeni, czujni, wystrzegający się zasadzek!

— Spotkałeś ich?...

— Nie, bo nasi stronnicy nie są dość silni tym razem; musieliśmy się cofnąć. Ale, cofając się

zwolna pociągamy ich za sobą. Gdy się zgromadzą milicje, rozpierzchnę po terytorjum, wtedy rzucimy się na nich i ani jeden nam nie ujdzie!

— Zkąd wyszli?

— Z Mosquito-Inlet.

— Którędy szli?

— Przez cyprysowy las.

— Gdzie mogą być w tej chwili?

— O jakie 40 mil od wyspy Carneval.

— Dobrze—odpowiedział Texar—dajmy im zapuścić się w głąb Południa; nie tracąc ani jednego dnia, wypada skoncentrować milicje. Jeśli trzeba, to zaraz jutro wyruszymy, żeby się schronić w okolicy kanału Bahama...

— A tam, jeśli nas bardzo ścisną, zanim zdążymy zebrać naszych stronników, to znajdzie się bezpieczny przytułek na wyspach angielskich!

Różne przedmioty, traktowane w powyższej rozmowie, były wielkiej doniosłości dla Zermy. Jeśli się Texar zdecyduje opuścić wyspę, czy zabierze swoje branki, czy też je zostawi w wigwamie pod opieką Squamba? W tym ostatnim razie wypadłoby odłożyć próbę ucieczki do wyjazdu hiszpana.

Możeby miała wtedy więcej szans powodzenia. Prócz tego oddział federalistów, przebiegający Dolną Florydę, mógł przybyć na brzegi jeziora Okee-cho-bee, nieopodal wyspy Carneval.

Ale nadzieja, nanowo zrodzona w duszy Zermy, rozwiała się natychmiast.

W samej rzeczy, na pytanie, zadane Texarowi, co myśli zrobić z metyską i z dzieckiem, odpowiedział on bez wahania:

— Jeśli się tego okaże potrzeba, zabiorę je na wyspy Bahama!

— Czy ta dziewczynka zniesie trudy nowej podróży?...

— Zniesie, ręczę za to. Zresztą, Zerma będzie musiała strzedz ją od znużenia.

— Jednakże, gdyby to dziecko umarło?...

— Wolę je zobaczyć trupem, aniżeli oddać ojcu!

— Ach, jakże ty nienawidzisz tych Burbanków!...

— Tak samo, jak i ty!

Zerma, nie mogąc już dłużej panować nad sobą, omal nie pchnęła drzwi, ażeby stanąć twarzą w twarz z tymi dwoma ludźmi, tak podobnymi do siebie nie tylko z głosu, ale i ze złych skłonności, z zupełnego braku sumienia i serca. Jednakże zdołała się powstrzymać. Lepiej było wysłuchać aż do ostatniego, słowa wynurzenia Texara i jego współnika. Może zasną, skończywszy rozmowę. Wtedy byłaby odpowiednia chwila do ucieczki, której wypadało dokonać przed zamierzonym wyjazdem.

Widocznie hiszpan chciał się dowiedzieć wielu rzeczy od gościa. Dlatego też zadawał ciągle pytania.

— Co słyhać nowego na Północy? — odezwał się po chwili.

— Nic ważnego. Na nieszczęście, jak się zdaje, federaliści biorą górę i należy się obawiać zupełnej przegranej dla sprawy niewolnictwa!

Texar zrobił gest, oznaczający, że mu to obojętne.

— Co prawda, nie trzymamy ani z Południem, ani z Północą!—odpowiedział tamten.

— Nie, nam o to tylko idzie, dopóki się szarpną te dwa stronnictwa, ażeby zawsze stać po stronie, gdzie jest więcej do zyskania!

Słowa te wiernie odmalowały Texara. Łowić ryby w mętnej wodzie wojny domowej—oto, do czego dążyli ci dwaj ludzie.

— Ale—dodał on—co się działo przez ten tydzień specjalnie we Florydzie?

— Nic takiego, czegobyś nie wiedział. Stevens jest ciągle panem rzeki, aż do Picolata.

— I czy nie zamierza przypadkiem popłynąć dalej Saint-Johnem?

— Nie. Kanonierki nie myślą o rozpoznaniu południa hrabstwa. Zresztą, sądzą, że to zajęcie niedługo już potrwa, a wtedy federaliści będą mogli krążyć po całej rzece!

— Co mówisz?

— Chodzi pogłoska, że Dupont ma zamiar opuścić Florydę, pozostawiając tylko dwa lub trzy okręty do blokowania wybrzeży!

— Czy to podobna?

— Jest o tem mowa, a, jeśli to nastąpi, miasto św. Augustyna zostanie wkrótce opuszczone.

— A Jacksonville?...

— Jacksonville także.

— Do licha! Więc mógłbym tam powrócić, uformować nanowo nasz komitet, zając stanowisko, odebrane mi przez federalistów. Ach, ci przekłęci północni, niechaj tylko odzyskam władzę, a zobaczą, jak z niej będę korzystał...

— Dobrze mówisz!

— Jeśli James Burbank, jeśli jego rodzina, nie opuścili jeszcze Camdless-Bay, jeśli ucieczka nie zabezpieczyła ich przed moją zemstą, nie ujdą mi!

— Pochwalam twój zamiar! Wszystko, coś ty wycierpiał od tej rodziny, cierpiałem i ja! Czego ty chcesz, tego i ja pragnę! Co ty nienawidzisz, ja także nienawidzę! We dwóch stanowimy jednego...

— Tak!... jednego!—odpowiedział Texar.

Rozmowa została przerwana na chwilę. Z brzęku szklanicy Zerma poznała, że hiszpan i „ten drugi“ piją z sobą. Doznała ona przykrego wrażenia. Słowa tych dwóch ludzi wskazywały, że obaj brali jednaki udział w zbrodniach, jakie zostały popełnione ostatnimi czasy we Florydzie, a w szczególności względem rodziny Burbanków. Słuchając ich jeszcze pół godziny, zrozumiała to lepiej i dowiedziała się kilku szczegółów z tego dziwnego życia hiszpana. A ciągle ten sam głos pytał i odpowiadał, jak gdyby Texar sam jeden mówił w pokoju. Kryła się w tem ta-

jemnica, której odsłonięcie było rzeczą największej wagi dla metyski. Ale gdyby ci nędznicy domyślili się, że podsłuchiwała część ich sekretów, czyżby się wahali ją zabić, dla zabezpieczenia siebie? A co by się stało z dzieckiem, gdyby ona przestała żyć?

Mogła być jedenasta wieczorem. Pogoda wciąż była szkaradna. Wiatr i deszcz smagały bez ustanku. Niewątpliwie Texar i jego towarzysz nie wychylą głowy na dwór, spędzą noc w wigwamie, a projekta swe odłożą do pojutra.

Zerma utwierdziła się w tem przypuszczeniu, usłyszawszy, jak jej się zdawało, gościa Texara, pytającego:

— Jakże postąpimy?

— Oto tak—odpowiedział hiszpan.—Jutro rano pójdziemy z naszymi ludźmi rozpoznać okolice jeziora. Zbadamy las cyprysowy na przestrzeni trzech lub czterech mil. Jeśli nie dowodzi zbliżania się oddziału federalnego, powrócimy i będziemy czekali aż do chwili, kiedy wypadnie uskuteczyć odwrót. Jeśli, przeciwnie, grozi rychłe niebezpieczeństwo, zwołam naszych ludzi i niewolników i zabiorę Zermę aż do kanału Bahama. Ty, ze swojej strony, zajmiesz się zebraniem milicj, rozproszonych po Dolnej Florydzie.

— Zgoda—odrzekł tamten drugi.—Jutro, podczas kiedy udacie się na rekonesans, ja się ukryję między drzewami na wyspie. Nie trzeba, żeby nas kto mógł zobaczyć razem!

— Rozumie się! — zawołał Texar. — Niechaj mnie szatan strzeże od podobnej nieostrożności, któraby zdradziła naszą tajemnicę. Zobaczymy się zatem dopiero jutrzejszej nocy w wigwamie! A nawet, jeśli będę zmuszony wyruszyć ztąd w ciągu dnia, to nie opuścisz wyspy aż po mnie; w takim razie spotkamy się w okolicach przylądka Sable!

Zerma zrozumiała, że nie może już być uwolnioną przez federalistów. Alboż hiszpan nie miał porzucić wyspy wraz z nią, nazajutrz, jeśli się przekonana, że oddział nadchodzi?...

Metyska mogła więc tylko liczyć na siebie, bez względu na niebezpieczeństwa, a nawet niemożliwość dokonania ucieczki w tak trudnych warunkach.

A jednak, z jaką odwagą przedsięwzięłaby ucieczkę, gdyby wiedziała, że James Burbank, Gilbert, Mars, niektórzy z jej towarzyszków plantacji puścili się w pogoń, ażeby ją wyrwać z rąk Texara, że z jej kartki dowiedzieli się, w której stronie szukać porwanych, że p. Burbank popłynął Saint-Johnem aż poza jezioro Waszyngton; że przebył część lasu cyprysowego; że mała gromadka z Camdless-Bay połączyła się z oddziałem kapitana Howicka; że Texar, sam Texar, jest uważany za sprawcę zasadzki w Kissimmee; że wreszcie ten energicznie poszukiwany nędznik zostanie rozstrzelany bez sądu, jeśli zdołają go ująć!

Ale Zerma nie mogła wiedzieć tego wszystkiego, a tem samem nie mogła się spodziewać pomocy.

Postanowiła więc postawić mężnie czoło trudnościom i uciec z wyspy Carneval.

Wypadło jej to jednak odłożyć na 24 godzin, chociaż ciemna noc sprzyjała ucieczce. Partyzanci, nie szukając schronienia pod drzewami, krążyli dokoła wigwamu. Było słychać, że chodzą w tę i w ową stronę po wybrzeżu, paląc i rozmawiając; gdyby próba się nie powiodła, gdyby odkryto zamiar Zermy, jej położenie pogorszyłyby się i Texar gotówby się może dopuścić względem niej jakiego czynu gwałtownego.

Zresztą, nazajutrz, mogła się nastęczyć lepsza sposobność do ucieczki. Wszakże hiszpan powiedział, że jego towarzysze, niewolnicy, a nawet indjanin Squambo, udadzą się na wycieczkę, mającą na celu wykrycie śladów pochodzenia oddziału federalistów. Może Zerma potrafi skorzystać z jakiej okazji. Gdyby zdołała niespostrzeżenie przepłynąć kanał, to, dostawszy się raz do lasu, miała nadzieję uratować się przy pomocy Boga. Ukrywając się, potrafiłaby uniknąć Texara. Kapitan Howick musiał już być niedaleko. Ponieważ zbliżał się ku jezioru Okee-cho-bee, nie mogła mieć nadziei, iż zostanie przezeń wyzwoloną?

Należało tedy zaczekać do następnego dnia. Lecz pewna okoliczność obaliła rusztowanie, na którym Zerma opierała ostatnią nadzieję i pogorszyło jej położenie.

W tej chwili zapukano do drzwi wigwamu.

Był to Squambo, który się zameldował panu.

— Wejdz!—rzekł hiszpan.

Squambo wszedł.

— Czy pan ma co do rozkazania na noc?—zapytał.

— Niechaj czuwają bacznie i niech mnie zawiadomią o najmniejszym popłochu.

— Biorę to na siebie—odrzekł Squambo.

— Jutro rano pójdziemy na rekonesans kilka mil w głąb lasu cyprysowego.

— A metyska i Dy?...

— Będą tak dobrze strzeżone, jak zazwyczaj. A teraz, Squambo, pilnuj, żeby nikt nie wchodził do wigwamu!

— Nikt nie wejdzie.

— Co robią nasi ludzie?

— Chodzą tu i owdzie i zdają się nie dbać o spoczynek.

— Niechaj się ani jeden nie oddali.

— Nie oddali się ani jeden.

— Jakaż pogoda?...

— Znośniejsza. Deszcz przestał padać i wiatr się ucisza.

— Dobrze.

Zerma wciąż nasłuchiwała. Rozmowa miała się widocznie urwać, kiedy dało się słyszeć stłumione westchnienie, coś na kształt rżężenia.

Zermie cała krew spływała do serca.

Podniosła się, skoczyła na posłanie z traw, pochyliła się nad dziewczynką...

Dy obudziła się... w jakimże stanie? Chrapliwy ddech wrywał jej się z ust. Trzepotała rączkami w powietrzu, jak gdyby je chciała przyciągnąć do ust. Zerma zrozumiała tylko te słowa:

— Pić!... Pić!

Biedna dziewczynka dusiła się. Należało wynieść ją niezwłocznie na dwór. Wśród głębokich ciemności, Zerma, opanowana niepokojem, porwała ją na ręce, chcąc pokrzepić własnym tchnieniem. Uczuła konwulsyjne miotanie się dziecka... Wydała krzyk... i pchnęła drzwi od swego pokoju...

Dwóch ludzi stało tam przed Squambo, lecz tak podobni do siebie z twarzy i z postawy, że Zerma nie mogłaby poznać, który z nich jest Texar.

XIII.

Podwójne życie.

Kilka słów wystarczy do wyjaśnienia tego, co dotąd wydawało się zagadkowym w tej opowieści. Czytelnik przokona się, co mogą osiągnąć pewni ludzie, gdy złe instynkta, wspomagane inteligencją, prowadzą ich złą drogą. Ci ludzie, którym się Zerma nagle ukazała, byli to dwaj bracia bliźnięta.

Gdzie się urodzili? Oni sami nie wiedzieli tego dokładnie. Zapewne w jakiej wiosce w Texas, z kąd to imię Texar, przez zmianę końcówki.

Znane jest to rozległe terytorjum, położone na południu Stanów Zjednoczonych, nad zatoką meksykańską.

Texas, po rokoszu przeciwko meksykańczykom, popierany przez amerykańców w dziele niepodległości, przyłączył się do związku r. 1845, pod prezydenturą Johna Tylora.

Na lat piętnaście przed tem przyłączeniem, znaleziono dwoje dzieci, podrzuconych w pewnej wiosce, na wybrzeżu Texasu; zaopiekowano się nimi i wychowano kosztem dobroczynności publicznej.

Przedewszystkiem bliźnięta zwróciły uwagę zdumiewajacem podobieństwem. Jednakie miały ruchy, jednaki głos, jednaką postawę, nawet fizjonomję i — zbyteczne chyba dodać—jednakie popędy, dowodzące przedwczesnego zepsucia. Jak ci chłopcy zostali wychowani i w jakim zakresie odebrali wykształcenie, nie wiedział nikt, nie wiedziano też, z kąd pochodzili. Może należeli do jednej z tych koczujących rodzin, które błędziły po kraju, po ogłoszeniu niepodległości.

Skoro tylko bracia Texarowie, opanowani nieprzepartą żądzą wolności, osądzili, że mogą sobie wystarczyć, znikli. Mieli oni wtedy we dwóch 24 lat; nie można przeto wątpić, że ich sposobem do życia była jedynie: kradzież w polach, na folwarkach: tu kradli chleb, tam owoce, dopóki się nie wzięli do rabunku z bronią w rękę i wypraw na gościńce, do których się od dzieciństwa zaprawiali. Słowem, nie pokazali się już więcej śród wiosek i osad Texasu w których zbyt dobrze już ich znano.

Wiele lat upłynęło. Bracia Texarowie zostali zapomniani, nawet z imienia. I chociaż to imię miało mieć później oplakany rozgłos we Florydzie, nie wychodziło jednak na jaw, że obydwaj spędzili dziecięce lata w Texas.

Jakżeby mogło być inaczej, kiedy od czasu ich zniknięcia, wskutek kombinacji, o której będzie poniżej, nigdy nie znano dwóch Texarów. Na tej to kombinacji zbudowali oni nawet cały szereg przestępstw, które było bardzo trudno sprawdzić i ukarać.

Dowiedziano się później dopiero, gdy ta dwoistość została odkrytą i dowiedzioną materjalnie, że przez pewien przeciąg czasu, od 20 do 30 lat, ci dwaj bracia żyli każdy osobno. Starali się zdobyć majątek wszelkiemi sposobami. Widywali się z sobą bardzo rzadko, pokryjomu, bądź w Ameryce, bądź w jakiej innej części świata, do której ich losy zagnały.

Dowiedziano się także, iż jeden z nich — może obaj — prowadzili handel murzynami. Przewozili, a raczej zarządzali transporta niewolników z wybrzeży afrykańskich do południowych stanów. W operacjach tych spełniali oni tylko rolę pośredników pomiędzy przedsiębiorcami z wybrzeża i kapitanami statków, używanych do tego niehumanitarnego handlu.

Czy im dobrze szły interesa, nie było to wiadome, ale prawdopodobnie -- nie. W każdym razie, znacznie się pogorszyły i ustały zupełnie, gdy handel niewolnikami, uznany za barbarzyństwo w świecie cywilizowanym, zwolna został zniesiony. Obaj bracia mieli nawet zrzec się tego rodzaju przedsiębiorstwa.

Jednakże, chociaż tak dawno ubiegali się na wszelkie sposoby o fortunę i chcieli ją zdobyć, bądź-cobądź, nie pozyskali jej jeszcze i wypadało im starać się dalej. Wtedy to ci dwaj awanturnicy postanowili wyzyskiwać niezwykle wzajemne podobieństwo.

Zdarza się najczęściej, że podobny objaw znika, gdy dzieci wyrastają na dojrzałych ludzi.

Co do Texarów, stało się inaczej. W miarę, jak im przybywało lat, ich podobieństwo fizyczne i moralne, nie można powiedzieć, że uwydatniało się, ale, że, jak przedtem, było zupełne. W żaden sposób nie można było rozróżnić jednego od drugiego, nietylko po rysach twarzy lub też budowie ciała, lecz i po ruchach lub dźwięku głosu.

Dwaj bracia postanowili eksploatować tę osobliwość dla spełniania najniecieńszych czynów, z możliwością ustanowienia *alibi*, gdyby który z nich został zaskarżony.

Dlatego to, podczas gdy jeden spełniał umówioną zbrodnię, drugi pokazywał się publicznie w jakiejś odległej miejscowości i w ten sposób, dzięki *alibi*, niewinność jego jawiała *ipso facto*.

Rozumie się, że musieli przy tem używać całej zręczności, żeby się nie dać schwytać na gorącym uczynku, gdyż w takim razie *alibi* zostałoby zdemaszkowane i całe knowanie wykryłoby się niebawem.

Ułożywszy w ten sposób program życia, bliźniaki przybyli do Florydy, gdzie żaden z nich nie był

jeszcze znany. Ciągnęło ich tam wyrachowanie, że stan, w którym Indianie wiodą ciągle zaciętą walkę z Amerykanami i z Hiszpanami, dostarczy im wiele sposobności do wzbogacenia się.

Było to około r. 1850 lub 1851, kiedy Texarowie ukazali się na półwyspie Florydy. Raczej należałoby powiedzieć Texar, nie Texarowie. Odpowiednio do ich programu, nigdy nie ukazywali się razem, nigdy ich nie spotykano tego samego dnia w tem samym miejscu; nikt nie wiedział, że istnieje dwóch braci tego imienia.

Zresztą, pokrywając swoje osoby najgłębszem *incognito*, niemniejszą tajemniczością otoczyli zwykłe swe schronienie.

Jak wiadomo, urządzili sobie siedzibę w Czarnej Przystani. Środkową wysepkę, opuszczony blokhaus, odkryli oni podczas jednej z wycieczek na wybrzeżu Saint-Johnu. Tam to zawieźli kilku niewolników, nie wyjawiając im swej tajemnicy. Jeden tylko Squambo wiedział o podwójnej ich egzystencji. Ten zacy powiernik Texarów, poświęcony bezgranicznie dwom braciom, milczący jak grób był nielitościwym wykonawcą ich rozkazów.

Rozumie się, że nigdy nie przebywali razem w Czarnej Przystani. Gdy mieli się porozumieć co do jakiej sprawy, znosili się listownie. Jakiś to widzieli, nie używali do tego poczty. Dostyc było wsunąć karteczkę w zwoje liścia, ten zaś przymocować do gałęzi drzewa tulipanowego, rosnącego na

bagnie, obok Czarnej Przystani. Squambo, zachowując ostrożności, udawał się codziennie na bagno; jeśli niośł list, napisany przez tego z Texarów, który znajdował się w Czarnej Przystani, zawieszał go na gałęzi drzewa tulipanowego. Jeśli drugi brat pisał, indjanin brał list jego w umówionem miejscu i zanosił go do forteczki.

Przybywszy do Florydy, Texarowie niezadługo zawiązali stosunki z najgorszą częścią ludności całego terytorjum. Mnóstwo złoczyńców stało się współnikami ich w kradzieżach, popełnianych w owych czasach; potem zaś służyli im za partyzantów, gdy zaczęli odgrywać rolę polityczną podczas wojny. To jeden, to drugi stawał na ich czele i nigdy nie wiedzieli, że to imię Texar nosiło dwóch bliźniaków.

Czytelnik rozumie teraz, jakim sposobem, podczas sądowych dochodzeń rozmaitych zbrodni, Texarowie mogli się powoływać na *alibi*, te zaś musiały być przyjmowane. Tak właśnie stało się w epoce poprzedzającej dzieje, przedstawione w niniejszej opowieści.

Między innemi, z powodu podpalenia pewnego folwarku, jakkolwiek James Burbank i Zerma napewno uznawali hiszpana za sprawcę pożaru, został on uniewiniony przez trybunał w mieście św. Augustyna, z przyczyny, że dowiódł, iż w chwili, gdy zbrodnia została spełniona, znajdował się w Jacksonville w triendzie Torilla, co potwierdziło wielu świadków.

Tak samo rzecz się miała, ze spustoszeniem Camless-Bay. Jakżeby Texar mógł prowadzić rabusiów do szturm w Castle - House, jakżeby mógł porwać Dy i Zermę, kiedy znajdował się w liczbie więźniów, ujętych przez federalistów w Fernandinie i zatrzymanych na jednym z okrętów flotyli? Sąd wojenny był więc zmuszony uwolnić go, pomimo tylu dowodów, pomimo zeznania pod przysięgą, złożonego przez miss Alicję.

Przypuściwszy nawet, że dwoistość Texarów zostanie wreszcie wykryta, prawdopodobnie nie wiedzianoby nigdy, który z nich brał osobisty udział w tych rozmaitych zbrodniach. Zresztą, czyż obaj nie byli winni w jednakowym stopniu, to jako współnicy, to jako główni sprawcy zamachów, które od tylu lat groziły Górnej Florydzie? Kara byłaby aż nazbyt zasłużona, na któregokolwiekby spadła, lub gdyby spotkała obydwóch.

Co się tyczy tego, co zaszło ostatnimi czasy w Jacksonville, to prawdopodobnie dwaj bracia odgrywali po kolei tę samą rolę, gdy wskutek powstania legalnie władzę miejskie były zmuszone ustąpić z miejsca.

Ile razy Texar nr. 1 wydalał się na jaką umówioną wyprawę, Texar nr. 2 zastępował go w zwykłych czynnościach, a jego partyzanci nie domyślali się niczego. Ztąd należało przypuszczać, że bracia jednak i brali udział w dokonywanych podówczas nadużyciach względem osadników, pochodzących z Pół-

nocy, oraz plantatorów z Południa, wyznających zasady, przeciwne niewolnictwu.

Rozumie się, że do tego potrzeba im było wiedzieć o wszystkim, co się działo w środkowych stanach, gdzie wojna domowa powodowała tyle nieprzewidzianych wypadków. Zresztą, Texarowie wywierali rzeczywisty wpływ na mieszkańców, zamieszkujących hrabstwa, na hiszpanów, a nawet i na amerykańców, sprzyjających niewolnictwu, słowem, na najgorszą część ludności. W takim stanie rzeczy wypadało im często korespondować z sobą, spotykać się potajemnie w jakim umówionem miejscu, odbywać narady nad sposobem poprowadzenia danej sprawy, i rozłączać się dla przygotowania sobie na przyszłość *alibi*.

Ztąd to, gdy jeden z nich był uwięziony na jednym ze statków eskadry, drugi organizował ekspedycję na Camdless-Bay i wskutek *alibi* rada wojenna w mieście św. Augustyna uchyliła wniesioną nań skargę.

Jakieśmy już wzmiankowali, to fenomenalne podobieństwo dwóch braci nie zmniejszało się z wiekiem; jednakże, z przyczyny jakiego wypadku fizycznego lub odniesienia rany, podobieństwo mogło być nadwężone; któryś z nich mógł być napiętnowany znakiem szczególnym.

Alboż w tem awanturniczem życiu, wystawionem na tyle złych przygód, nie groziło im ryzyko? Zresztą umieli oni bardzo zręcznie korzystać z wypadków i zapobiegać niepomysłnemu zbiegowi okoliczności.

I tak, gdy podczas pewnej napaści nocnej, w jakiś czas po przybyciu Texarów do Florydy, jednemu z nich strzał z pistoletu opalił brodę, drugi czempredzej ogolił swoją, żeby nie rozróżnić się od brata. Czytelnik może sobie przypomni, że na początku tej opowieści powyższy fakt był wzmiankowany o tym z Texarów, który się znajdował w forteczce.

Jeszcze inny fakt wypada nam wyjaśnić, mianowicie, dlaczego Zerma, będąc jeszcze w Czarnej Przystani, widziała, jak hiszpan tatuował sobie ramię; otóż rzecz miała się tak, że brat jego był w liczbie tych podróżników, którzy, wzięci w niewolę przez bandę seminolów, zostali napiętnowani na lewem ramieniu. Podobizna tego znaku została natychmiast wysłana do forteczki i Squambo mógł ją wiernie od-tatuować, wskutek czego bliźniacy i nadal pozostali jednakowi. Gdyby Texar nr. 1 uległ był amputacji jakiej części ciała, to niezawodnie Texar nr. 2 zaraz poddałby się takiej samej.

Słowem, przez lat 10, bracia Texarowie wciąż wiedli to podwójne życie, ale tak zręcznie, tak ostrożnie, że do owego czasu potrafili zawsze uniknąć wymiaru sprawiedliwości.

Czy wzbogacili się swem rzemiosłem? Do pewnego stopnia.—Dosyć znaczna suma, tak zdobyta z rabunku i kradzieży, była ukryta w Czarnej Przystani, mianowicie w blokhauzie. Przez ostrożność, hiszpan zabrał pieniądze z sobą, udając się na wyspę Carneval i z pewnością nie zostawiłby ich w wigwamie, gdyby mu wypadło uciec za cieśninę Bahama.

Ponieważ jednak ta fortuna wydawała im się niedostateczną, chcieli ją powiększyć, zanim się udadzą do którego z krajów europejskich lub Ameryki północnej, ażeby tam z niej korzystać.

Zresztą, dowiedziawszy się, że komandor Dupont zamierza ewakuować Florydę, dwaj bracia powiedzieli sobie, że się jeszcze może nadarzyć sposobność przy mnożenia majątku i że każą srogo zapłacić osadnikom północnym za kilkotygodniową okupację federalną.

Dlatego postanowili czekać dalszych wypadków. Byłe się tylko dostali do Jacksonville, dzięki swoim zwolennikom i wszystkim południowcom, potrafią odzyskać stanowisko, które utracili wskutek losów wojny. Też same pozwolą im je znów zagarnąć.

Texarowie mieli jednak niechybny sposób zapewnienia sobie fortuny, przewyższającej nawet ich marzenia.

Rzeczywiście, czemu nie zgodzili się na propozycję Zermy; dlaczego nie przystali na oddanie małej Dy zrozpaczonym rodzicom? James Burbank oddałby z pewnością cały majątek za wolność córki; zobowiązałby się nie skarżyć Texara przed sąd, nie domagać się śledztwa.

Ale w bliźniakach nienawiść brała górę nad interesami. Wprawdzie pragnęli oni większego mienia, lecz chcieli także zemścić się na rodzinie Burbanków przed opuszczeniem Florydy.

Teraz objaśniliśmy czytelnika o wszystkim, co się tyczy Texarów, i wypada nam tylko oczekiwać rozwiązania naszego opowiadania.

Zbytecznem dodać, że Zerma zrozumiała wszystko, znalazłszy się nagle wobec tych ludzi. W jednej chwili uprzytomniła sobie całą przeszłość. Patrzyła w nich ze zdumieniem, nieruchoma, jakby wrośnięta w ziemię, trzymając dziewczynkę na rękach. Ponieważ, na szczęście, w tym pokoju było więcej powietrza, dziecko zostało uratowane od uduszenia.

Co do Zermy, pojawienie się jej przed dwoma braćmi, podchwycenie ich tajemnicy, miało dla niej znaczenie wyroku śmierci.



XIV.

Zerma przystępuje do dzieła.

Na widok Zermy, Texarowie, tak umiejący panować nad sobą, nie zdołali jednak ukryć silnego wrażenia. Od dzieciństwa, rzec można, pierwszy to raz ktoś trzeci widział ich razem; a ten ktoś była to ich zawzięta nieprzyjaciółka. Dlatego pierwszym popędem braci było rzucić się na nią i zabić—w obronie tajemnicy ich podwójnego życia...

Dziecko wyprostowało się w objęciach Zermy i, wyciągając rączki, krzychało:

— Boję się!... Boję się!

Na gest dwóch braci, Squambo przystąpił żywo do metyski, wziął ją za ramię, wepchnął do pokoju i zamknął drzwi.

Następnie powrócił do Texarów, wyrażając postawę, że gotów spełnić ich rozkazy. Ale ta niespodziana scena zmieszała ich bardziej, niżby się można spodziewać po ich charakterze zuchwałym i gwałtownym. Zdawali się naradzać spojrzeniami.

Tymczasem Zerma skoczyła w kąt pokoju, położywszy dziewczynkę na posłaniu. Odzyskawszy zimną krew, zbliżyła się do drzwi, żeby słyszeć, co teraz mówić będą. Za chwilę los jej będzie pewnie rozstrzygnięty. Ale Texarowie i Squambo wyszli z wigwamu; słowa ich nie dolatywały już uszu Zermy.

Oto, co mówili pomiędzy sobą:

— Trzeba zabić Zermę!

— Trzeba! Jeśli potrafi uciec, albo jeśli federaliści zdołają nam ją odebrać, zawsze będziemy zgubieni! Niech więc umiera!

— Natychmiast!—odpowiedział Squambo.

I zmierzał ku wigwamowi z kordelasem w ręku. Zatrzymał go jeden z Texarów.

— Zaczekajmy — rzekł — zawsze będzie czas zgładzić ze świata Zermę, której opieka nad dzieckiem jest potrzebna, dopóki jej inną nie zastąpimy. Wpierw wypada nam zdać sobie sprawę z położenia. Oddział północnych krąży obecnie po lesie cyprysowym, z rozkazu Dupont'a. A więc, zwiedzimy przede wszystkim okolice wyspy i jeziora. Nie wiadomo, czy ten oddział, dążący ku Południowi, skieruje się w tę stronę. Jeśli przyjdzie, będziemy mieli czas uciec. Jeśli nie przyjdzie, pozostaniemy tu i pozwolimy mu zapuścić się w głąb Florydy. Tam będzie on na naszej łasce; zdążymy bowiem zgromadzić większą część milicji, rozpierchłych po terytorjum. Zamiast uciekać przed nim, będziemy go ścigali, ma-

jąc siłę po swojej stronie i z łatwością zatamujemy odwrót. Z rzezi pod Kissimmee uszła z życiem garstka marynarzy, ale tym razem ani jeden nie powrócił!

Ze względu na okoliczności, nie można było obmyśleć nic lepszego. Znaczna część południowców zajmowała wtedy okolicę, czekając tylko sposobności do uderzenia na federalistów. Jeden z Texarów miał się puścić wraz z towarzyszami na rekonesans, poczem dopiero mogli postanowić, czy pozostać na wyspie Carneval, czy też cofnąć się ku okolicy przylądka Sable. Nazajutrz miała się ta rzecz rozstrzygnąć. Co do Zermy, jakkolwiek byłby rezultat wyprawy, Squambo miał ich zabezpieczyć od jej niedyskrecji pchnięciem sztyletu.

— Zachowanie dziewczynki przy życiu leży w naszym interesie. Ona nie mogła zrozumieć tego, co rozumiała Zerma, i może się stać okupem w razie, gdybyśmy wpadli w ręce Howicka. Dla wyzwolenia córki, James Burbank zgodzi się na wszelkie propozycje z naszej strony: nietylko na zawarowanie nam bezkarności, ale na każdą cenę, jakabyśmy nałożyli za uwolnienie dziecka.

— Czy się nie należy jednak lękać, żeby ta mała nie umarła, jeśli nie będzie miała Zermy? — odezwał się indjanin.

— Nie będzie pozbawiona starań—odparł jeden z Texarów—z łatwością znajdzie jaką indjanekę, która zastąpi metyskę.

— Niechaj i tak będzie! Przedewszystkiem idzie o to, żebyśmy się nie potrzebowali obawiać Zermy!

— Cokolwiekby miało nastąpić, wkrótce pożegna się ona z życiem!

Na tem skończyła się rozmowa dwóch braci i Zerma usłyszała, że powracają do wigwamu.

Jakaż to była noc dla tej nieszczęsnej kobiety! Wiedząc, że zapadł na nią wyrok, o sobie jednakże nie myślała. Mało troszczyła się o własny los, gdyż zawsze była gotowa złożyć go na ofiarę swemu państwu. Ale Dy zostałaby na łasce tych okrutnych ludzi. Przypuściwszy nawet, że mieliby interes w oszczędzeniu życia tej dziewczyny, czy nie umrze mimo to, gdy ją pozbawią opieki Zermy?

Pod wpływem tej obawy, metyska została opamiętana uporczywą, niejako nieświadomą myślą ucieczki, zanim ją Texar rozłączy z dzieckiem.

Podczas tej nocy, wlekącej się bez końca, Zerma układała sobie ciągle, w jaki sposób przeprowadzić ów projekt do skutku. Wszakże usłyszała, pomiędzy innymi i to, że nazajutrz jeden z Texarów wraz ze swem otoczeniem miał zwiedzać okolice jeziora. Rozumie się, że przystąpią do tej wyprawy uzbrojeni, ażeby stawić opór oddziałowi federalnemu w razie spotkania go. Texar wzięłby więc z sobą, oprócz własnych ludzi, także i stronników, sprowadzonych przez brata. Jeden z nich pozostałby na wyspie, zarówno dla tego, ażeby nie być poznanym, jak i dla strzeżenia wigwamu. Wtedy to Zerma miała spróbować ucieczki.

Spodziewała się, że znajdzie jaką broń, którejby mogła użyć w razie napaści.

Całą noc daremnie wsłuchiwała się we wszystkie głosy, rozlegające się na wyspie, chcąc z nich wywnioskować, czy nie nadchodzi przypadkiem wojsko kapitana Howicka.

Przed samem świtaniem, dziewczeczka, nieco porzeczona, obudziła się. Zerma orzeźwiła ją kilkoma kroplami wody; poczem, wpatrzywszy się w nią tak, jak gdyby jej oczy nie miały już małej oglądać, przycisnęła ją do piersi. Gdyby w tej chwili wszedł kto, żeby ją oderwać od dziecka, rzuciłaby się na niego, jak dzikie zwierzę, które chcą rozłączyć z małemi.

— Co ci jest, moja droga Zerma? — zapytała dziewczynka.

— Nic... nic! — szepnęła metyska.

— A mama... Kiedy zobaczymy mamę?

— Niedługo... — odpowiedziała Zerma. — Może dziś!... Tak, moja najdroższa! Mam nadzieję, że jeszcze dziś będziemy daleko.

— A ci ludzie, których widziałam dziś w nocy... Czyś się im dobrze przyjrzała?...

— Przyjrzałam się... i takim się ich bałam!...

— Ale dobrze ich widziałas, prawda? Zauważyłaś, że są podobni do siebie?...

— Tak... Zermol!

— Pamiętajże powiedzieć ojcu i bratu, że ich jest dwóch braci... rozumiesz! dwóch braci Texarów i tak podobnych do siebie, że ich nie można rozróżnić!...

— I ty także powiesz to?... — odrzekła dziewczynka.

— Powiem... tak! ale gdyby mnie nie było, pamiętaj sama...

— Dlaczego nie miałabyś być?— zapytała dziewczyna, obejmując rączkami metyskę za szyję!

— Będę, najdroższa, będę! Ponieważ wybieramy się w drogę i to w daleką... więc ci ugotuję teraz śniadanie... żebyś nabrała sił...

— A ty?

— Jadłam, kiedyś jeszcze spała, już nie jestem głodna!

Zerma była nadto zgorączkowana, żeby mózż jeść; dziecko zaś, posiliwszy się, położyło się znów na posłaniu.

Zerma usiadła wówczas przy szczelinie u ściany, pomiędzy trzciniami, w kącie pokoju i przez długi czas przyglądała się wszystkiemu, co się działo na zewnątrz; było to bowiem dla niej rzeczą wielkiej wagi. Czyniono przygotowania do wyprawy. Jeden z braci—jeden tylko—przewodniczył oddziałowi, który miał poprowadzić do lasu cyprysowego. Drugi, którego nikt nie widział, musiał się ukryć w głębi wigwamu, albo w jakim kącie wyspy.

Tak przynajmniej myślała Zerma, wiedząc, jak starannie przechowują tajemnicę swego życia. Przepuszczała nawet, że ten, który pozostanie na wyspie, będzie czuwał nad dzieckiem i nad nią.

Zerma nie była w błędzie, jak się o tem zaraz przekonamy.

Partyzanci i niewolnicy, których było około pięćdziesięciu, czekali przed wigwamem rozkazu wodza, ażeby wyruszyć w drogę.

Było około dziewiątej rano, kiedy ta gromadka puściła się ku skrajowi lasu, co wymagało pewnego przeciągu czasu, gdyż czółno mogło zabrać tylko pięciu lub sześciu ludzi na raz. Zerma widziała, jak się puszczali po kilku na wodę i wysiadali na przeciwnem wybrzeżu, ale nie mogła widzieć przez szparę powierzchni kanału.

Texar, który wyruszył ostatni, znikł także, a za nim poszedł jeden z jego psów, którego instynkt miano spożytkować w tej wyprawie. Na giest swego pana, drugi ogar wrócił ku wigwamowi, jak gdyby on tylko jeden miał strzedz jego drzwi.

Po chwili Zerma spostrzegła, że Texar wspina się na przeciwległe wybrzeże i zatrzymuje się na chwilę dla uszykowania swojego pocztu. Następnie wszyscy znikli, ze Squambo na czele oraz z jego psem, za olbrzymiemi trzciniami pod pierwszemi drzewami w lesie. Jeden z murzynów musiał przewieźć napowrót czółno, żeby nikt nie mógł się dostać do wyspy. Ale metyska nie mogła go zobaczyć i myślała, że się puścił brzegiem kanału. Przestała się już wahać.

Dy obudziła się właśnie; jej wychudłe ciało

przykre sprawiało wrażenie w ubraniu, zniszczonem tylu trudami.

— Chodź, moja droga—rzekła Zerma.

— Dokąd?—zapytała dziewczynka.

— Tam... do lasu!... Może tam zastaniemy twojego ojca!... brata... Nie będziesz się bała?...

— Z tobą, nigdy!—odpowiedziała dziewczynka.

Wtedy metyska uchyliła ostrożnie drzwi. Ponieważ nie dochodził jej żaden szelest z przyległego pokoju, przypuszczała, że Texara nie ma w wigwamie.

Rzeczywiście nie było nikogo.

Zerma zaczęła przedewszystkiem szukać jakiej broni, którą była zdecydowana posłużyć się przeciw temu, ktoby ją chciał zatrzymać.

Leżał na stole jeden z tych kordelasów, jakich indjanie używają na polowaniach. Metyska porwała go i ukryła pod suknię. Wzięła też kawałek suszonego mięsa, którem mogła się żywić kilka dni.

Teraz szło o wydobycie się z wigwamu. Zerma spojrziała przez dziury, wywiercone w murze, w kierunku kanału. Żywej duszy nie było widać na tej części wyspy, nawet tego psa, któremu została powierzona straż nad domem.

Uspokojona, spróbowała metyska otworzyć zewnętrzne drzwi.

Drzwi te, zamknięte od dworu, nie ustępowały.

Zerma powróciła natychmiast z dzieckiem do pokoju. Jedno tylko pozostawało jej uczynić: wyjść nawpół już wybitym otworem w ścianie wigwamu.

Nie była to trudna robota. Metyska użyła kordelasa do przecinania trzcin, wplecionych w ścianę, starając się zachować jaknajciszej.

Ale czy ten ogar, który nie towarzyszy Texarowi, nie pojawi się, gdy Zerma już wyjdzie z domu? Czy ten pies nie przybiegnie, nie rzuci się na nią i na dziewczynkę? Byłoby to to samo, co spotkanie tygrysa!

Jednakże nie mogła się wahać. Zrobiwszy otwór, przytuliła do piersi dziewczynkę, która odwzajemniła jej się gorącymi pocałunkami; zrozumiała ona, że trzeba uciec.

Zerma prześlizgnęła się przez szczelinę. Następnie, spojrzawszy w prawo i w lewo, natężyła ucho. Nie dochodził żaden odgłos. Mała Dy ukazała się w otworze.

W tej chwili rozległo się szczekanie, jeszcze bardzo dalekie, jak się zdawało, w zachodniej części wyspy. Zerma schwyciła dziecko.

Serce jej biło, jak młotem... Nie mogła się uważać za względnie ocaloną, dopóki jej nie ukryją trzciny przeciwległego brzegu.

Ale przebycie przestrzeni pomiędzy wigwamem a kanałem, wynoszącej ze sto kroków, było najkrytyczniejszą fazą ucieczki. Mogły być dostrzeżone przez Texara albo przez którego z niewolników, pozostałych na wyspie.

Szczyściem, na prawo od wigwamu, gęstwina drzewiastych krzewów, pomieszanych z trzcinami, cią-

gnęła się aż do skraju kanału, tylko o kilka jardów od miejsca, w którem powinno się było znajdować czółno.

Zerma postanowiła zagłębić się w tę gąszcz roślinności i natychmiast zamysł ten przyprowadziła do skutku. Weszły pomiędzy wysokie krzewy, których liście zasłoniły je całkowicie. Co się tyczy szczekania psa, to tego nie było już słyhać.

To przemykanie się przez gęstwinę kosztowało dosyć trudu. Trzeba było przedostawać się przez łądygikrzaków, zostawiających bardzo ciasne przejście. Niebawem Zerma miała odzież poszarpaną i ręce zakrwawione, ale nieuważała na to, byleby dziecka nie kaleczyły te długie ciernie. Odważna metyska niczem nie zdradziła cierpienia. Pomimo jej zabiegów, dziewczynka otrzymała kilka ran na rękach i ramionach, lecz nie krzyknęła, nie wydała nawet najmniejszego jęku.

Jakkolwiek przestrzeń do przebycia wynosiła około 60 jardów, upłynęło jednak pół godziny, zanim dotarły do kanału.

Zerma zatrzymała się wtedy i z pomiędzy trzciny wyjrzała w stronę wigwamu, a potem w kierunku lasu.

W lesie nie było nikogo. Na przeciwnym brzegu tak że nic nie wskazywało obecności Texara i jego towarzyszków, którzy musieli być ztąd o milę lub dalej i mogli powrócić dopiero za kilka godzin.

Jednakże Zerma nie mogła przypuszczać, że ją

zostawiono samą w wigwamie. Również i to nie było możliwe, ażeby ten z Texarów, który poprzedniego dnia przybył ze swymi partyzantami, opuścił wysepę w nocy i żeby zabrał psa ze sobą. Zresztą alboż metyska nie słyszała szczekania, co było dowodem, że ogar włóczy się jeszcze pod drzewami. Lada chwile mogła zobaczyć jednego lub drugiego, może śpiesząc się, zdoła dotrzeć do lasu cyprysowego.

Czytelnik zapewne sobie przypomina, że Zerma obserwując ruchy towarzyszków hiszpana, nie mogła widzieć czółna, w chwili, kiedy przepływało przez kanał, którego koryto było zasłonięte wysokimi i gęstymi trzciniami.

Jednakże nie wątpiła, że który z niewolników w sprowadził napowrót czółno. Było to koniecznie potrzebne ze względu na bezpieczeństwo wigwamu na wypadek, gdyby żołnierze kapitana Howicka zaszli z tyłu południowcom.

Ale jeśli czółno zostało na przeciwnym brzegu, ażeby Texar ze swymi ludźmi mógł prędzej przebyć kanał w razie najścia federalistów, to jakimże sposobem dostanie się na drugi brzeg? Czy jej wypadnie uciekać lasami wyspy? I czy tam musiałaby czekać, dopóki hiszpan nie wyruszy dalej w głąb Ewerglad? Jeśli się jednak zdecyduje na to, na pewno wpierv będzie się starał wszelkimi sposobami znaleźć Zermę i dziecko. Od tego więc wszyst-

ko zależało, ażeby się można było przepawić czoł-
nem przez kanał.

Zerma posunęła się przez trzciny jeszcze o 5 do
6 jardów dalej, nareszcie zatrzymała się...

Czołno było na przeciwnym brzegu...

XV.

Dwaj bracia.

Poleżenie stało się rozpaczliwem. Jak się przedostać? Nawet śmiały pływak zaryzykowałby życie, próbując przebyć kanał wplaw.

Prawda, że od jednego do drugiego brzegu było tylko jakie sto kroków, ale bez czołna było niepodobieństwem przepłynąć tę przestrzeń. Trójkątne głowy sterczały tu i owdzie z wody trawy chwiałały się pod szybkim ślizganiem się płazów.

Mała Dy, zdjeta strachem, tuliła się do Zermy. Ach, gdyby dla ocalenia dziecka wystarczyło rzucić się pomiędzy te potwory, które opasałyby ją niby olbrzymi mięczak, o tysiącach macek, metyska nie wahałaby się ani chwili.

Ale chyba opatrnościowa okoliczność mogła wyratować biedną Dy. Okoliczność tę jeden tylko Bóg mógł stworzyć. Zerma w Nim tylko jednym miała ucieczkę. Ukłakszy na wybrzeżu, błagała Tego, któ-

ry rozporządza trafem, czyniąc zeń najczęściej narzędzie swej woli.

Ale lada chwila niektórzy z towarzyszków Texara mogli się ukazać na skraju lasu. Gdyby ten z Texarów, który pozostał na wyspie, wrócił do wigwamu, czy, nie zastawszy tam Zermy i Dy, nie puściłby się w pogoń za nimi?...

Boże mój — zawołała nieszczęśliwa kobieta — zlituj się!

Nagle spojrzała w prawą stronę kanału.

Słaby prąd parł wydy ku północy jeziora, gdzie się znajduje kilka dopływów Calavoschatchesu, jednej z rzeczek, wpadających do zatoki meksykańskiej i zasilających jezioro Okee-cho-bee podczas wielkich przyptywów miesięcznych.

Pień, nadpływający z prawej strony, uderzył właśnie o brzeg: otóż czy na tem pniu nie dałoby się przebyć kanału; pływający pień parł w stronę lasu cyprysowego. Prawdopodobnie przeprawa ta powiodłaby się, a w każdym razie, gdyby, na nieszczęście, pień powrócił na wyspę, sytuacja uciekających nie byłaby gorsza, aniżeli obecnie.

Nie zastanawiając się, jakby instynktownie, Zerma skoczyła na nadpływające drzewo. Gdyby wzięła pod rozwagę, możeby sobie powiedziała, że setki gadów roją się w wodach, że trawy mogą zatrzymać pień w środku kanału! Tak! ale wszystko było lepsze od pozostania na wyspie. Dlatego też Zerma, trzymając Dy na rękach, uczepiła się gałęzi i odbiła od

brzegu. Pień natychmiast popłynął z prądem ku przeciwnemu brzegowi.

Zerma starała się ukrywać pod gałęziami, które ją w części zasłaniały—zresztą, oba brzegi były puste. Żaden głos nie dochodził ani ze strony wyspy, ani z lasu cyprysowego. Przeplłynawszy kanał, metyska umiałaby znaleźć schronienie do wieczora, zanimby mogła bezpiecznie i niespostrzeżenie zapuścić się w głąb lasu. Ocknęła się w niej nadzieja. Prawie nie troszczyła się o nic, nie zwracała uwagi na gady, otwierające paszczę z obydwu stron pnia drzewa i wślizgające się aż pomiędzy niższe gałęzie. Dziewczynka przymknęła oczy; Zerma zaś przyciskała ją jedną ręką do piersi, drugą gotowa była ugodzić kordelasem w najnatrętniejsze z gadów. Ale bądź, że się lękały grożącego im ostrza, bądź, że są groźne tylko w głębi wód, nie rzucały się na to zaimprovizowane czołno.

Nakoniec pień dostał się na środek kanału, którego prąd porywał go w kierunku ukośnym ku lasowi. Zanim upłynie kwadrans czasu, przybije on do brzegu, jeśli się nie uwikła w porosty wodne; a wtedy, jakkolwiek mogą być wielkie niebezpieczeństwa Zerma przestanie się lękać Texara.

Nagle przycisnęła mocniej dziecko do siebie.

Zajadłe szczekania rozlegały się na wyspie. Natychmiast prawie ukazał się pies na brzegu; biegł on ku kanałowi w ogromnych podskokach.

Zerma poznała ogara, któremu hiszpan powierzył straż nad wigwamem.

Z najeżoną sierścią, z rozplómieniem okiem, gotował się na brzegu do skoku pomiędzy płazy, poruszające się na powierzchni wód.

W tej chwili człowiek ukazał się także na wybrzeżu.

Był to ten z braci Texarów, który pozostał na wyspie: przybiegł, posłyszawszy szczekanie psa.

Trudno sobie wyobrazić jego wściekłość na widok Zermy i Dy na pniu drzewa; a nie mógł się puścić w pogoń za nimi, ponieważ czółno znajdowało się na przeciwnym brzegu.

W jeden tylko sposób zdołałby je zatrzymać w biegu: trzeba było zabić Zerme, ryzykując zarazem życie dziecka.

Texar, uzbrojony w karabin, wycelował do metyski, usiłującej zasłonić sobą Dy.

Naraz, pies, rozwścieczony, rzucił się w kanał, co widząc, Texar postanowił czekać i obserwować.

Pies zbliżał się szybko do pnia. Zerma, trzymając w ręku kordelas, gotowa była uderzyć. Okazało się to jednak zbyt bezcelne.

Gady w jednej chwili oplątały zwierza; z początku pies próbował z nimi walczyć, lecz wkrótce musiał uleźć... znikł pod trawami...

Texar widział los psa, lecz nie mógł go uratować... Zerma miała mu się przeto wymknąć.

— A więc giń! — wykrzyknął i strzelił.

Ale pień drzewa dopływał do przeciwnego brzegu, co chwila zmieniając położenie; kula zadrasnęła tylko ramię metyski.

W kilka chwil potem pień przybił do brzegu, a Zerma, wysiadłszy z dzieckiem na ląd, znikła pośród trzciny i bezpieczna od wystrzałów, dostała się do lasu cyprysowego.

Wprawdzie nie groziło jej już nic od tego z Texarów, który pozostał na wyspie, ale mogła wpaść w ręce jego brata.

Przedewszystkiem szło jej tedy o to, żeby się jaknajprędzej oddalić od wyspy Carneval. Z nadzieją nocy puściła się w kierunku jeziora Waszyngton. Rozwinąwszy całą energję moralną i siłę fizyczną, biegła raczej, aniżeli szła, na los szczęścia, dźwigając wciąż dziecko, które nie mogłoby jej nadążyć. Nóżki Dy nie zdołałyby stąpać prędko po tym nierównym gruncie, pośród tych bagien, uginających się pod stopami pomiędzy powikłanemi korzeniami.

Zerma niosła więc ciągle swój drogi ciężar, którego zdawała się nie czuć wcale. Czasami stawała, nietyle żeby odetchnąć, jak żeby się wsłuchać w dźwięki łosne. Raz jej się zdawało, że szczeka drugi ogar, którego Texar wziął z sobą, znowu, że ją zdaleka strzały dochodzą. Przychodziło jej wtedy na myśl, że południowcy walczą może z oddziałem federalistów. Poznawszy, że to był tylko krzyk przedrzeźniacza lub łoskot suchej gałęzi, której włókna pękały z hukiem, niby wystrzału z pistoletu, puszczała się w dal-

szą drogę. Przepelniona nadzieją, nie chciała widzieć niebezpieczeństw, dopóki nie dotrze do źródeł Saint-Johnu.

Przez całą godzinę oddalała się w ten sposób od jeziora Okee-cho-bee, idąc na ukos do wybrzeża Atlantyku, Rozumowała ona bardzo logicznie, że okręty eskadry muszą krążyć koło wybrzeża florydzkiego, oczekując oddziału kapitana Howicka. Alboż nie było możliwem, że kilka szalup znajduje się na czatach wzdłuż brzegu?..

Nagle stanęła. Tym razem nie myliła się: z pod drzew doszło ją zajadłe szczekanie, zbliżające się coraz bardziej. Zerma poznała głos jednego z ogarów które też często włóczyły się dokoła blokhauzu w Czarnej przystani.

Pies trafił na nasz trop — pomyślała — Texar musi być w pobliżu!

Natychmiast zagłębiła się z dzieckiem w gęstwinę, ale czy zdołała ukryć się przed węchem zwierzęcia domyślnego, a dzikiego, które układano niegdyś do ścigania zbiegłych niewolników.

Szczekanie odzywało się coraz bliżej z oddali i dochodziły już nawet krzyki.

O kilka kroków, Zerma spostrzegła cyprys, wydrażony wskutek starości, na którym pnące się kaktusy i liany utworzyły gęstą sieć z krótkich gałązek. Przyszło jej do głowy natchnienie!

W jednej chwili ukryła się w tem wydra-

zeniu, tak obszernem, że zmieścili się w niem obie z Dy. Sieć lian zasłoniła je zupełnie.

Ale ogar trafił na ich ślad. Po chwili spostrzegła go Zerma pod drzewem; czekał coraz zajadlej i jednym skokiem rzucił się na cyprys.

Ugodzony kor delasem, cofnął się i zawył gwałtownie.

Natychmiast prawie dały się szłyszeć jakieś kroki; nawoływano się, odpowiadano sobie, a pośród tych głosów brzmiały tak dobrze znane Zermie głosy Texara i Squambo.

Tak, to hiszpan i jego towarzysze zmierzali ku jezioru, żeby uniknąć przed oddziałem federalnym. Spotkali go niespodzianie w lesie cyprysowym i nie mając dostatecznych sił, cofali się czemp prędzej. Texar dążył do wyspy jaknajkrótszą drogą, żeby oddzielić się kanałem od federalistów. Ponieważ ci ostatni nie mogli przebyć kanału bez czółna, zatrzymałoby ich to pewien czas. Korzystając ze zwłoki, południowcy staraliby się dostać na drugą stronę wyspy; a w nocy chcieli spożytkować czółno i wysiąść na południowym brzegu jeziora.

Texar i Squambo, doszedłszy do cyprysu, przed którym pies ciągle czekał, ujrzeni na ziemi krew, płynącą ze zranionego boku zwierzęcia.

— Patrzcie!... Patrzcie—zawołał indjanin.

— Ten pies został zraniony? odpowiedział Texar.

— Tak!... zraniony nożem, przed chwilą!... krew jeszcze ciepła!

— Któż to uczynił?

W tej chwili pies skoczył znowu na sieć lin, którą Squambo uchylił karabinem.

— Zerma!—wykrzyknął. — I dziecko!— dodał Texar.

— Tak!.. Jakim sposobem zdołały uciec!

— Śmierć Zerme, śmierć!..

Metyska, rozbrojona przez Squambo w chwili, kiedy miała ugodzić hiszpana, została tak gwałtownie wyciągnięta z wydrążenia, że dziewczynka potoczyła się z jej objęć pomiędzy te olbrzymie grzyby i purchawki, tak obfite w lasach cyprysowych.

Gdy dziecko padło, jeden z grzybów wystrzelił niby broń palna i błyszczący pył rozpostarł się w powietrzu. W jednej chwili, inne turchawki eksplodowały i nastąpił taki trzask i huk, jak gdyby las był napelniony fajerwerkami, krzyżującymi się w różnych kierunkach.

Oślepiiony mirjadami prochów, Texar musiał wypuścić z rąk Zerme, którą trzymał pod swym nożem. Squambo oślepił także od tego palącego pyłu. Na szczęście, metyska i mała Dy, leżąc na ziemi, uniknęły rac, krzyżujących się w górze.

Jednakże Zerma nie mogła ujść Texarowi. Po ostatnim szeregu wybuchów, powietrze stało się możliwe do oddychania..

Wtedy rozległy się nowe wystrzały—tym razem z broni palnej.

To oddział federalny rzucił się na południow-

ców. Ci, otoczeni przez marynarzy kapitana Howicka, musieli złożyć broń. W tej chwili Texar ugodził w pierś Zermę, znajdującą się obok niego.

— Dziecko! Porwij dziecko — zawołał Squambo. Indjanin, schwyciwszy dziewczynkę, uciekał w stronę jeziora, kiedy Gilbert strzelił i ugodził go kulą.

Wszyscy więc byli teraz zgromadzeni: James i Gilbert Burbankowie, Edward Carrol, Perry, Mars, murzyn z Camdless-Bay, marynarze kapitana Howicka, którzy nie spuszczała z oka południowców, a pomiędzy nimi Texara, stojącego przy zwłokach Squambo.

Jednakże kilku zdołało uciec w stronę wyspy Carneval! Ale miejsza o to! Alboż dziewczynka nie znajdowała się już w objęciach ojca, który ją przyciskał do siebie, jakby z obawy, że mu ją znówu wydrą? Gilbert i Mars, pochyleni nad Zermą, usiłowali ją ocucić. Oddychała jeszcze biedna, lecz nie mogła mówić; Mars podtrzymywał jej głowę, wołał na nią, ścisnął i całował.

Zerma otworzyła oczy. Zobaczyła dziecko w objęciach Bnrbanka, poznała Marsa, który ją okrywał pocałunkami, i uśmiechnąwszy się do niego przymknęła powieki...

Mars podniósł się, spostrzegłszy Texara, skoczył doń, powtarzając słowa, które tak często wychodziły z jego ust:

— Zabić Texara!... Zabić Texara!...

— Daj pokój Marsie, wymierzimy sprawiedli-

wość temu nędnikowi! — rzekł kapitan Howick i zwracając się hiszpana, zapytał:

— Wszak jesteś Texar z Czarnej Przystani?

— Nie chcę odpowiadać—odparł Texar.

— James Burbank, porucznik Gilbert, Edward Carrol i Mars znają cię i poznali w tobie Texara.

— Niechaj i tak będzie!

— Zostaniesz rozstrzelany!

— Strzelajcie!

Wtej chwili, ku wielkiemu zdumieniu całego zgromadzenia, mała Dy rzekła do James Burbanka:

— Ojciec ich jest dwóch braci... dwóch niedobrych ludzi... podobnych do siebie...

— Dwóch ludzi?...

— Tak!... Moja kochana Zerma kazała mi to powiedzieć!...

Byłoby trudno zrozumieć słowa dziewczynki, ale niebawem wyjaśniły się one w niespodziewany sposób.

Texar, postawiony pod drzewem, patrzył prosto w oczy Burbankowi, paląc papierosa, kiedy chwili, gdy pluton ustawiał się w porządku, aby dać ognia, nagle jakiś człowiek przyskoczył do skazańca,

Był to drugi Texar, zawiadomiony o przytrzymaniu brata przez garstkę partyzantów, zbiegłych na wyspę Carneval.

Na widok dwóch braci, tak podobnych do siebie, zrozumiano słowa dziewczynki i odkrycie to rzucało światło na szereg zbrodni, zawsze usprawiedliwianych zagadkowymi *alibi*.

Cała przeszłość Texarów wyjaśniła się teraz. Interwencja brata miała jednak opóźnić spełnienie rozkazów komandora.

Istotnie, rozkaz natychmiastowej egzekucji, dany przez Dupont'a, odnosił się tylko do sprawy zasadzki, w której zginęli oficerowie i marynarze z szalup federalnych. Co się tyczy sprawy grabieży, dokonanej w Camdless-Bay, oraz porwania, ten winien być zaprowadzony do miasta św. Augustyna, gdzie nanowo czekał go sąd i niechybny wyrok śmierci.

A jednak, czy nie było można uważać obu braci za jednako winnych tego długiego szeregu zbrodni, które im się udawało popełniać bezkarnie?

Tak, bez wątpienia! Wszelako, przez poszanowanie prawa, kapitan Howick uznał za stosowne zapytać.

— Który z was poczytuje się za winnego rzezi w Kissimmee?

Milczenie.

Widocznie, Texarowie postanowili nie odpowiadać na żadne pytania.

Jedna tylko Zerma mogłaby powiedzieć, jaki udział brał każdy z nich w tych zbrodniach. Istotnie, ten z dwóch braci, który się znajdował z nią w Czarnej Przystani d. 23 marca, nie mógł być sprawcą rzezi, dokonanej w tym samym dniu o 100 mil, na południu Florydy: rzeczywistego zaś sprawcę porwania Zerma mogłaby poznać... Ale czy ona nie umarła?

Nie, ukazała się wsparta na ramieniu męża i zaledwie doszłyszalnym głosem rzekła:

— Ten, który się dopuścił porwania, ma lewe ramię utatuowane...

Na te słowa dwaj bracia, uśmiechnąwszy się wzgardliwie, obaj zawinęli sobie rękawy u koszuli aby pokazać lewe ramię, jednakowo utatuowane.

Wobec tej nowej niemożności rozróżnienia ich, kapitan Howick rzekł tylko:

— Sprawca rzezi w Kissimnee ma być rozstrzelany; który z was jest nim?

— Ja! — odpowiedzieli jednocześnie obaj bracia.

Po tej odpowiedzi pluton egzekucyjny wycelował do skazańców, którzy uścisnęli się po raz ostatni.

Rozległ się wystrzał i obaj, trzymając się za ręce, padli.

Taki był koniec owych ludzi, sprawców tylu zbrodni, które udawało im się popełniać bezkarnie, dzięki szczególnemu podobieństwu. Wzajemne przywiązanie braterskie, jedyne uczucie, jakiego doświadczali kiedykolwiek, przechowało się w nich do ostatniej chwili życia.

XVI.

Zakończenie.

Wojna domowa ciągnęła się dalej z różnemi zmianami i zdarzały się świeże wypadki; które doszły do wiadomości James Burbanka dopiero po powrocie do Camdless-Bay.

Wogóle, w tym okresie czasu zdawali się brać górę południowcy, skupieni do koła Corinthu, gdy federaliści zajmowali pozycję w Pittsburg-Landing! Armją separatystów dowodził Johnstan, pod którym znajdowali się Beauregard, Hardee, Braxton-Bagg, oraz biskup Polk, dawny wychowaniec akademji wojskowej w Wel-point. Armja ta zrzęcznie korzystała z nieprzezorności północnych. Dnia 5 go kwietnia w Shiloh ci ostatni dali się zaskoczyć, co spowodowało rozproszenie brygady Peabody'ego i odwrót Shermana. Jednakże południowcy drogo okupili swe powodzenie; bohaterski Johnston został zabity w chwili, gdy odpierał wojsko federalne.

Taki to był pierwszy dzień bitwy z d. 5-go kwietnia. Na trzeci dzień nastąpiła utarczka na całej linii i Shermanowi udało się odebrać Shiloh. Przyszła teraz kolej na południowców. Musieli się

cofać na całej linii przed żołnierzami Grant'a. Była to krwawa bitwa! Z 80,000 walczących. 20,000 poległo lub odniosło rany.

O tych ostatnich wypadkach wojny James B r bank i jego towarzysze dowiedzieli się nazajutrz po przybyciu do Castle-House, które nastąpiło jeszcze d. 7-go kwietnia.

Zaraz po rozstrzelaniu braci Texarów, podążyli oni za kapitanem Howickiem, który prowadził swój oddział i jeńców ku wybrzeżu. Pod przyładkiem Mableurskim stał jeden ze statków flotyli, krążącej w pobliżu brzegów, statek ten przewiózł wszystkich do miasta św. Augustyna, potem zaś kanonierka, która ich wzięła na pokład w Picolato, wysadziła na ląd w porcie Camdless-Bay.

Wszyscy powrócili zatem do Castle-House — nawet Zerma, która nie umarła z odniesionych ran. Mars i jego towarzysze zanieśli ją na pokład okrętu federalnego, gdzie ją otoczono staraniami. Zresztą, mogłaż umrzeć, będąc tak szczęśliwą. Ocaliła swoją małą Dy, jest razem z ukochanym!

Łatwo sobie wyobrazić radość rodziny, której członkowie połączyli się znów ze sobą po tylu ciężkich próbach. Pani Burbankowa, mając swą dziecinę przy sobie, przyszła znowa do zdrowia. Alboż nie miała także męża, syna, mis Alicji, która miała wkrótce zostać jej córką, Zermy i Marsa, — alboż nie ustały obawy przed tym nędznikiem, a raczej dwoma nędznikami, których główni wspólnicy dostali się w ręce federalistów?

Tymczasem zaczęła się szerzyć pogłoska, o której wzmiankowali już w przytoczonej wyżej rozmowie dwaj bracia na wyspie Carneval, mianowicie, że północni opuszczą Jacksonville, i że komendant Dupont ograniczając swą działalność do blokowania wybrzeża, zamierza cofnąć kanonierki strzegące Saint-Johnu. Ten zamiar mógł szkodliwie wpłynąć na bezpieczeństwo kolonistów, z nanych z zasad przeciwnych niewolnictwu, a w szczególności James Burbanka.

Była to pogłoska uzasadniona. W samej rzeczy, d. 8-go, nazajutrz po dniu, kiedy cała rodzina połączyła się w Castle-House, federaliści dokonywali ewakuacji Jacksonvillu. Z tego powodu ci z mieszkańców, którzy się okazali przychylni sprawie północnej uznali za właściwe schronić się, bądź w Port-Royal, bądź w Nowym Yorku.

James Burbank nie chciał ich naśladować. Murzyni wrócili do plantacji nie jako niewolnicy, lecz w charakterze wyzwolenców i obecność ich mogła zapewnić spokój Candless-Bay'owi. Zresztą losy wojny zaczynały sprzyjać Północy, wskutek czego Gilbert mógł zabawić dłużej w Castle-House, i wziąć ślub z Alicją Stanard.

Roboty plantacyjne rozpoczęły się więc na nowo i praca weszła na zwykły tor. Nie było mowy o tem, ażeby zmusić Jamesa Burbanka do wykonania wyroku, skazującego na wygnanie wyzwolenców z terytorjum Florydy. Nie było już Texara i jego

stronników, którzyby podzegli niższe warstwy ludności. Zresztą, nadbrzeżne kanonierki przywróciłyby szybko porządek w Jacksonville.

Co się tyczy stron wojujących, te ścierały się jeszcze trzy lata i nawet Floryda odczuwała niekiedy ruchy wojny.

Rzeczywiście, tegoż roku, w miesiącu wrześniu, okręty komandora Dupont pojawiły się znów na wysokości Saint-John-Bluffs, w okolicy źródeł rzeki, i Jacksonville zostało wzięte po raz drugi. Jenerał Seymour zajął je trzeci raz, nie doznawszy poważnego oporu.

Dnia 1 stycznia 1863, proklamacja prezydenta Lincoln'a zniosła niewolnictwo we wszystkich stanach, ale wojna skończyła się dopiero 9 kwietnia 1865 r. Owego dnia, w Appomattox-Court-House, jenerał Lee oddał się z całą armją w ręce jenerała Grant'a po kapitulacji, która przyniosła zaszczyt jednej i drugiej stronie.

Zażarta walka Północy z Południem trwała cztery lata. Kosztowała ona 700 milionów dolarów i przeszło pół miliona ludzi, ale niewolnictwo zostało zniesione w całej Ameryce północnej.

Tak to nierozdzielność rzeczypospolitej Stanów-Zjednoczonych zawarowana została na zawsze przez tych samych amerykańców, których przodkowie przed stu blisko laty wyzwolili kraj w wojnie o niepodległość.

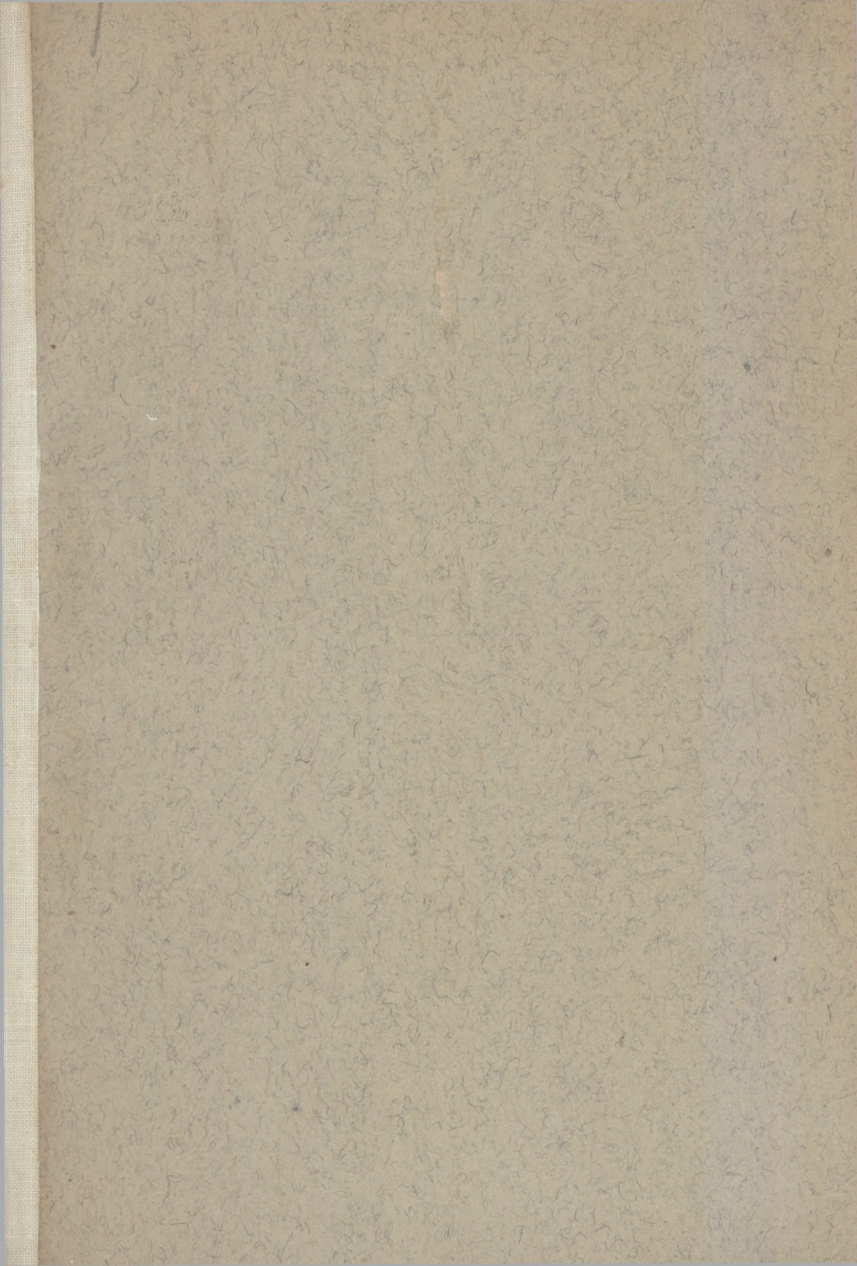
KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Część druga.

	<i>str.</i>
I. Po porwaniu	5
II. Szczególna operacya	18
III. Wigilia	34
IV. Z północo-wschodu	50
V. Objęcie w posiadanie	63
IV. Miasto Ś-go Augustyna	83
VII. Ostatnie słowa i ostatnie tchnienie	104
VIII. Odkrycie Czarnej przystani	121
IX. Wyjazd do Ewerglad	137
X. Spotkanie	150
XI. Ewerglady	165
XII. Co usłyszała Zerma	179
XIII. Podwójne życie	192
XIV. Zerma przystępuje do dzieła.	203
XV. Dwaj bracia	215
XVI. Zakończenie	227





„WĘDROWIEC”

najtańsze czasopismo tygodniowe ilustrowane, poświęcone podróżom
naukom przyrodzonym, literaturze, sztuce i kwestjom bieżącym.

ZBIÓR POEZIJ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

jako premium **bezpłatne** na rok 1888.

Z dodatkiem książkowym:

w *Warszawie.*

na *Prowincyi.*

Rocznie, . . .	rs. 7 k. —	}	Rocznie, . . .	rs. 8 k. —
Półrocznie. . .	„ 3 „ 50		Półrocznie. . .	„ 4 „ —
Kwartinie . . .	„ 1 „ 75		Kwartinie. . .	„ 2 „ —



Nakładem Redakcji „Wędrowca“ wyszła:

TAIN'A PÓDRÓŻ PO WŁOSZECH

tom 2gi cena **1 rs. 50 kop.** i jest tak jak i tom 1-szy do nabycia we wszystkich księgarniach.

ŚWIATŁA I CIENIE

zbiór nowel i poezji najpoczytniejszych tegoczesnych autorów

Bożydara, Dygański A., Gawalewicz M., Kaszewskiego K., Konopnickiej M.,
Leliwy J., Łętowskiego J., Marréne W., Or-Oł'a, Pluga A., Rawiły Fr., Sęka A. J.,
Stebelskiego Wł., Ursyna. W. Jadwigi, Wężyka Z. St., Zapoiskiej-Śnieżko, Zieliń-
skiej M. (M..a), Zielińskiego Wł. K.

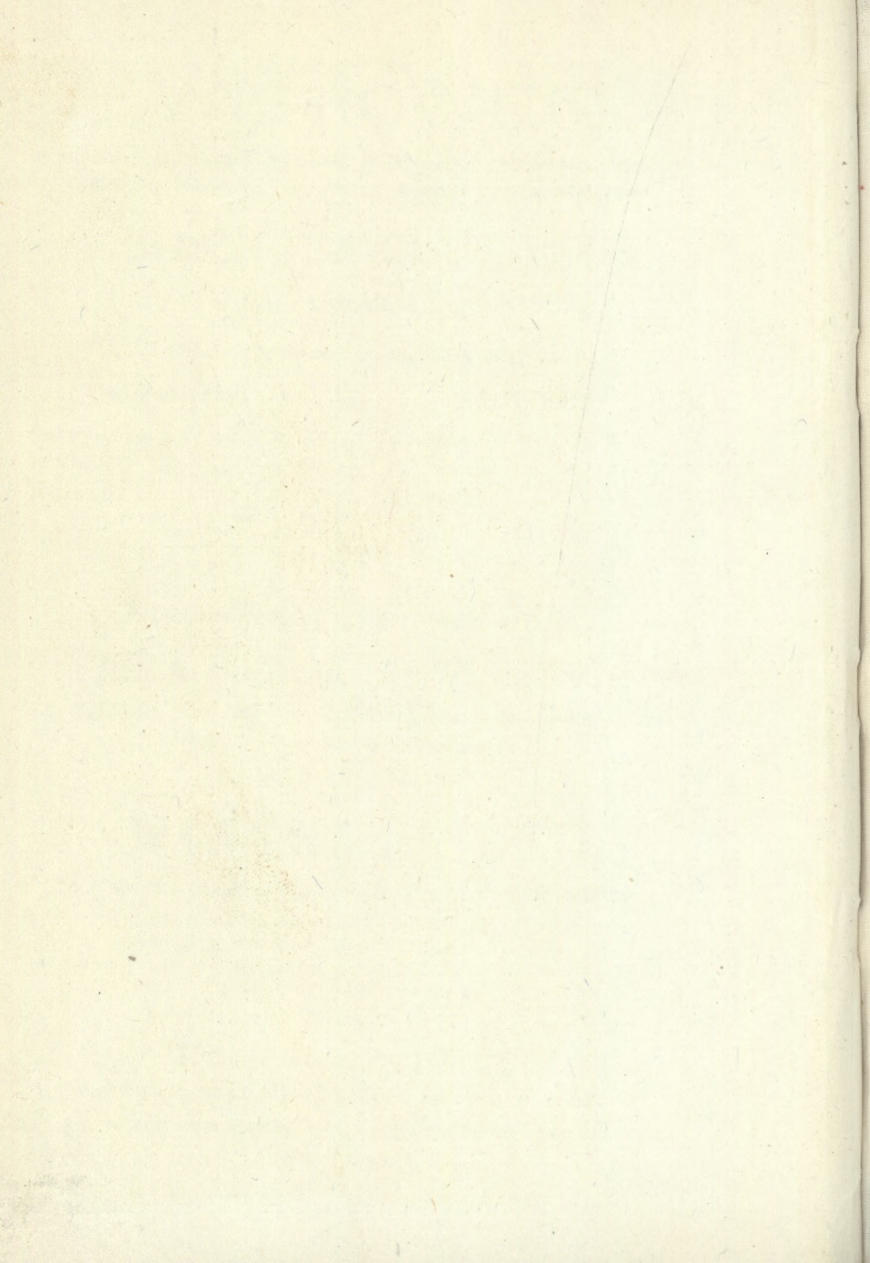
poświęcony

Kobietom Polskim

ozdobiony dwudziestu rysunkami, znanych artystów.

Nbywać można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych

Cena rs. 2.



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020672230



BIBLIOTEKA
NARODOWA

1461084

C2 1-2